

DEP. MI. G-5-75 0756

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 5/356

1977



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

DEKLARACJA W SPRAWIE UKRAIŃSKIEJ

M. WINOWSKA :

NIEPROSZONE RADY I DYWERSJA

B. SULIK : **OSOBY TOWARZYSZĄCE**

J. ŁOBODOWSKI : **DZIEJE OSIEMDZIESIĘCIOLECIA**

SPIS RZECZY

Maria Winowska:	<i>Nieproszone rady i dywersje</i>	3
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	17
Maria Ossowska:	<i>O wychowaniu uniwersyteckim</i>	31
Jerzy P. Horzelski:	<i>O genach, memach i techach</i>	35
WIERSE		
Zdzisław Marek:	<i>Interludium. — Zapisane w pośpiechu</i>	45
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	48
K R A J		
Bolesław Sulik:	<i>Osoby towarzyszące</i>	53
SĄSIEDZI		
—	<i>Deklaracja w sprawie ukraińskiej</i>	66
Józef Łobodowski:	<i>Dzieje osiemdziesięciolecia</i>	68
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	84
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Jankowski:	<i>Polonia francuska głosowała</i>	91
Ludwik Frendl:	<i>Uchodźca z Polski na Zachodzie</i>	95
Norbert Żaba:	<i>Wakacyjne prace studentów polskich w Szwecji</i>	104
—	<i>Rada Naczelna Koła A.K.</i>	105
KRONIKA KULTURALNA		
Jerzy R. Krzyżanowski:	<i>Wspomnienie o moim ojcu</i>	107
Tadeusz Brzeziński:	<i>Polska Światowa Kooperacja Intel- tualna</i>	115
KSIĄŻKI		
Adam Michnik:	<i>Wiersze St. Barańczaka. — Zamiast Przedmowy</i>	117
Edward Możejko:	<i>Saga ludzi cierpiących</i>	119
Witold Wirpsza:	<i>Spokojne muzyki</i>	125
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	133
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	135
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	136
◆		
I. M. Bocheński, O.P., T. Cho- roś, ks. W. Sojka:	<i>Listy do redakcji</i>	144
—	<i>Sprostowanie</i>	146
DOKUMENTY		
Zespół problemowy Polskiego Porozumienia Niepodległoś- ciowego:	<i>Tradycja niepodległościowa i jej wro- gowie</i>	147
Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela:	<i>Do Społeczeństwa polskiego</i>	154
—	<i>„U Progu” Nr 5, luty 1977</i>	156
Leszek Kołakowski i Adam Michnik:	<i>List do redakcji tygodnika „Polityka”</i>	159

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Maj - Mai

1977

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ « KULTURY »

F. H., Hamilton, Ohio (USA), po raz ósmy	F. 15,00
Irena Habrowska-Jellaczyc, Don Mills, Ont. (Kanada), po raz 2-gi	F. 240,00
Taisija i Michał Korchynsky, Bethel Park, Pa. (USA) — zamiast kwiatów na grób śp. Heleny Włodek, zmarłej w Ottawie (Kanada)	F. 100,00
Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej w Cleveland, Ohio (USA)	F. 35,00
Mirosław Matuszewski, Ottawa	F. 55,00
Kazimierz Rożankowski, Monterey, Cal. (USA)	F. 400,00
Ing. L. W. Skonieczny, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 100,00
Roman Szczurkowski, Rodez (Francja) w dniu Święta Pracy (po raz drugi)	F. 30,00
Ing. Zb. Szpikowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz szesnasty	F. 47,00
A. Waroczewski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz trzynasty	F. 47,00
Bezimiennie z Hamden, Conn. (USA), po raz siódmy	F. 187,50

DZIĘKUJEMY!

WPLATY NA KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Dominik Morawski, Rzym	F. 200,00
Koło Byłych Żołnierzy Armii Krajowej w Cleveland, Ohio (USA) \$ 200	F. 1000,00

Imprimé en France.

Nieproszone rady i dywersja

*Poobracanych w przeszłość niepojętą
A uwielbioną, spotkałem niemało!
W ostrogi rdzawe utrafiłem piętą
W ścieżkach, gdzie zbitych kul sporo padało
Nieraz Obyczaj stary zawadziłem
Z wystrzeżonymi na jutrznię zębami,
Odziewający się na głowę pyłem
By noc przedłużyć, nie zerwać ze snami.*

Rodacy moi na obczyźnie wiedzą, że nie często zabieram głos. Dla bardzo prostej przyczyny. Od wielu lat zmobilizował mnie Kościół w Polsce do służby. To właśnie pozwala mi patrzeć na to co się dzieje poza Polską z perspektywy tego co się dzieje w Polsce — dziś. Korzystam z gościnności *Kultury* po to, żeby powiedzieć „bez ogródek” jak bardzo pewna prasa emigracyjna i publicyści emigracyjni reprezentujący pewną „szkołę myślenia” szkodzą Kościołowi, wciąż zresztą powołując się na postawę wier-nopoddających.

Po kilku latach spędzonych w ciągłych rozjazdach, natknęłam się w Paryżu na szereg numerów *Narodowca*, *Myśli Polskiej* oraz na dwa listy otwarte: Jędrzeja Giertycha z 1 czerwca 1976 roku oraz Klubu Polskiego ze stycznia 1977 roku, które wprawiły mnie w osłupienie. Są to bowiem dowody niezbite najcięższej choroby emigracyjnej jaką jest wyobcowanie z rzeczywistości w Kraju. Nie bez kozery nasunęły mi się na wstępie tego artykułu słowa Norwida. Autorzy artykułów i listów otwartych, które mam przed oczyma, „nie zerwali ze snami”. Zegar dziejów stanął dla nich w 1939 roku. Operują pojęciami, asocjacjami, a już najgorzej: aluzjami, które u nas straciły swoją treść i swój wydźwięk.

Można by ich zostawić w spokoju aż do nieuniknionej śmierci,

gdyby nie to że szkodzą Kościołowi w Polsce dzisiejszej, 1977 roku. Jakim prawem, patriotycznym i moralnym, panowie zastęgli za kominkiem emigracyjnym, wazą się udzielać rad tym którzy dzisiaj w Polsce, wraz z Kościołem, bronią elementarnych praw człowieka? Jakim prawem sądzą i potępiają?

Lektura niewesoła elaboratów owej „szkoły myślenia” nasuwała mi dwie uwagi.

1) Z pominięciem kilku nazwisk i szczegółów i wstawieniem innych nazwisk i szczegółów wszystkie te artykuły mogły się ukazać w 1938 roku. Lub wcześniej.

2) Znamienny jest fakt, że w żadnym z tych dokumentów nie znalazłam najmniejszej wzmianki o Drugim Soborze Watykańskim i związanej z nim odnowy która w sumieniu zobowiązuje wszystkich katolików świata. Z tą odnową łączy się sedno duchowego oporu wszystkich ludzi dobrej woli, w obronie człowieka.

Do obrony człowieka przed grożącym mu odczłowieczeniem, nie tylko w komunistycznym ustroju, wezwał Kardynał Wyszyński, Prymas Polskich, „wszystkich ludzi dobrej woli”. Do ratowania pokrzywdzonych, do pomocy bezbronnym, w ramach tak wyszydzanego przez daną „Szkołę Myślenia” Komitetu Obrony Robotników. Na fotelikach przy kominku emigracyjnym trudno pojąć, że stawka walki toczącej się dziś nie tylko za rubieżą jest Człowiek. Prymas nie szczędzi gorzkich prawd tym którzy w imię kapitalizmu uprawiają tani antykomunizm. Tani, gdyż nie piętnujący największej zbrodni naszej epoki: odczłowieczenia człowieka. W naszym, chrześcijańskim języku obraza majestatu człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boże. W języku filozofów (Ricoeur, itd.) nazywa się to zredukowaniem osoby do rzeczy. Już nie „ktoś” ale „coś”. Tragedia proletariatu wszelkiej maści na tym polega. Nie pomogą tu polepszone warunki materialne. Gdy ktoś zapyta za oceanem „Ile pan Brown jest wart”, wiadomo że chodzi o jego konto w banku. Bezczenna, jedyna, do wielkości powołana osoba (tu znów nasuwa się Norwid) nie wchodzi w rachubę. Największą tragedią systemów totalitarnych jest od dawna przewidziany przez pisarzy-proroków człowiek-robot.

Przeciw takiej profanacji człowieka wzbiera dziś uniwersalny bunt. Robotnik polski domaga się nie tylko chleba ale wolności. Zważmy, że slogany rozbrzmiewające w Poznaniu, na Wybrzeżu, w Warszawie, w Radomiu i ogniskach czerwcowych strajków całej Polski nie oznaczały hasła rewolucji politycznych ani nawet zmiany ustroju, ale wolnego oddechu, wolnej prasy, wolnych związków zawodowych, a już przede wszystkim zerwania z kłam-

stwem oficjalnym. Partyjne ciągoty „szkoły myślenia” nie mają z tym nic, ale to nic wspólnego.

Zmarły tragicznie w marcu 1977 roku filozof czeski Jan Patočka zaznaczał wielokrotnie, że nazwa „dysydentów” (poniewieranych przez „Szkołę myślenia”) jest niewłaściwa, gdyż chodzi tu o generalny opór duchowy przeciwko systemom, które miażdżą człowieka. Charakterystyczną cechą naszych czasów jest fakt, że w walce z kłamstwem, politycznym, społecznym, zawodowym, jakimkolwiek, łączą się solidarnie wszyscy ludzie dobrej woli, nie za cenę ustępstw w sferze religijnej lub „światopoglądowej”, ale w tym co wszystkim wspólne: prawda wewnętrzna wiodąca nieuchronnie ku prawdzie jako takiej, a więc ku Temu kto dla nas chrześcijan, JEST PRAWDA.

Wielką zdobyczą naszych czasów, uroczyście zatwierdzoną przez Drugi Sobór Watykański, jest fakt, że już dziś żadna partia ani partyjka Kościoła katolickiego monopolizować nie może. W żadnej partii czy partyjce Kościół się nie mieści. Że sojusz wielokrotny (czasami nieunikniony) między „tronem i ołtarzem” a więc między władzą świecką i władzą duchową został definitywnie przezwyciężony. Próby wskrzeszenia dawnych aliansów kończą się fiaskiem. Kościół dojrzał do wolności wewnętrznej. Dlatego PAX *musiał* przegrać. Dlatego przegra „pseudo-Znak”. Kto by dziś Kościołem chciał się posługiwać, zamiast mu służyć jest skazany na klęskę. Po prostu zostanie wyeliminowany jak ze zdrowego organizmu zatrute toksyny.

Nie podejmowałabym tej polemiki gdyby chodziło tylko o reprezentantów „szkoły myślenia”. Chodzi mi o czytelników, o tych prostych ludzi na obczyźnie, którzy biorą w spracowane ręce *Narodowca* czy inną *Myśl Polską* a nie mają dość zmysłu krytycznego, żeby w tej sieczce i plewach odnaleźć jakieś ukryte ziarna prawdy. Przeraza mnie tania dywersja ludzi skąd inąd uczciwych i prawych, jak p. Giertych, którzy zwracali się do rodaków „w obecnym okresie ciszy i pokoju”, 1 czerwca 1976 r., więc tuż przed wybuchem strajków robotniczych nie tylko w Radomiu i Ursusie ale w całej Polsce. Sama zbieżność tych dat świadczy dowodnie o wyobcowaniu emigracji z rzeczywistości w Polsce. Od przeszło roku głuche dudnienia podziemne zapowiadały zbliżającą się burzę. Mnożyły się sygnały ostrzegawcze. Tylko przeżuwacze przedwojennych problemów mogli łudzić się, że nastał „okres ciszy i spokoju”. Od grudnia 1970 roku Polska stanęła na zakręcie dziejów decydujących o przyszłości globu. Jakoże idzie nie tylko „nowe”, jak mawia Gołubiew, ale wzrosło „nowych ludzi plemię”, jak głosi Prymas Polski: młodzi urodzeni w Polsce Ludowej, wychowani wedle zasad komunizmu, szukający nowych dróg w imię praw człowieka. Że zaś jak powiada przysłowie katalońskie,

„*Déu escriu dret per linies tortes*” — Bóg prosto i prawidłowo na krzywych liniach dziejów pisze — byłoby wręcz impertynencją przewidywać, kiedy i jak to się skończy. Jedno jest pewne: także chrześcijanin musi być człowiekiem, pełnowartościowym, uczciwym, prawdziwym, gdyż nawet teologia zakłada fundament natury, potrzebny łasce, żeby miała się w coś „wkorzenić”. Niejeden osobisty wróg Pana Boga przeszedł od dwudziestu lat ciekawą ewolucję. Z Ewangelią się dogada. Z Chrystusem będzie rozmawiać. Nigdy przenigdy z samozwańczo katolicką „Szkołą myślenia”. Właśnie od Drugiego Soboru Watykańskiego stało się jasne, iż manicheizm wszelkiego gatunku, a więc przeciwstawienie „dobrych — złym” jest niebezpieczniejszy dla Kościoła niż ateizm. Bezbożnik w jakiś swój sposób Boga uznaje, skoro się z nim kłóci. Wyznawca manicheizmu zastygnie w negacji, w imię Boga, obróconego w karykaturę. Może dlatego „szkoła myślenia” taką nienawiścią zionie ku tym, którzy w twardej szkole życia, tam, w ojczyźnie, uczciwie rewidują dawne poglądy, krok za krokiem, bez matactwa? Ludzi których, o zgrozo! Prymas Polski darzy przyjaźnią i zaufaniem?

Emigracja, wszelka emigracja ma jedną tylko rację bytu: służebną. W naszych polskich warunkach winna być ustami zakneblowanych, uszami wyławiającymi głosy duchowego podziemia, a jeśli poczuwa się do katolicyzmu, echem polskiego Episkopatu, który nigdy w dziejach nie zdradził. Jakoże przyszłość Polski kształtuje się tam, nie tu. Tam, nie tu tkwią nasze korzenie. Tam, nie tu żyje naród w trudnych warunkach, lecz żyje. Uchodźstwo żyje w tym stopniu, w jakim nie zatraciło żywego związku z Ojczyzną. Wyobcowanie z rzeczywistości Kraju oznacza na krótszą lub dłuższą metę — śmierć.

Przeraza mnie fakt, że zamiast służyć owa „szkoła myślenia” ośmiela się narzucać programy i rady. Niepowołani eksperci prześcigają się w odgórnym wskazówkach, nie szczędząc nikogo kto by się z ich kręgów nie wywodził. Nie tak dawno toczono homeryckie boje żeby zdobyć „własnego, emigracyjnego biskupa”, niezależnionego od Episkopatu w Polsce. Innymi słowy — przywódcę sekty. Fakt, że Prymas Polski się nie ugiął, że Episkopat polski jednomyślnie zaciętnie więzy między uchodźstwem i polską hierarchią mianując jej opiekunami biskupów gnieźnieńskich, wywołał dąsy które nadal jątrzą.

Czytam w *Narodowcu* z 22 lutego 1977 roku: „Czytelnik na Zachodzie jest o wszystkim informowany prawdziwie, obszernie i wyczerpująco”. Trzeba niebywałego tupetu żeby się porwać na podobne oświadczenie. To prawda, że najzdolniejszy, najuczciwszy dziennikarz nie jest zabezpieczony od pomyłek. Sam

zawód dziennikarza wystawia go na sztych „dezinformacji”. Uczciwość zawodowa zobowiązuje go do sprostowań. Takowych nie uznaje sekciarski duch, który włącza rzeczywistość w prokrustowe łożo ideologii, jakiegokolwiek ideologii. Czytelnik mój bez trudu konkluzję sobie dośpiewa.

Wyobcowanie rodzi nieufność, co gorzej: fanatyczną podejrzliwość. Jest to charakterystyczny symptomat kompleksów niższości. Przed „zarazą” chronią tylko kwarantanny. Trzeba więc potępić w czambuł to wszystko, co dzieje się tam, co płynie stamtąd. Zapomnieć że w Polsce żyją Polacy. Trwać w niezłomnym przekonaniu, że „oni wszyscy”, tam, są zarażeni komunizmem. Że ratunek przyjdzie z owej emigracyjnej „szkoły myślenia”. Od ludzi, którzy czas przed burzą mianują „okresem ciszy i spokoju”, natomiast burzę, gdy wybuchnie, bagatelizują ku uciesze polskich władz.

Listy pana Giertycha i Klubu polskiej myśli „przenikają” do Polski bez najmniejszych trudności, pocztą. Już sam ten fakt powinien dać autorom do myślenia! Przemówień Prymasa w Polsce drukować nie wolno, a wydane za granicą kolportuje się cichcem. Sfałszowane Kazania Świętokrzyskie aż nadto świadczą kogo władze się boją. Nic to że niekiedy raczą odwołać zbyt grubą nicią zszywane kłamstwa. Pytanie w tym, czy tylko się boją?

Z woli Boga i narodu Prymas dźwiga ciężar rządu dusz. Nie tylko „bezpартijnych”. Nie tylko katolików, tych oficjalnych i mniej oficjalnych, a więc przytłaczającej większości narodu. Kardynał Wyszyński „odpowiada przed Bogiem nie tylko za potulne owieczki ale również za krnąbrnych kozłów”, z których niejeden, po spotkaniu z nim przeobraził się w owieczkę (niezawsze potulną).

Linia demarkacyjna między „Partią” i Kościołem nie przebiega tak, jakby tego pragnęli niektórzy patrioci emigracyjni. Od trzydziestu lat wielu ludziom dobrej woli spadły łuski z oczu, ujawniając gorzką prawdę. Oni to wszczęli ruch oporu, płacąc więzieniem i groźniejszymi niekiedy sankcjami „wilczych biletołów”. Oni to, zrazu z lękiem, potem z coraz to większą ufnością, wpatrują się w Kościół jako w cytadelę wolności. To nie że patrzą z zewnątrz, jak turyści krążący wokół katedry, która im jeszcze nie odsłoniła splendoru witraży tylko wewnątrz dostrzegalnych. Na tym polega mądrość Prymasa i polskiego Episkopatu, że nie nawracają lecz po prostu są. Zniewolony naród garnie się do Kościoła jako do ostoji praw człowieka. Tak było we wszystkich okresach przełomowych ostatnich trzydziestu lat. Potężny swoją niezależnością od moźnych tego świata, Kościół w Polsce kilkakrotnie odegrał rolę zbawczego hamulca, w momentach

wysokich napięć. Tak było w roku 1956, 1968, 1970 i 1976. Nie za cenę kompromisów. Kościół zawsze i wszędzie brał w obronę uciśnionych, poniewieranych, upokarzanych. Ostatnio — skrzywdzonych robotników.

Jakąż gratką dla władzy w Polsce Ludowej jest ocena Komitetu Obrony Robotników, a więc KOR'u przez rzeczoznawców wiadomej „szkoły myślenia”, występującej „w polskim interesie”? Artykuły pana Hoblera: „Sprawa Radomia, Ursusa i towarzyszy” (1-15/I/77) oraz: „Czy komuno-sanacja?” (1-15/II/77), z *Myśli Polskiej* mogłyby śmiało, z drobnymi skreśleniami, ukazać się w *Trybunie Ludu* albo w *Życiu Warszawy*. Radzę usilnie moim czytelnikom przeczytać od a do zet te dwie emigracyjne oceny faktów, które wywołały u nas jednomyślny zryw całego społeczeństwa, wszystkich ludzi dobrej woli, w obronie polskich robotników. Wiadomo jak bardzo zależy oficjalnej propagandzie na dyskredytowaniu tego ruchu, który powstał spontanicznie i zmobilizował najodważniejszych ze wszystkich środowisk społecznych. Czyżby tylko ignorancja tłumaczyła przymierze reprezentantów danej „szkoły myślenia” z oficjalną propagandą Polski Ludowej? To pewne że nienawiść zaślepia.

Solidarne wystąpienie społeczeństwa w obronie polskich robotników odegrało rolę zbawczej tamy. Nie tu czas i miejsce na ocenę polityczną KOR'u. Tych którzy oficjalnie wystąpili w obronie skrzywdzonych robotników i rodzin uwięzionych łączy wspólna cecha: przezwyciężyli strach. Szykany, pogroźki, wielogodzinne przesłuchania nie zdołały ich złamać. Ich komunikaty, których autentyczność p. Borowicz śmie podawać w wątpliwość¹ stanowią klapy bezpieczeństwa, chroniące robotników przed wszelką akcją niebezpieczną w obecnym układzie geopolitycznym Polski. Wbrew temu co wiadomej „szkoła myślenia” się śni, KOR nie tylko nie judzi, nawołując do bezmyślnych rozruchów, ale walczy bronią jedynie skuteczną, choćby na dalszą metę: rzetelną informacją, w imię praworządności. Fakty jakie podaje, bynajmniej nie anonimowe, uwierzytelnione setkami podpisów, wprawiają władze Polski Ludowej w istne zakłopotanie. Wiadomo od lat jaki strach we wschodnim bloku wywołuje ujawnianie prawdy. Tylko nieuk może podać w wątpliwość wpływ opinii

1. „Jest ciekawe, — pisze p. Borowicz w *Narodowcu* z 11 marca — że wszystkie nadsyłane rzekomo z kraju — rzekomo bo wcale nie wiadomo na pewno czy pochodzą one istotnie z kraju — komunikaty KOR'u docierają szeroko do prasy obcej, a wśród polskiej tylko do wybranych pism, związanych tak czy inaczej z dawną sanacją. Do *Narodowca*, największego polskiego dziennika na Zachodzie, KOR nie przysłał jeszcze bezpośrednio ani jednego tekstu swoich wypowiedzi...”. Najdziwniejsze jest to, pan Borowicz się dziwi...

międzynarodowej na dół prześladowanych w Związku Sowieckim. Od czerwca 1976 roku los polskich robotników w ustroju proklamującym rządy klasy robotniczej targnął sumieniem narodów. Gdyby KOR niczego więcej nie dokonał jak tylko zerwania masek oficjalnej propagandy, przypierając do muru tych, którzy ponoszą odpowiedzialność za rozpaczliwe zrywy czerwcowe (i lipcowe), a więc dowodząc niezbicie kumoterstwa polskich władz z bezprawiem, gdyby nie posypały się listy otwarte do Gierka i partii oskarżające i... ośmieszające prokuratora generalnego PRL, Lucjana Czubińskiego, broniącego publicznie „Służby Bezpieczeństwa”, której potwornych nadużyć (choćby „ścieżek zdrowia”) nikt w Polsce nie ignoruje, na pewno nie byłoby doszło do częściowej amnestii, wstydliwie maskowanej terminem „łaska”. Czy panowie dyktujący recepty na „przetrawianie” wiedzą, na jakie szkany byli i są narażeni ci wszyscy, którzy dzisiaj bronią uciśnionych nie słowami tylko, ale czynem, ale zdrowiem?

Przejdźmy do dowodów rzeczowych. Występując samowolnie „w polskim interesie” wiadoma „szkoła myślenia” gniewa się na intelektualistów, którzy swoim prestiżem popierają KOR, w Kraju i na emigracji. Oto wywody, raczej krotkocwilne, pana Hoblera²:

„Jest rzeczą niezmiernie ciekawą i podejrzaną, czytamy w *Myśli Polskiej* z 1-15 lutego br., że wszystkie rzekomo z kraju nadsyłane komunikaty KOR'u listy intelektualistów, apele i protesty dochodzą tylko do pewnych lecz spokrewnionych ze sobą pism na emigracji, które wszystkie związane są w tej czy innej formie z dawną sanacją. Pisma te jednocześnie znane są z tego, że grupują wokół siebie znanych lub wręcz nieznanymi z nazwiska pisarzy, którzy niedawno przybyli z kraju, gdzie zajmowali wybitne stanowiska w hierarchii komunistycznej. Ponieważ nie wszyscy z nich oficjalnie zerwali z komunizmem lecz starają się go tylko 'uzdrowić', rodzaj wolności jaki obiecują krajowi można śmiało określić mianem komuno-sanacji”.

P. prokurator Czubiński na pewno zatarł ręce z ukontentowania czytając taką oto apologię Urzędu Bezpieczeństwa tegoż autora, na łamach *Myśli Polskiej*:

„Nie znając ani dokładnego przebiegu demonstracji, ani ekscesów popełnionych przez wzburzony tłum... należy przyjąć, że reakcja policji na demonstrację bez zgody władz bezpieczeństwa miałaby podobny przebieg w innych krajach Europy Zachodniej...”. Zajścia te „należałoby porównać z podobnymi wypadkami w zakładach Forda, w Anglii, w październiku ubiegłego roku...”.

Można by szukać okoliczności łagodzących dla tak naiwnych (lecz groźnych skądinąd) wywodów pana Hoblera, gdyby rzeczony

2. P. Hobler przytacza niemal dosłownie wywody pana Borowicza figurujące w odsyłaczu numer 1. Świadczy to niewątpliwie o całkowitej jedno-myślności danej „szkoły myślenia”.

artykuł powstał *na gorąco*, z końcem czerwca 1976 roku. Wszelako data — 1/15 stycznia 1977 nie dopuszcza wątpliwości. Prawda o strajkach robotniczych w czerwcu i lipcu ubiegłego roku została aż nadto stwierdzona przez świadków naocznych, nie tylko Polaków, ale dziennikarzy i przedstawicieli środków społecznego przekazu całego świata. W tej perspektywie cytowany fragment z artykułu pana Hoblera nie może pretendować do żadnych okoliczności łagodzących. Naiwna gloryfikacja robotników, którzy „pozostali w lokalach fabrycznych”, zabezpieczając maszyny i urządzenia, w odlewniach, hartowniach... wymagających ciągłej obsługi”, świadczy o całkowitej ignorancji prawa strajku: robotnicy wszystkich nacji bronią urządzeń fabrycznych w czasie strajków, za pośrednictwem wydelegowanych w tym celu zespołów. Jest to punkt honoru robotniczego, jakkolwiek byłby ustrój.

Zgodnie z interpretacją pana Hoblera, demonstracje w dniu 25 czerwca „miały charakter spokojny” i na pewno odniosłyby skutek, „gdyby burzliwe demonstracje w Radomiu i Ursusie nie dały Partii możliwości zasłonięcia się ich 'chuligańskim aspektem'”. „Społeczeństwo polskie które z demonstracjami sympatyzowało, ten ich charakter niszczycielski na ogół oceniało krytycznie...”. Kubek w kubek to samo sugerowała prasa oficjalna PRL. Na zasadzie *divide et impera* wiadome odłamy emigracji wyłączyły „tych dobrych robotników, pilnujących maszyn i demonstrujących spokojnie” od tych chuliganów z ekscesami. Dalszy ciąg wywodów pana Hoblera potwierdza tę może niezamierzoną zbieżność z propagandą Aparatu Bezpieczeństwa Polski Ludowej. Oto co czytamy w tymże numerze 1/15 stycznia tejże *Myśli Polskiej*:

Zarówno prasa emigracyjna jak i obca przeoczyły liczne demonstracje o przebiegu spokojnym, a skoncentrowały się jedynie na zamieszkach w Radomiu i w Ursusie, które były burzliwe. Jak grzyby po deszczu pojawiły się rozmaite komitety, grupy i grupki, w obieg puszczono odezwy, apele i raporty 'z pola bitwy' publikowane przez prasę 'niepodległościową' a powtarzane za nią przez prasę obcą. Gdzie te komunikaty powstały, mimo nazwisk pod nimi podpisanych, trudno na pewno ustalić...”

Jak widzimy, p. Hobler myśli najdokładniej tak jak p. Borowicz. Ich „szkoła myślenia” tym upodabnia się do marksistowskiej, że ideologia nagina fakty, nie zaś fakty wpływają na ideologię. Istnieje pewien poziom intelektualny, który wyłącza dyskusję.

Nie tylko w ocenie robotniczych demonstracji czerwcowych „szkoła myślenia” reprezentowana przez p. Borowicza i p. Hoblera dostarcza wody na młyn propagandy oficjalnej w PRL. Podkreślam: oficjalnej, gdyż cichcem nawet partyjnicy czytają i podziwiają dysydentów sowieckich. Posłuchajmy dalej p. Hoblera:

„Przy okazji wypadków czerwcowych zyskała pewien rozgłos, więcej na emigracji niż w kraju, akcja pewnych grup ludzi, powiązanych ze sobą wspólną ideologią marksistowską... Dla okraszy znalazło się wśród nich paru ludzi, ideowo odmiennych. Akcja ich niewątpliwie wzorowana na przypadkach hałaśliwych demonstracji dysydentów sowieckich, różniła się jednak tym, że starała się utożsamiać i stwarzać pozory koordynacji z akcją protestacyjną robotników w kraju...”

„Istnieje możliwość, że ci intelektualiści są urzeczni demonstracjami dysydentów rosyjskich i wydaje się im, że jest to najlepsza możliwość wydostania się z kraju”.

Wątpię, żeby prasa oficjalna PRL szerzyła podobne oszczerstwa.

Sołżenicyn, przemocą wygnany. Bukowski, odstawiony w kajdankach do granicy, w zamian za Corvolana. Sacharow, laureat nagrody pokoju Nobla, który trwa na pozornie straconym posterunku, w nieludzkich warunkach, by bronić do ostatka praw człowieka i więźniów politycznych. Iluż innych, skazanych na banicję, za odwagę przekonań! Czy p. Hobler wie, że Sacharow specjalnym listem wziął w obronę polskich robotników, nękanych za czerwcowe demonstracje? Że siedmiu wybitnych rosyjskich dysydentów³ podpisało uroczyste wyznanie win narodu rosyjskiego wobec Polski pod tytułem: „Miara odpowiedzialności”⁴?

Insynuacja, że akcja KOR'u ma na celu „ułatwienie wydostania się z kraju” jest nie tylko krzywdząca ale wręcz sprzeczna ze świadectwem faktów. Czy przedstawiciele danej „szkoły myślenia” wiedzą, dlaczego Leszek Kołakowski i tylu innych spośród „inteligencji” znalazło się poza granicami kraju? Czy słyszeli o Marcu 1968 roku, którego punktem wyjścia była obrona „Dziadów” Mickiewicza, zdjętych przemocą ze sceny? Czy p. Hobler wie że „bunt młodych” ogarnął wówczas chłopców i dziewczęta kształconych w szkołach Polski Ludowej, z obowiązującym marksizmem? Że wielu z nich zapłaciło więzieniem obronę naszych wartości narodowych, skreślonych z podręczników? Że wielu z tych, którzy dziś są za granicą z ważnym dotąd paszportem wraca do Polski „choćby wprost do więzienia”, jak oświadczył publicznie Adam Michnik?

P. Hobler do takiej oto dochodzi konkluzji: „Nasze zadanie jest jasne: ostrzegać! Winniśmy się zachować jak ci robotnicy z Ursusa, którzy w czasie demonstracji pilnowali maszyn i urządzeń fabrycznych”.

3. Bukowski, którego pradziad był polskim powstańcem 1831 roku i został skazany na dożywotnią katorgę na Dalekim Wschodzie. Bukowski nie lubi słowa „dysydent”, twierdząc że właśnie ci, którzy bronią konstytucji, zobowiązań międzynarodowych, Praw Człowieka i „trzeciego koszyka” Helsinek są praworzadni.

4. *Kontynent* nr 5.

Ocenę psychologiczną, może nawet psychoanalityczną, powyższych wywodów pozostawiam Czytelnikom. To pewne, że Kraj zareagował oburzeniem i jednomyślnym potępieniem „doradców zza przypiecka”. Nie ma najmniejszej obawy, żeby nawiązał z nimi dialog głuchych! Najdziwniejsze chyba to, że oni się dziwią, nie znajdując echa.

Na to żeby rozbłysła w całej krasie „szkoła myślenia”, reprezentowana przez *Narodowca* i *Myśl Polską*, trzeba było *Listu otwartego* pana Jędrzeja Giertycha z datą 1 czerwca 1976 roku drukowanego w zakładach Veritasu w Londynie.

P. Giertych jest człowiekiem z gruntu uczciwym, nie bawiącym się w kręactwa. Wywody jego płyną z głębokiego poczucia odpowiedzialności za Kraj, z troski o jego los. Toteż swoich myśli nie obwija w bawełnę. Przemawia jak prorok, obarczony misją... niestety samozwańczą. O tym, do jakiego stopnia pisząc ten list był wyobcowany z polskiej rzeczywistości świadczą słowa, przytoczone z początkiem tego artykułu:

„Macie w kraju w obecnym okresie ciszy i spokoju zadania do spełnienia...”

A był to pierwszy czerwca 1976 roku.

Ta ignorancja rzeczywistości byłaby tylko żałosna i śmieszna, gdyby pan Giertych, nieświadomie, nie popierał oficjalnej propagandy Polski Ludowej. Całe szpalty jego listu „natchnionego” nadawałyby się do włączenia do podręczników szkolnych, obowiązujących w PRL. Zgodnie z historią zniekształconą, wpajaną w naszą młodzież, pan Giertych piętnuje „propagandę kultu powstań 1831, 1963 i 1944 roku”, „niepotrzebnie wszczętych i przegranych”⁵.

„Jestem jak najbardziej daleki, ciągnie p. Giertych, od potępienia żołnierzy tych powstań. Byli oni posłuszni swoim dowódcom i walcząc, spełnili — zazwyczaj z wielkim poświęceniem — swój obowiązek... Ale politycznych sprawców tych trzech szkodliwych powstań mogą potępić...”. „Polska

5. Wśród rad i pouczeń pana Giertycha pod adresem „kraju”, potępienie tych trzech „szkodliwych” powstań, 1831, 1863, 1944 jest chyba czymś najohydliwszym. Ci, którzy wierzą w Boga, pana Dziejów, odcyfrowali od dawna Jego odwety narodowych klęsk. Bez owych „szkodliwych powstań” nie mielibyśmy Brata Alberta, Rafała Kalinowskiego, Bronisława Markiewicza, Romualda Traugutta, tylu innych „świętych narodowych”, na ołtarzach lub nie. Nie mielibyśmy polskich wieszczów. Ale również dla moich przyjaciół niewierzących słowa pana Giertycha brzmią jak zdrada. W beznadziejnych powstaniach, zwłaszcza Warszawy 1944 roku, tysiące „zjadaczy chleba” dorosło do rangi najwyższego bohaterstwa, które oficjalna propaganda Polski Ludowej daremnie próbuje lekceważyć i maskować. Na szczęście, młodzież wychowana w Polsce Ludowej, tym pilniej wgrzyza się w naszą przeszłość, im bardziej się ją fałszuje. „Historia to pamięć Narodu”, mówi Sołżenicyn. Ratowanie tej pamięci jest jedną z najwspanialszych cech naszej dzisiejszej młodzieży, wierzącej lub „niewierzącej”.

odegrała rolę owcy, zrzuconej z sań na pożarcie wilkom, dla ratowania tych, którzy tymi saniami jadą... Istnieją siły w świecie, które chciałyby tak samo posłużyć się Polską dzisiaj...”

A więc z jednej strony biedni żołnierze wykolejeni i ujęci w karby iście pruskiej dyscypliny, a z drugiej dowódcy rzucający ich na pożarcie wilkom. O narodowych zrywach w obronie wolności zapewne p. Giertych nic nie wie. Natomiast nadal „ostrzeża”: „Troskę moją powiększa fakt rodzącego się w Polsce ruchu opozycyjnego”... Naiwność dalszych wywodów przekracza granice wiarygodności: „Katastrofa wrześniowa była wynikiem błędnej polityki obozu politycznego, który 'trzynastoletnimi rządami' doprowadził Polskę do nowego rozbioru, a który dzisiaj zdradza tendencje z punktu widzenia interesów Polski niebezpieczne...”. O tajnym układzie między Mołotowem i Ribbentropem decydujący o czwartym rozbiore Polski pan Giertych jakby nic nie wiedział.

Natomiast ujawnia winowajców. Są nimi oczywiście Żydzi. P. Giertych oświadcza „bez ogródek”: „Ogromny wpływ ma wśród nich” (reprezentantów tendencji opozycyjnych) żywiol żydowski lub blisko z Żydami związany”. Że zaś było to przed wyborami w Stanach Zjednoczonych, p. Giertych wziął pod ostrzał Kissingera, „wyraziciela dążeń światowego żydostwa”.

P. Giertych nic nie wie zapewne o komorach gazowych i krematoriach, które wchłonęły sześć milionów Żydów. Nie słyszał o zorganizowanym ludobójstwie hitlerowskiej dyktatury. Nie słyszał o powstaniu w getcie warszawskim ani o bohaterstwach powstańców-Żydach, którzy wybrali świadomie śmierć raczej niż hańbę.

Radzę usilnie panu Giertychowi i wyznawcom jego „szkoły myślenia” przeczytać wspaniałe przemówienie Prymasa Polski w setną rocznicę Powstania styczniowego.

Na pewno nie czytał książki Bartoszewskiego: *I ten jest z ojczyzny mojej*, w której znakomity historyk przytacza setki dowodów solidarności Polaków aryjskiego pochodzenia z Polakami-Żydami, solidarności świadomej przyjmującej ryzyko śmierci za zbrodnie ratowania bezbronnych.

Czy wie że jego poglądy zgadzają się znakomicie z poglądami Moczara i jego milicji. a więc z poglądami które zaważyły na zrywie studenckim i nie tylko studenckim 1968 roku? Może nawet w głowie mu się nie mieści, że w chwili gdy to piszę nagonka na Żydów w Związku Sowieckim dąży do przerzutów na Polskę i że są tacy w naszej ojczyźnie którzy ten bakcyl, dla kariery, propagują?

Pan Giertych uchodzi za gorliwego katolika i za takiego zapewne się uważa. Zobowiązuje go więc tak, jak wszystkich

katolików Drugi Sobór Watykański, który uroczyste i bezapelacyjnie potępił antysemityzm, wyłączając nawet z liturgii wszelkie aluzje, mogące podsycać uczucia „sprzeczne z Ewangelią”.

Gdy wiadome czynniki rozpętały w 1968 roku ohydny kampanię antysemicką, kardynał Wyszyński, w kazaniu wielkoczwartkowym, napiętnował z gniewem i żalem:

„widowiska nienawiści” „hańbiące naszą Ojczyznę, 'zniewagi godności ludzkiej', których dopuszczają się ludzie, poczuwający się do katolicyzmu, kosztem 'rzetelnego uznania prawa miłości dla wszystkich w naszej Ojczyźnie'. „Jesteśmy świadkami widowisk tak bolesnych, że serce się wprost kurczy z bólu... Wydaje się jak gdyby dla pewnej kategorii ludzi zabrakło już miłości i prawa do serca! Dzieją się wśród nas fakty, które nie mogą się w głowie pomieścić... Może to ja jestem winien, biskup Warszawy, bo nie dość mówiłem o prawie, o obowiązku miłości bez względu na mowę, język czy rasę, żeby na was nie padał cień potworny odnowionego rasizmu, w imię którego my rzekomo bronimy naszej kultury! Nie tą drogą! Nie drogą nienawiści! Kulturę naszą obronimy tylko przez prawo miłości...”

W obronie honoru Polski i Kościoła w Polsce wypada stwierdzić, że przedwojenny antysemityzm zgorzał w ogniu męki i wspólnej ofiary; tylko już emigracyjni pogrobowcy ówczesnej „szkoły myślenia”, mogą się zdobyć na enuncjacje w stylu pana Giertycha. Ma on w Polsce dwie kategorie sojuszników: tych którzy importują antysemityzm ze Wschodu, wedle wypróbowanej metody kółłów ofarnych, oraz pewne odłamy Służby Bezpieczeństwa, którym „huzia na Żydów” ułatwia robotę (niekiedy „mokrą”).

Natomiast u Polaków uczciwych, również partyjników, list p. Giertycha wywołał uczucie niesmaku i oburzenia. Pewien robotnik powiedział mi wręcz: „Kto jest ten drań (termin był mniej parlamentarny) żeby nas pouczać? Człowiek swój rozum ma, czy nie?”.

Niektórzy oponenci p. Giertycha wyciągają z jego prozy wnioski, które musiały go wprowadzić w niejakie zakłopotanie. Przytoczę dla przykładu list pana Klaudiusza Hrabyma, który również w Polsce i na Zachodzie „krąży”: z datą 16 lipca 1976 roku. P. Hrabym, który jak wiadomo z niejednego żłobu jadł⁶, uważa wprawdzie „pogląd pana Giertycha za absurdalny” ale uważa zarazem „za rzecz ze wszech miar słuszną”, że p. Giertych piętnuje

6. W swojej długiej a urozmaiconej karierze pan Hrabym niejednokrotnie zmieniał szefów i poglądy. Będąc w Stanach Zjednoczonych, w epoce stalinowskiej, ofiarował swoją współpracę Wolnej Europie, lecz jego kandydatura została odrzucona. Wrócił na stałe do PRL 29 września 1959 roku i wszedł we współpracę z PAX'em, zaczął pisywać w tygodniku *Kierunki* i w *Hejnale Mariackim*. Od 1963 do 1970 roku był redaktorem naczelnym biuletynu Krajowej Agencji Informacyjnej Interpressu „Polonia”. Potem przeszedł na emeryturę, z rentą trzech tysięcy złotych miesięcznie. Żonaty z obywatelką Stanów Zjednoczonych, która również pobiera rentę. Po przejściu na emery-

siły, które „chciałyby w Polsce wywołać konflikt z Rosją sowiecką”. Ubolewa natomiast p. Hrabym że wśród podżegaczy wojennych p. Giertych „nie wymienił i kardynała Wyszyńskiego”, w „jego pożałowania godnych wystąpieniach nie tyle religijnych co politycznych”, które to wystąpienia „nie tylko nie przyczyniają się do tak słusznie pochwalonego przez Pana obecnego okresu ciszy i spokoju” (p. Hrabym pisze 16 lipca 1976 roku, w pełni rozgorzałych rozruchów) „ale wręcz odwrotnie dorzucają w niejednym isierki i iskry zdolne spowodować eksplozję”...

„Jest takich źródeł podburzających i jęczących więcej, przy czym ich powiązania są w najwyższym stopniu zadziwiające, aby wspomnieć tylko koneksje co dopiero zmarłego tragicznie Antoniego Słonimskiego z organem katolickim *Znak*, uchodzącym za pośrednie echo kardynalskich intencji. Nie tylko więc autorzy listu 59, nie tylko prof. Edward Lipiński czy autorzy owego 'Programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju', ale także purpuraci, pozornie stojący daleko od ideałów prof. Lipińskiego i tow., pracując wytrwale nad próbami wzniecenia antyrosyjskich awantur w Kraju i o nich trzeba mówić tak samo jasno i otwarcie, jak o innych podżegaczach”.

Żeby do reszty pograżać zryw polskich robotników w obronie nie tylko chleba lecz i wolności (choćby *wolnych* związków zawodowych) p. Hrabym pisze:

„Żaden człowiek w Polsce zrozumieć nie może tych... co za lada podmuchem podpalają sklepy a przed tym je rabują, albo rozbierają tory kolejowe, dając w ten sposób wyraz duchowi oporu i dążenia do uzyskanie 'niezależności od Rosji’”.

Tu już oburzenie pana Hrabyma nie ma granic:

„Doprawdy trudno to odgadnąć, skoro ma się od trzydziestu lat państwo ze wszystkimi prerogatywami suwerenności i niezależności i skoro jest się w sojuszu z Rosją...” Jakże w Polsce może komuś przyjść do głowy, „że Polska jest wasalem a nie sojusznikiem Rosji”.

Trudno się dziwić, że list pana Hrabyma znalazł się w obiegu. Na ulicy Mysiej oceniono prawidłowo zawartą w nim argumentację. Natomiast kadry partyjne wiedzą dokładnie jakie jest stanowisko Prymasa, Episkopatu, Kościoła w Polsce. Wiedzą na skutek gorzkich doświadczeń, że do politycznych rozgrywek Kościół w Polsce nie da się wciągnąć. W tym jego siła, stąd posłuch narodu, gdy z ust najwyższego w Polsce autorytetu moralnego padają słowa ostrzegawcze przed „zrywami” które musiałyby skończyć się katastrofą. Najwyższe czynniki partyjne wezwwały na ratunek Prymasa Polski, z „odosobnienia” w Komanczy,

turę pisywał nadal w *Kierunkach* i w *Życiu Warszawy*. Jego powiązania z PAX'em są zapewne u podstaw judzenia przeciw „podżegaczom wojennym”, przeciw Prymasowi Polski i polskim biskupom.

żeby ratował Polskę przed losem Węgier. Takie było stanowisko Kościoła nie tylko w 1956 roku, ale również w marcu 1968 roku gdy Episkopat brał w obronę prześladowanych, uciśnionych, wyszydzonych, a także podczas buntu robotników na Wybrzeżu, 1970-1971 oraz w czasie strajków robotniczych, w czerwcu ubiegłego roku.

Taka jest „polityka” Kościoła w Polsce: unikać przelewu krwi i bronić się prawem: gwarancjami Konstytucji i zobowiązań międzynarodowych (Magna Charta Praw Człowieka, Uchwały podpisane w Helsinkach). Nikt w Polsce nie wątpi, że powstanie zbrojne przeciw Sowietaom byłoby samobójstwem. Nikt też się nie łudzi skąd pochodzą prowokacje. Sfałszowanie Kazań Świętokrzyskich w tej części, która wylicza prawa narodu, świadczy dowodnie komu zależy na kłamstwie. Jak nieraz bywało w dziejach, fałszerze minęli się z celem: bez ich ingerencji kazania te nie byłyby może tak czytane i rozchwytywane jak dziś.

Tym bardziej dziwić się należy że wiadome ośrodki emigracyjne połykają tak beztrąsko haczyk oficjalnej propagandy, pomawiając tych, którzy bronią Naród przed aktami rozpacz, o propagowanie „zrywów awanturniczych”. Świadomie czy nieświadomie wyrządzają Kościołowi w Polsce nieobliczalne szkody. Oskarżając Komitet Obrony Robotników (KOR) o polityczne dywersje, nie tylko mijają się z prawdą, ale krzywdzą ludzi mających dość odwagi i rozeznania, żeby stanąć w obronie więźniów politycznych, nie przekraczając granicy praworządności. Zamiast ośmieszać się programami zza przypiecka i bez najmniejszego ryzyka, czyżby ci panowie z emigracji nie mogli zmienić kursu, pisząc o tym co jest, a nie o tym co by chcieli żeby było? Rzetelna informacja jest przecież w ich zasięgu. Proponuję im przestudiowanie Dokumentów Drugiego Soboru Watykańskiego oraz Listów Pastorskich Episkopatu Polski, 1945-1974 i Listów Pastorskich Prymasa Polski 1945-1974, wydanych przez Pallo-tyńów w 1975 roku (846 i 694 stron). Ludziom dobrej woli wśród naszego uchodźstwa wymienione teksty otworzą oczy na rzeczywistość Kościoła w Polsce, który żyje i trwa w trudnych warunkach a od rodaków na obczyźnie oczekuje nie rad zjadliwych lub krytyk inspirowanych szeptanką obcej propagandy, ale pomocy⁷.

Maria WINOWSKA

7. Tym którzy chcieliby sprawdzić ścisłość cytów z Listu otwartego do społeczeństwa polskiego w kraju p. Jędrzeja Giertycha, podaje jego adres, figurujący na ostatniej stronie tego listu: London N.15. 3ET, 175 Carlington Road. Obok data 1 czerwca 1976 roku. Sądzę że jest ten list również do nabycia w drukarni Veritasu, w Londynie, jako że był drukowany właśnie tam.

Dziennik pisany nocą

Maisons-Laffitte, 11 lutego 1977

Kiedy dwa lata temu przeczytałem w almanachu rosyjskim *Ami* krótką powieść (a raczej „poemat”, jak ją określił sam autor z aluzją do *Martwych dusz* Gogola) Wieniedikta Jerofiejewa *Moskwa-Pietuszki*, byłem bardzo przejęty, nie zdając sobie jednak sprawy że z Rosji przyszło na Zachód małe arcydziełko. Widzę to teraz, po dzisiejszej dwukrotnej lekturze wymienitego przekładu polskiego Niny Karsow i Szymona Szechtera.

O Jerofiejewie nie wiemy prawie nic, a to co wiemy jest niepewne. Podobno urodził się w roku 1939 i skończył filologię na Uniwersytecie Moskiewskim. *Moskwa-Pietuszki* jest debiutem i jak dotąd jedynym jego utworem, „Wieniczka Jerofiejczyk” woli wódkę od atramentu. Zarabia na życie jako robotnik-tramp, nie znosi stałego miejsca zamieszkania (albo nie znoszą go zbyt długo w stałym miejscu pracy). Jest dość prawdopodobne, że nie słyszał wcale o swoim sukcesie literackim na Zachodzie: o tłumaczeniu francuskim „poematu” (z przedmową Michała Hellera) powitany świetnymi recenzjami, o wydaniu włoskim które natychmiast uplasowało się wysoko na liście *best-sellerów*.

Sprowadzony do szkieletu fabularnego, „poemat” Jerofiejewa jest opowieścią o niecałej dobie w życiu narratora-pijusa. Wczesnym ranem, już w stanie lekkiego „zaprawienia”, Wieniczka wyrusza na Dworzec Kurski w Moskwie, mruczac pod nosem: „Wszyscy mówią Kreml, Kreml, a ja sam Kremla nigdy nie widziałem”. Z Dworca Kurskiego odchodzi pociąg do Pietuszek, dwie godziny jazdy ze stolicy. W Pietuszkach mieszka ukochana moczymordy. W pociągu zaczyna się ochłaj zbiorowy, nawet bile-

ter każe sobie płacić wódką a nie kopiejkami. Króciutkie rozdziały „poematu”, odpowiadające etapom trasy, wypełnione są obłądnym monologiem narratora w pijanym widzie i równie obłądnym bełkotem pozostałych pasażerów. Zamiast wysiąść w Pietuszkach, król „koktajlów” wraca tym samym pociągiem do Moskwy. I zostaje zaatakowany nocą przez czterech ludzi pod murami tegoż Kremla, którego nigdy nie widział: jeden z napastników wbija mu sztyło w gardło. Nieodparty komizm „poematu” należy zrównoważyć jego dedykacją: „Najmilszemu Wadimowi Tichonowowi te *tragiczne* strofy ofiarowuje autor”.

Warstwa wierzchnia „poematu” jest zatem satyryczna, odsłania współczesną Rosję znaną dobrze każdemu, choćby przelotnemu podróżnikowi: Rosję pławiącą się w alkoholu, przemytą dziś wódką jak była wczoraj przemytą krwią w głosnej powieści rewolucyjnej Artiomia Wiesołego. Pije się żeby zapomnieć, pije się z braku czegoś innego, pije się z rozpacz, pije się żeby „nie upaść duchem”, „rozjaśnić sobie w głowie” lub „splukać brudną duszę”, pije się dla nawiązania kontaktu z bliźnimi, pije się bo zimno, bije się bo gorąco. Lecz Jerofiejew, poprzez niezmiernie subtelną grę asonansów i ech historycznych i literackich, nadaje temu uniwersalnemu ochłajowi cechy wieczności, jakby chodziło o nieodwracalne przeznaczenie narodowe. I na zabiegu historyczno-literackim, „wiecznym”, zaszczerpia wyborczy i prowokacyjny zabieg lingwistyczny, „współczesny”: posługuje się szczerze groteskowym gniotem urzędowego, bombastycznego żargonu sowieckiego i ulicznej gadki, sprośnego języka ludowego. Rezultat jest niezwykły: nie tyle oblicze co gogolowska morda rzeczywistości sowieckiej w połączonym zwierciadle propagandy komunistycznej.

Spod warstwy satyrycznej prześwituje, jak w palimpseście, warstwa tragiczna. A może, bardziej niż o palimpseście, wypadałoby tu mówić o mistrzowskim zestrojeniu w *unisono* śmiechu i płaczu. Przeciera się oczy i uszy ze zdumienia, nie wierzy im się, a przecież jest właśnie tak: każdemu wybuchowi śmiechu Jerofiejewa towarzyszy głęboki i wstrząsający szloch. I zaczyna się pojmować, także dzięki coraz liczniejszym zaciepieniom *en passant* o Ewangelię, czym jest w „poemacie” szmirusa-pijusa podróż Moskwa-Pietuszki i z powrotem. Czymś w rodzaju Drogi Krzyżowej umierającej duszy, z etapami trasy które są stacjami Męki, aż do Ukrzyżowania pod murami Kremla. „Bezwstydni! Ziemię moją zamienili w najbardziej plugawe piekło i łyżką ukrywać przed ludźmi, a za to śmiech wystawiać na widok publiczny! Nikczemne szuje! Nie pozostawili ludziom nic, prócz rozpacz i strachu! A na dobitkę śmiech u nich publiczny, a łyżką zakazane! Och, móc powiedzieć teraz coś takiego... jednym sło-

wem jak ogniem zniszczyć te kanalie! Powiedzieć coś takiego, co wtrąciłoby w panikę wszystkie ludy starożytnego świata!”.

Wielodenność „poematu” nie kończy się na tym. W epilogu wyczuwa się u Jerofiejewa ledwie uchwytnie pragnienie przerzucenia pomostu między Ewangelią i Kafką. „Wszyscy mówią Kreml, Kreml, a ja sam Kremla nigdy nie widziałem”. To kafkowski Zamek. Widzi go wreszcie, zanim następuje Ukrzyżowanie sztyłem wbitym w gardło. I przychodzą na myśl ostatnie słowa *Procesu*: „Gdzie był sędzia, którego nigdy nie widział? Gdzie był najwyższy trybunał, do którego nigdy nie dotarł? Dokoła gardła K. zacisnęły się dłonie jednego z ludzi, gdy drugi wbił mu nóż w serce i po dwakroć go przekreślił”.

Nie mam wątpliwości że w osobie Jerofiejewa pojawił się w Rosji, aby natychmiast zniknąć nie wiadomo na jak długo, pisarz dużego formatu. Rosyjskie *podpolje* bogatsze chyba jest, niż kiedykolwiek. Prawda, odmienne niż za czasów Dostojewskiego; i zarazem dziwnie blisko spokrewnione z rewelacją roku 1864: w desperacko-zuchwałym monologu i w marzeniu ukrytym pod „zbrukanym zleżałym śniegiem”.

14 lutego

Wieczór Bukowskiego w *Salle Iéna*, pełno Rosjan, Polaków, Czechów, Węgrów, Ukraińców, przeważają ludzie młodzi. Bukowski, usadowiony między Niekrasowem, Galiczem i Gorbaniowską, odpowiada na pytania, które interpelanci przynoszą mu na karteczkach. Odpowiada jasno i zwięźle, *to the point*, ma się wrażenie uczestniczenia w wieczorze angielskiej *debating society*. Mógłby w niewielu słowach zreasumować swoje długoletnie doświadczenia więzienne? „Tak, ale nie chcę mówić o moich cierpieniach osobistych. Chcę podkreślić z naciskiem fakt, że więzienia, łagry i *psychuszki* zatłoczone są nie Rosjanami, lecz Ukraińcami, Bałtami, Kaukazczykami i innymi *nacmienami*. Za kratami i za drutami kolczastymi to my, Rosjanie, jesteśmy prawdziwym *nacmienszenstwom*”. Bez wahania, i bez wymijających kruczków, solidaryzuje się z aspiracjami niepodległościowymi Ukraińców. Oczywiście ktoś pyta o zapowiedzianą już w prasie wizytę w Białym Domu. „Powiem w Białym Domu dokładnie to samo, co mówię tutaj. Że gdyby pewnego dnia Carter postanowił wycofać się z walki o prawa ludzkie i obywatelskie w ZSSR i w Europie Wschodniej, byłaby to dla nas klęska o wiele dotkliwsza, niż gdyby nowa administracja nie angażowała się była w ogóle w tę sprawę”. I po chwili namysłu: „Stany Zjednoczone bez ustanku pomagają Związkowi Sowieckiemu. Ale jest

pomoc i pomoc. Można pomagać na określonych warunkach, żądając w zamian ustępstw w dziedzinie różnych wolności. I można pomagać nie żądając w zamian niczego, nie interesując się zbyt podkarmianym i podpieranym reżymem. Opowiem przy sposobności dość wymowny, kto wie nawet czy nie symboliczny drobacz. Kiedy ubity został targ wymienny, czyli ja za Corvalana, załadowano mnie w Moskwie do samolotu w kajdanach. Podczas przelotu przyjrzałem się uważniej moim kajdanom. Odcisnięty był na nich znak fabryczny *Made in USA*".

Poznałem Bukowskiego przedwcześniej, przyjechał do *Kultury* w towarzystwie Nataszy Gorbaniewskiej. Akurat tego dnia ukazał się w *Nouvel Observateur* obrzydliwy wywiad z Corvalanem (przeprowadzony w Moskwie). Wśród prawdziwych na pewno opowieści o okropnościach dyktatury policyjnej Pinocheta, wśród oświadczeń miłosnych pod adresem Breżniewa i... Berlinguera, Corvalan sztywniał natychmiast i trząca strunę gniewnej pogardy, ilekroć padało nazwisko Bukowskiego. Jakże tak, czy to nie antykomunista Bukowski wyraził naturalną ludzką radość z okazji zwolnienia Corvalana? Nie, nie, sekretarz partii chilijskiej ani na okamgnienie nie wierzył w szczerłość sowieckiego dysydenta. I nie uważa go za więźnia politycznego. Więcej, „najzupełniej normalne wydaje mu się że ZSSR w odruchu samoobrony ściga swoich wrogów wewnętrznych, szpiegów”. Tak samo postąpią komuniści chilijscy, gdy ich kraj stanie się na powrót „demokratyczny”. Łagry sowieckie? Brak o nich ścisłych i wiarygodnych informacji. Owszem, Corvalan oglądał kiedyś krótki film telewizyjny o łagrach w okolicach Rygi, ale nie ma żadnych dowodów że chodziło tam o więźniów politycznych. Zresztą, „przyleciałem do Moskwy nie po to chyba, żeby studiować sowiecki kodeks karny”. A jeśli zdarzy mu się spotkać gdzieś Bukowskiego, co powie byłemu więźniowi nie politycznemu? „Nie zdarzy mi się nigdy spotkać Bukowskiego”.

Obserwowałem Bukowskiego, gdy Natasza tłumaczyła mu z francuskiego odnośne fragmenty wywiadu. Miał minę na wpół ubawioną, na wpół smutną. Naraz przerwał tłumaczenie zniecierpliwionym gestem i szepnął cicho: „Dosyć, wystarczy to, co przeżyłeś. Co do mnie, nie przestaję się cieszyć że zwolniono Corvalana”.

W wieku trzydziestu pięciu lat, z ciężarem tylu lat więziennooobozowo-„psychiatrycznych”, Bukowski jest zaskakująco nietknięty, w jego ładnej i otwartej twarzy błąka się odcień łagodnej chłopięcości. Dość jednak kilku minut rozmowy, aby sobie uprzytomnić jak sprawny, precyzyjny i dojrzały jest jego umysł. W przeciwieństwie do większości dysydentów rosyjskich mówi tylko to, o czym wie z własnego doświadczenia i z bezpośredniej obserwacji,

lubi język suchy i lakoniczny, nie wygląda na skłonnego do dysput „ideologicznych”. Na mapie opozycji sowieckiej umieściłbym go gdzieś w połowie drogi między Sacharowem i Amalrikim. Ale szybki portret trzeba uzupełnić jedną kreską, odpowiedzią na pytanie londyńskiego *Observera* czemu przypisać, że nie załamał się nigdy w łapach oprawców z KGB: „Wewnętrznej wolności. Kiedy się posiada wewnętrzną wolność, której źródłem jest wierność sobie i przyjaciółom, nikt nie potrafi ci jej odebrać. Łatwiej jest odebrać sobie życie”. Rys bohaterów *Pierwszego kręgu*.

19 lutego

Adam Ciołkosz pisze w książeczce o Wandzie Wasilewskiej: „Spokój ducha i radość Wasilewskiej umocniły się, gdy Gestapo — na prośbę władz sowieckich — dostarczyło do Lwowa jej córeczkę Ewę z Warszawy; matka Wasilewskiej odmówiła skorzystania z grzeczności Gestapo i pozostała w Warszawie. W kilka miesięcy później na życie Wasilewskiej padł cień: zginął jej mąż, zastrzelony przez nieznaną sprawców. Helena Usijewicz podaje do wierzenia: zabity przez bandę kontrrewolucjonistów. Nie było bandy kontrrewolucjonistów, sprawcy mówili po rosyjsku; gdy w mroku zimowego wieczoru Bogatko uchylił drzwi, padło pytanie w języku rosyjskim i zaraz potem strzały. Bogatko zachowywał się we Lwowie tak samo jak przedtem w Krakowie i Warszawie, chodził gdzie chciał i mówił co myślał. Nie żył w stanie euforii jak jego żona, miał oczy otwarte..., toteż kręcił nosem na nową rzeczywistość”.

Lwów, zima 1939. Byłem wtedy zamieszany w jakąś konspiracyjną robotę, żyłem w stałym napięciu, zmieniałem wciąż noclegi. Któregoś dnia los zetknął mnie z Lidią Ciołkoszową, mieszkającą u znajomych z dziesięcioletnim Andrzejem. Było to w przeddzień ich wyjazdu do Lidy, a stamtąd do Kowna i dalej na Zachód (Adam był już w Rumunii). Pamiętam rozmowę w dużym gronie, Andrzeja bawiącego się pod stołem, pamiętam też że tego wieczoru jedyny raz w życiu zemdlałem (z przepalenia). Lwów zżerany był przez raka terroru, wszyscy bali się wszystkich. Menażerię literacką tresowali Borejsza i Putrament. Od wczesnego rana siadywało się w kawiarni Szkockiej, dobrze ogrzewanej; koło południa wkraczał do niej groźnie i majestatycznie Ważyk, jego obchód ucinął swobodniejszą nieco paplaninę przy stolikach. Nie milkł tylko Przyboś, rozgadany wówczas aż do znużenia na temat swojego „projektu poetyckiego”; planował mianowicie wyprawę na Krym i napisanie nowych sonetów krymskich.

Otóż w tym zimowym, sowieckim, sterroryzowanym Lwowie słyszałem niemal codziennie na różnych nocnych kwaterach tę samą „zbitkę”. Składała się z trzech członów. Pierwszy był opisem przejazdu przez miasto samochodów gestapowskich, które na życzenie sojusznika miały małą Ewę uszczęśliwić Wielką Wandę. W drugim była mowa o zastrzeleniu robotniczego księcia małżonka, przy czym w tej wersji wiecznie pijany Bogatko rozstał się z życiem nie jako *bołtun*, lecz jako swoisty środek profilaktyczny zaaplikowany żonie: żeby jej się w głowie nie przewróciło, żeby wiedziała z kim zawiera nierozzerwalny ślub polityczny. I wreszcie trzeci człon, który zależnie od opowiadających podłany był to gęstym sosem zgrozy, to rzadkim i zjęczającym sosikiem chichotu. W *Czerwonym Sztandarze* wydrukowano coś w rodzaju petycji do tronu za przyłączeniem Zachodniej Ukrainy do USSR, z licznymi podpisami przedstawicieli ludu pracującego i postępowej inteligencji; jednym z sygnatariuszy okazał się skromny polski nauczyciel ludowy ze Stanisławowa, podpisano go nie pytając o zgodę; nazajutrz po ogłoszeniu petycji przyjechał do Lwowa z własną deklaracją patriotyczną, chodził po ludziach z prośbą o poświadczenie, zamierzał ten dokument zakopać w butelce obok stanisławowskiej szkoły; wylądował, rzecz prosta, w stanisławowskim więzieniu.

W mojej niewinnej sprzeczce z Miłozsem o *Zniewolony umysł* nazywałem Lwów pod okupacją sowiecką poligonem powojennej rzeczywistości krajowej. Dziś, po lekturze książeczki Ciołkosza o Wasilewskiej, przeczytałem jednym tchem *Widziane z ławy obrończej* Anieli Steinsbergowej. A no właśnie, jak mawia w podobnych wypadkach Kisiel.

22 lutego

Prawica, Lewica, znaczą jeszcze coś te słowa? *Encounter* urządził sympozjon *Who's Left, What's Right?*, w którym zaproszeni przez redakcję pisarze i uczeni usiłują „zbadać zmienne postawy wobec liberalizmu, konserwatyzmu i radykalizmu”. Według mnie, słowa Lewica i Prawica znaczą coraz mniej. I im mniej znaczą, tym większą przywiązuje się do nich wagę, jak do magicznych zaklęć. Przed dwoma laty w Lizbonie, na pierwszym posiedzeniu parlamentu portugalskiego, nikt nie chciał zająć pustych miejsc na prawo od środka sali. W parlamencie włoskim czwórka posłów nowozałożonej partii radykalnej stoczyła prawdziwą bitwę, by wdrzeć się do ławek na lewo od komunistów. Lewica i Prawica tracą stopniowo sens, odkąd totalitaryzm w swoich trzech odmianach programowo „lewicowych” — komu-

nistycznej, faszystowskiej i hitlerowskiej — zburzył stary trójdzielny schemat socjalizm-liberalizm-konserwatyzm. Mało kto wie (ja dowiedziałem się z dobrze udokumentowanego artykułu Awtorchanowa, autora *Technologii władzy*, w *Kontynencie*), że po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow w Ojczyźnie Lewicy układano na zamkniętych zebraniach partyjnych pokrewieństwa „ideologiczne” między Trzecią Rzeszą i ZSSR. Po dojściu Hitlera do władzy komuniści niemieccy zwalczyli przede wszystkim (na polecenie Stalina) socjaldemokratów, odnosząc się wyczekująco do „braci w brunatnych koszulach”. Stosunki faszyzmu włoskiego z Moskwą też pozbawione były początkowo wzajemnej wrogości, aż do czasu gdy Hitler narzucił Mussoliniemu hasło „walki z judeo-bolszewizmem”. W roku 1936 ukazał się w *Lo Stato Operaio* apel Togliattiego *Bracia w czarnych koszulach!*: „Robotniku faszystowski, podajemy ci rękę gdyż razem z tobą chcemy zbudować Włochy pracy i spokoju, podajemy ci rękę gdyż jesteśmy jak ty synami ludu, twoimi braćmi, mamy te same interesy i tych samych wrogów... Pora chwycić w dłoń pałkę przeciw kapitalistom, którzy nas poróżnili, aby zmusić ich do zwrócenia nam tego co zgrabili! Podajemy ci rękę, bo razem z tobą pragniemy uczynić z naszych pięknych Włoch kraj silny, wolny i szczęśliwy”.

Trochę za łatwe byłoby przypomnienie, że w okresie apelu Togliattiego gnił w więzieniu faszystowskim Gramsci, do którego towarzysze partyjni nie odzywali się na spacerach tytułem kary za napiętnowanie stalinowskiego rozgromu „starej gwardii leninowskiej”. Sam Gramsci był jednym z ojców fundatorów nowego kościoła komunistycznego, wzniesionego na opoce „pozytywnego totalitaryzmu lewicy” (w wojnie z „negatywnym totalitaryzmem prawicy”). Nawet więc Gramsci, pośmiertnie postawiony na ołtarzu przez „eurokomunistów” i wielbiony przez schizmatyków komunistycznych wszelkich maści, jest odpowiedzialny za doprowadzenie do absurdu linii podziału na Lewicę i Prawicę. Istnieje dziś tylko linia podziału totalitaryzm-antytotalitaryzm. Czwórka włoskich radykałów, która przesadzając na złamanie karku ławki parlamentu rwie się do miejsc na lewo od komunistów, dość powierzchownie narusza mistyfikacyjny anachronizm tradycyjnego układu. Mogłaby z powodzeniem usiąść spokojnie obok „prawicowych” liberałów.

28 lutego

Od południa wielkie poruszenie w domu, telewizja nadała wiadomość o tajemniczych pożarach w Moskwie. Najpierw sko-

jarzyło mi się to z *Biesami*: słynne *pustim pożary* Wierchowieńskiego. Kruczek w świeżym przeglądzie prasy, napomykając o wybuchu w moskiewskiej kolejce podziemnej, przepowiada odżycie terroryzmu rosyjskiego. Ale dłuższa refleksja podsunęła mi inne przypuszczenie, zwłaszcza kiedy przypominałem sobie zeszłoroczne pożary w Warszawie. Bardzo prawdopodobne, że ogień stał się nowym znakiem w hermetycznej semiotyce dyskusji wewnątrzpartyjnych. Krytycy Breżniewa odpowiadają mu ogniem i dymem moskiewskim, jak resztki frakcji moczarskiej próbowały ugotować Gierka na wolnym ogniu warszawskim. Jeśli tak, to w języku partii zachodzi poważna zmiana. niegdyś dyskusje wśród towarzyszy obfitowały w zwrot *plamienny partyjnyj priwjet*, obecnie zastąpi go *plamiennyj partyjnyj otwiet*.

7 marca

Popołudniu przyjechał Jefim Etkind, b. profesor literatur rokańskich w leningradzkim Instytucie Herzena, teraz wykładowca w Nanterre. Z parugodzinnej pogawędki z nim muszę dla pamięci odnotować dwie rzeczy.

Etkinda osaczono za wierność w przyjaźni z Sołżenicynem, usunięto z Instytutu i w październiku 1974 roku wepchnięto na drogę emigracji. W czerwcu następnego roku odwiedziłem go w Suresnes pod Paryżem (jest o tym zapis w moim dzienniku). Spotkanie nie wypadło najlepiej, w moim zapisie czuć nutkę ironii (za którą w *Kulturze* zgromił mnie Wirpsza), jeszcze bardziej popołgowałem sobie w artykule w *Giornale* pod wyraźnie złosliwym tytułem *Dysydent wbrew woli*. Etkind nie tylko się nie obraził, lecz zawiadomił mnie w miłym liście dziękczynnym, że swoje gotowe już do druku *Zapiski niespiskowca* postanowił przemianować na *Dysydenta wbrew woli*. Dziś, ledwieśmy się przywitali, powiedział: „Należy się panu informacja, że wracam do poprzedniego tytułu książki. Skłoniła mnie do tego osoba, która jest dla mnie najwyższym autorytetem w ZSSR, Lidia Czukowskaja. Jej zdaniem można być emigrantem wbrew woli, i tak było w moim wypadku; ale nie można być dysydem wbrew woli: postawa dysydenta implikuje własny świadomy wybór”. Moim zdaniem także, drwiący tytuł artykułu podyktowała mi stara, dobrze nam z polskiego podwórka znana choroba „trzeciego miejsca”.

W związku z Czukowską usłyszałem od Etkinda rzecz smutną. Pisz ona książkę zatytułowaną *Nieszczęście*, która ma być obroną osiemdziesięciu pięciu osób skrzywdzonych przez Nadieżdę

Mandelsztam w jej wspomnieniach. Stało się nieszczęście: Nadieżda Jakowlewna, autorka jednej z najwybitniejszych pozycji we współczesnej literaturze rosyjskiej, dawała zbyt łatwo wiarę plotkarskiej szeptance, nie potrudziła się by w każdym konkretnym przypadku sprawdzić własne podejrzenia, i w ten sposób wielkie dzieło swego życia skaziła dziesiątkami ran zadanych niewinnym ludziom. „Często chodzi o ludzi mało znanych poza środowiskiem, których od całkowitego zapomnienia uratuje tylko jedno zabójcze zdanko we wspomnieniach rosyjskiej Antygoni”. Czukowskaja uważa za swój obowiązek naprawić tę krzywdę w jakimś przynajmniej stopniu, chociaż zdaje sobie sprawę na czyj młyn będzie wodą jej książka. Opowiadając mi o tym, Etkind połączył wspomnienia Nadieżdy Mandelsztam z *Cielakiem* Sołżenicyna: „I Sołżenicyn skrzywdził sporo ludzi, przede wszystkim Twardowskiego”. To przesada. Postać Twardowskiego jest tragiczna, najdoskonalej zresztą zarysowana w całej jego dotychczasowej twórczości obok postaci Samsonowa z *Sierpnia* 1914.

8 marca

Śliczny, wiosenny dzień, rano wybraliśmy się do *Centre Pompidou*. Okazał się zamknięty. Trzeba było zadowolić się oglądem z zewnątrz. Ogromna rafineria nafty z rurami pomalowanymi na żółto, lazurowo i czerwono? Czy Transatlantyk? I jedno i drugie. Z domieszką cyrku i kolejki górskiej w Lunaparku. Przećwicznicy przebakują z przekąsem o Wieży Babel, o Arce Noego, o Hangarze Kultury. Zwolennicy odwołują się do „skandalu” z końca zeszłego stulecia: Wieża Eiffla wywoływała analogiczne wstręty i dąsy, a przecież dziś Paryż byłby bez niej o ileż uboższy.

Wieczorem Transatlantyk bierze górę nad innymi skojarzeniami: przy światłach zapalonych na wszystkich pięciu pokładach (bo są to raczej pokłady, niż piętra) pompidoliański Beaubourg jest Okrętem, uwięzionym w suchym doku Miasta. Wizyta w środku (świetna wystawa malarstwa współczesnego, znakomita podobno biblioteka, improwizowany teatr uliczny na parterze) dorzuca do tego wrażenia jeszcze inne: Supermarket Kultury. Więc w końcu na dzieńno-nocny obraz Centrum czyli nowego Pępka Paryża składają się trzy elementy: Rafineria plus Transatlantyk plus Supermarket.

Projektodawcą jest młody architekt włoski Renzo Piano, który wzruszeniem ramion zbywa zaczepki i przytyki: „Kiedy Le Corbusier stworzył jedność pomieszczenia, wierzyło się w architekturę, w jej funkcję modelowania ludzkiego sposobu życia. Nasza

epoka nie wierzy w architekturę, wierzy się w przestrzeń i działanie". A zatem: nie wolno było interpretować Centrum jako ośrodka konserwacji kultury uwarstwionej, należało zbudować po prostu przedłużenie placu i ulicy. Grecka *agora*? Rzymskie *forum*? Nnno tak, coś w tym guście, taka *agora* i takie *forum*, na jakie zasługujemy.

9 marca

W roku 1971 widziałem wystawę retrospektywną Francis Bacona w *Grand Palais*. Wyszedłem z niej przekonany o wielkości Bacona, ale nie potrafiąc sobie na własny użytek wyjaśnić w słowach na czym polega sekret tej wielkości. „Klucz” do wielkiego artysty nie jest aż tak ważny, chociaż w mojej sytuacji byłwał wystawowego o typowo literackich reakcjach na malarstwo jego brak ociera się o udrękę.

Dwadzieścia siedem nowych płócien Bacona w galerii Bernarda przybliżyło mi może do „klucza” na znośniejszą nieco odległość. W przedmowie do katalogu wystawy Michel Leiris pisze wnikliwie o baconowskim „napieciu” przeciwstawionym estetyzmowi sztuki abstrakcyjnej, o jego ambicji *figurer sans illustrer*, o ustawicznym kontraście między intensywnością przedstawianych figur lub przedmiotów i neutralnością ich tła, o udanym sprzężeniu inteligencji i impulsu, flegmy i szaleństwa, miary i nadmiaru, o laickiej transformacji mitów chrześcijańskich z powracającym wciąż tematem Ukrzyżowania, obecnym nawet w motywie jatki. A jednak, jak bywa czasem u wnikliwych i subtelnych krytyków, wywód przechodzi obok Bacona, nie dociera do jego malarskiego „jądra ciemności”. Co przykuwa z taką niezwykłą, magnetyczną prawie siłą w tym wizerunku mężczyzny skręcającego się nad muszlą umywalni, nad stołem, na schodach, w tym mięsistym nagromadzeniu studiów portretowych i autoportretów o poharatanych twarzach i rozplątanych rękach i nogach? Nie znam we współczesnym malarstwie równie potężnej i równie fizycznej wizji samotności człowieka rzuconego w świat, rozpiętego na samym swoim istnieniu, umęczonego nim, zgubionego w pustce rzeczywistości. Leiris każe pamiętać o baconowskim temacie Ukrzyżowania, w tym przelotnym niestety punkcie jego przedmowa powinna zacząć się na dobre. Nie jest bynajmniej dziwne to, że patrząc na obrazy Bacona myślałem o czarnej perle naszej pinakoteki neapolitańskiej: o *Ukrzyżowaniu* Masaccia, w którym głowa Chrystusa wyrasta wprost z torsu, jakby przetrącono Mu kręgosłup przed przybiciem do krzyża.

Neapol, 17 marca

W książeczce Henryka Krzeczковского *Po namyśle* uderzyły mnie, jako wyjątkowo jasne i celne, dwa szkice: o autobiografii Heisenberga, oraz o intelektualnych i moralnych manowcach Heisenberga, Heideggera i podobnych im podsądnych w aktualnym ciągle procesie, którego akt oskarżenia sprowadza się do „zdrady klerków”. U progu hitleryzmu, zwłaszcza po decyzji usuwania uczonych pochodzenia żydowskiego z uniwersytetów niemieckich, Heisenberg wahał się czy zostać w kraju. Rozwiąły te wahania Planck, zachęcając do tworzenia „wyspy przetrwania” za cenę „nieuniknionych kompromisów”. Krzeczkowski wytyka temu stanowisku brak „instancji odwoławczej” i wskazuje szczytny przykład biskupa Hudala, piętnującego „milczenie i czekanie jako aprobatę mitu narodowego socjalizmu i spotwarzenie Wiary”. Heisenberg (powiada Krzeczkowski) „obrał postawę obcą nam i niezrozumiałą, u jej źródeł bowiem zdaje się leżeć rozumienie narodu jako ostatecznego układu odniesienia, jako instancji najwyższej, celu samoistnego, samoodradzającego się w swym historycznym bycie pozbawionym transcendencji”. Jeszcze surowszy, i godny wszelkich pochwał, jest Krzeczkowski wobec prohitlerowskich majaczeń Heideggera i Adorna. W zakończeniu drugiego szkicu mowa o „pretensjach do tych intelektualistów, którzy zdradzili swe powołanie”, przekraczając „granicę między akceptacją (domyślne: przymusową) i aprobatą”.

Lecz proszę, jaka niespodzianka! Pełny obrót sceny rotacyjnej, inna dekoracja a w niej inny bohater: Jarosław Iwaszkiewicz. Namaszczone, rewerencją przesyczone szkice o nim nazywa się *Sens przetrwania*. Znikają wątpliwości w stosunku do „wyspy przetrwania”, ich miejsce zajmuje adoracja „sensu przetrwania”. Niezrównanym piewcą owego „sensu” jest właśnie Iwaszkiewicz. Pisząc o nim, Krzeczkowski wpada w tony bliskie rozmodlenia: „Widzę w jego twórczości najgłębszy bodaj w literaturze współczesnej opis wrażliwości narodowej, zmieniającej się a jednak niezmiennej. A ta wrażliwość jest przecież jednym z najważniejszych elementów substancji, której zachowanie jest warunkiem przetrwania narodu pod naporem przemijających konieczności historycznych. Dzięki tej wrażliwości posłuszeństwo nakazom instynktu samozachowawczego staje się czymś więcej niż odruchem obronnym, staje się składnikiem wiary w przeznaczenie narodu”. Najwyższa instancja narodu, tak problematyczna w ustach niemieckich apostatów intelektualnych, ulega sublimacji pod piórem złotoustego Iwaszkiewicza: „Taka wrażliwość nie jest sentymentem, odruchem uczuciowym, lecz następstwem głębokiego zro-

zumienia i akceptowania wartości, których realizacja jest treścią powołania narodu, zmierzającego w swej historycznej wędrówce ku celom, o których myślał i o których spełnienie modlił się Henryk Sandomierski". Żeby zaś nie zakradł się do tej apoteozy ni cień niedomówienia z epoki nie tyle Henryka Sandomierskiego co samego Iwaszkiewicza, Krzeczkowski przytacza krytyka Henryka Berezę: „Nie oznacza to relatywizmu moralnego. Krytyk widzi sens filozofii pisarza w przekonaniu, że nad gestami i świadomością góruje przemożna wola trwania choćby na samym dnie piekieł. Mądrość ta może być przydatna w najniższych kręgach piekieł. Oczywiście tak długo, jak długo nie zaprzedało się duszy diabłu. Ale to u Iwaszkiewicza nie wchodzi w rachubę”. O zdanie w tej infernalno-demonologicznej materii należałoby zapytać raczej Diabła, niż naszego nadwiślańskiego Doktora Faustusa.

Nie zaczerniałbym może stronic mojego dziennika potyczkami w tym stylu, gdyby nie fakt że cała sprawa ma więcej odnóg. W papierach przywiezionych z Laffitte znajduję fotokopię artykułu profesora Jana Szczepańskiego *Wiara intelektualistów* (w warszawskiej *Kulturze*). Artykuł jest zaskakująco płytki i meskineryjny, stanowi coś w rodzaju ostrzeżenia przed „zawiedzionymi w swej wierze intelektualistami”, którzy pod wpływem owego „zawodu” i z potrzeby „ekspiacji” produkują i podpisują przeróżne protesty: „Intelektualiści podpisując protesty nie zawsze mogą być pewni, kiedy słuchają tylko swojego daimoniona (czyli są wierni postulatowi Bendy ze *Zdrady klerków*) i służą odwiecznym wartościom, a kiedy działają w interesie różnych grup politycznych, umiających wykorzystywać ich uczucia moralne dla własnych celów”. Wybitny socjolog wznosi palec do góry i mentorskim głosem poucza szlachetne, lecz pijane dzieci we mgle: „Polityka ma swoje konieczności techniczne. Musi się ona liczyć z realiami, a politycy lepiej znają realia niż intelektualiści”. Autor „zarchiwizowanego” projektu reformy szkolnictwa jest chyba ostatnim człowiekiem od którego spodziewałbym się usłyszeć że „politycy lepiej znają realia niż intelektualiści”, ale mniejsza o to. Istotne są dla mnie dwie najtypowsze, i pozornie tylko odległe, odmiany współczesnego intelektualisty „organicznikowskiego” w Polsce. Jeden jest „neokonserwatystą”, głosi zaufanie do „sensu przetrwania” w imię „przeznaczenia i powołania narodu”. Drugi jest „realistą”, zaleca nieufność do klerkowskiego dekalogu wiary w imię „technicznych konieczności polityki”.

Gdy w roku 1946 wznowiono we Francji książkę Bendy, Eugenio Montale snuł melancholijne rozważania o nadchodzącym okresie, w którym „wobec powszechnej zdrady klerków zabraknie wszelkiego światła orientacyjnego, i pozostanie tylko rzucać kości

na zielone sukno historii”. Nadchodzący okres miał swoje korzenie w przeszłości. W drobiazgu zatytułowanym *Intelektualiści i komunizm* Nicola Chiaromonte pisze o tym, jak w dwudziestolecie faszystów spreparowano nowego intelektualistę; i nazywa go z angielska *time server*.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Nowości

BIBLIOTEKA „KULTURY”

TOM 270 — WACŁAW SOLSKI

MOJE WSPOMNIENIA

Niezmiernie żywo napisane, wspomnienia Wacława Solskiego są jednocześnie ważnym dokumentem historycznym. Ich autor brał czynny udział w rewolucji rosyjskiej stykając się blisko i współpracując z Leninem; następnie odgrywał wybitną rolę w międzynarodowym ruchu komunistycznym, od którego odszedł w końcu lat dwudziestych.

„Wspomnienia” są 14-tą książką Wacława Solskiego w języku polskim. Jego poprzednia książka „Władza” została uznana za najlepszą książkę polską wydaną poza krajem w 1976 roku. Wacław Soski jest fellow Guggenheim Foundation w New Yorku.

Str. 388.

Cena F. 55,00.



TOM 272 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Zawiera m.in. prace Wł. Gomułki: *Polemika z „Archiwum Ruchu Robotniczego”*; R. Dębickiego: *Węgry a wojna polsko-rosyjska w 1920 roku*; J. Rakowskiego: *Diariusz wrześnieńskiego dramatu*; W Krzyżanowskiego: *Lata bukareszteńskie*; ks. Fr. Cegiełki: *A. G. Roncalli w Paryżu* oraz obszerny dział recenzji.

Str. 240.

Cena F. 30,00.

Nowość

TOM 277 — BIBLIOTEKI « KULTURY »

SERIA « BEZ CENZURY »

ADAM MICHNIK

KOŚCIÓŁ, LEWICA, DIALOG

Przedmowa Stefana Kisielewskiego

„Pierwszą wersję niniejszej książki pokazałem kilku przyjaciółom: katolikom i niewierzącym. Wszyscy mieli zasadnicze zastrzeżenia. Nie myślę, aby to było złe. Pojmuję bowiem tę książkę jako początek rozmowy, która jest dla nas wszystkich ważna”.

Z *Postowia* Autora do tej książki napisanej w kraju w 1976 roku.

UKAŻE SIĘ W MAJU 1977.

O wychowaniu uniwersyteckim

W kwietniu 1971 roku odbyło się spotkanie pracowników naukowych ze studentami Instytutu Socjologii poświęcone sprawom wychowania uniwersyteckiego. Słowo wprowadzające do dyskusji wygłosiła Pani prof. Maria Ossowska. O ile nam wiadomo tekst ten nie był opublikowany.

W ostatnich latach okupacji paru naszych pedagogów zwróciło się do mnie z prośbą o naszkicowanie wzoru obywatela przyszłej uwolnionej od Niemców Polski. Zredagowałam wtedy próbny tekst, który kursował konspiracyjnie i który został po wojnie przedrukowany (bez mojej zresztą wiedzy) przez Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego w postaci oddzielnej broszurki, dziś już bardzo trudnej do zdobycia. Choć w chwili obecnej wypadłoby dokonać w tym tekście pewnych uzupełnień i poprawek, można wziąć go za punkt startu nie tracąc z oczu faktu, że mówimy do słuchaczy wyższych uczelni żyjących w państwie socjalistycznym roku 1971. Zdamy sobie sprawę z tego że ten szkic nie wyczerpuje zagadnienia i że właściwości naszego wzorcowego studenta można by mnożyć dalej, ale ponieważ nasze zebranie ma być nie monologiem lecz dialogiem, ograniczę się do rysów szczególnie ważnych.

Skoro jesteśmy na terenie Uniwersytetu, wypada zacząć od kwalifikacji intelektualnych. Zdolności, jakkolwiek bardzo pożądane, trudno obstarłować, choć można pracowitością i wytrwałością ich brak w pewnym stopniu nadrobić. W innej sytuacji jest umysł otwarty, posiadający chłonność, której wymagają szybkie zmiany i ciągłe narastanie nowych specjalności. Nad tymi dyspozycjami bowiem można i trzeba ciągle czuwać tak jak trzeba pilnować uczciwości intelektualnej, której mogą zagrażać różne pokusy, gdy na fałszu i półprawdzie można coś zyskać a na prawdzie stracić.

Od wzorcowego studenta oczekujemy dalej samodzielności, inicjatywy i krytycyzmu. Do wyrobienia niezbędna jest swobodna dyskusja, w której szczerść nie zagrażałaby osobistemu bezpieczeństwu. „W oparach samochwalstwa marnieje jakość idei” pisał T. Kotarbiński. „Z doktrynami hodowanymi pod ochroną przywileju — mówił dalej — dzieje się tak, jak z produktami przemysłu w systemie ceł ochronnych: wolne od współzawodnictwa z importem tracą impet do doskonalenia się” — T.K. „Sprawy sumienia” roku 1956.

W artykule drukowanym w *Życiu Warszawy* 5 lutego 1971 roku autorzy proponują, aby specjalistom-ekspertom płacić za niezależność sądu a nie za posłuszne potakiwanie powziętym z góry postanowieniom. Ludzi z inicjatywą należy — ich zdaniem — zabezpieczyć przez uchwalenie ustawy o niekaralności pomysłów. Nie różnica poglądów, pisał kiedyś Locke, lecz odmawianie prawa do głoszenia poglądów przeciwnych jest źródłem zła społecznego. Żadna schizma — jego zdaniem — nie jest dla państwa niebezpieczna, dopóki jej się nie uciska.

Krytycyzm żąda uzasadnień i odporny jest na wszelkie rodzaje odurzenia. Uczciwość intelektualną wiąże się często z odpowiedzialnością za słowo, zaś przez odpowiedzialność rozumie się czasem nie mówienie na wiatr, lecz posiadanie pokrycia dla tego co się mówi. Kiedy indziej ma się na myśli skrupulatne wywiązywanie się ze zobowiązań. W obu tych znaczeniach człowiek intelektualnie uczciwy, to człowiek, na którym można polegać.

Przechodzimy do innej grupy kwalifikacji takich, które angażują nasz świat wartości, a więc nasze życie emocjonalne. Na pierwszym miejscu wymienić tu należy aspiracje perfekcjonistyczne. Przecistawiają się one bierności, marazmowi, obojętności w stosunku do zła. Hasło ulepszania, czy to własnej kondycji, czy ulepszania jej w skali społecznej wymaga dla swojej realizacji aktywności i dyscypliny wewnętrznej, umożliwiających długodystansowy wysiłek. Wymaga także przyjmowania jakichś hierarchii dóbr, których gotowi jesteśmy bronić. Zdolność oparcia się ich zagrożeniu stanowi to, co nazywamy mocnym kręgosłupem.

Przechodzimy z kolei do założonej dyspozycji, zwanej uspołecznieniem czy zaangażowaniem, bo są to w moim rozumieniu terminy zamienne. Wśród pierwszych składników uspołecznienia wymienić należy żywe zainteresowanie sprawą publiczną. Jeżeli dom rodzinny tych zainteresowań nie rozbudził, winny to uczynić szkoły do uniwersytetu włącznie, w atmosferze swobodnej wymiany zdań. Drugim czynnikiem wchodzącym w skład uspołecznienia jest umiejętność spojrzenia na rzeczywistość z punktu widzenia cudzych interesów, z punktu widzenia cudzych a nie tylko własnych losów. To przezwyciężenie egocentryzmu jest pierwszym krokiem do przezwyciężenia egoizmu.

Czuła reakcja na cudzą krzywdę stanowi krok dalszy. Do przejawów uspołecznienia należy także zaliczyć poczucie odpowiedzialności za życie zbiorowe.

Ostatnim elementem wchodzącym w skład pojęcia uspołecznienia jest umiejętność współdziałania na równych z innymi prawach. To współdziałanie otwiera przed nami urok koleżeństwa. Lata akademickie, to lata które się z sentymentem wspomina aż do śmierci. Węzły przyjaźni nawiązują się w tym okresie najłatwiej. Pogłębiają się z okazji codziennych spotkań, z okazji przyswajania sobie nowej wiedzy, wspólnego intelektualnego dorzeźwania.

Pospolita jest w tej chwili tendencja upodabniania instytucji naukowych do zakładów produkcyjnych. Choć przeciwna jestem posuwaniu tej analogii za daleko, przyznaję, że można ją w pewnym sensie stwierdzić. Socjologia dokonała już licznych badań w poszukiwaniu warunków niezbędnych do sprawnego funkcjonowania przemysłu: wiemy, że ufność w kompetencje kierownictwa jest tu czynnikiem istotnym, że klimat wytworzony przez stosunki koleżeńskie odgrywa wielką rolę, że walka z marnotrawstwem jest hasłem, które winniśmy respektować, co w uniwersytecie powinno przejawiać się w ochronie szarej substancji, szczególnie cennej w takiej instytucji. Mówiąc o marnotrawstwie mam na myśli utrudnienie czy wręcz uniemożliwienie Kolegom dalszych studiów za głoszone przez nich opinie. Mówię o marnotrawstwie stoję na gruncie interesów państwowych, ale wypadałoby w tym punkcie przypomnieć, że człowiek ma być najwyższą wartością dla człowieka. Wiara w życzliwość i lojalność stanowi warunek niezbędny także i tutaj. Bez wzajemnego zaufania bowiem hasło integracji staje się czczym frazesem, a społeczeństwo społeczeństwem chorym.

Uspołecznienie, o którym była mowa nie wyklucza elementu walki w naszym życiu akademickim. Bywa to walka ideologiczna, bywa to współzawodnictwo w sporcie. Wymaga ono uświadomienia sobie jakie chwytły są dopuszczalne w stosunku do przeciwnika i jakich nie wolno stosować. Atakowanie bezbronných, plugawienie czyjegoś imienia nie dając przeciwnikowi możliwości obrony, fałszowanie jego poglądów — oto przykłady zachowań, które trudno zalecać.

Do zalet tutaj wymienionych dodałoby się chętnie zainteresowanie jakąś sferą piękną: niech to będzie plastyka, muzyka czy piękno przyrody. Wrażliwość estetyczna bowiem nieraz bywała podporą dla wrażliwości moralnej. Oba te wątki zlewają się przy kwalifikowaniu jakiegoś czynu jako małostkowego, brzydkiego, przy uznaniu czyjegoś zysku za brudny.

W szkicowanym portrecie brak niewątpliwie różnych rysów. Spodziewam się od dyskusji ich wypełnienia, ale nie mogę sobie odmówić poruszenia jednej jeszcze sprawy. Nasza wzorowa postać winna być wyposażona w poczucie humoru. Ateńscy — jak pisał Monteskiusz — „brali się do wszystkiego na wesoło: żart

był im do smaku zarówno na mównicy, jak i w teatrze... Charakter Spartan był surowy, poważny, suchy, milczący. Tyleż wydobyłoby się z Ateńczyka nudząc go, co ze Spartanina próbując go zabawić". Wypowiadałam się w tej sprawie za Atenami. Chciałabym, żeby nasz obywatel a także i student posiadał tę zdolność, przy pomocy której Arystoteles próbował definiować człowieka: niechaj będzie zdolny do śmiechu.

Prof. dr M. OSSOWSKA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 262 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom I

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom I obejmuje powstanie i ewolucję doktryny za życia jej twórców oraz zawiera krytyczne komentarze autora, odnoszące się do jej kluczowych składników.

Tom II ukaże się niebawem i poświęcony jest odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II Międzynarodówki.

Tom III, który autor spodziewa się rychło ukończyć obejmuje rozwój i rozpad marksistowskiego dziedzictwa w ciągu dziesięcioleci jakie upłynęły od Rewolucji Rosyjskiej i końca II-ej Wojny Światowej.

Str. 432.

Cena F. 75,00.

O genach, memach i techach

Wyśledzony był w swej kryjówce przez austriackiego mnicha-ogrodnika Gregora Mendla już w roku 1865, ale ujawniony szerszemu ogółowi dopiero w 35 lat później przez holenderskiego profesora botaniki Hugo de Vriesa. Otrzymał nazwę „gen” wymyśloną dla niego przez duńskiego botanika Wilhelma Johansena w roku 1911. Gen, a raczej cały zespół genów stanowi czynnik zasadniczy, „esencję” nie tylko człowieka, ale absolutnie każdej żyjącej istoty.

Co więcej, esencja ta jest rzeczywiście nieśmiertelną zasadą człowieka. Albo też, z innego punktu widzenia, jest to twór nieśmiertelny (ale nie niezmienny), który dla swego dobrobytu buduje sobie tymczasowe, przejściowe pomieszczenia w postaci śmiertelnych struktur — „robotów” — czyli żywych organizmów. Tak to przynajmniej formułuje Richard Dawkins, wykładowca etologii* na uniwersytecie oksfordzkim, autor książki *The Selfish Gene* (Egoistyczny gen), OUP, 1976.

Jednym z ostatnich modeli takich robotów, wysoce skomplikowanym i skonstruowanym stosunkowo niedawno bo zaledwie jakieś 3 Mlat temu (M czyta się mega i znaczy milion), jest właśnie organizm człowieka. Model ten stanowi najnowsze ulepszenie ostatniego z dawniej istniejących, stopniowo zmienianych modeli. Ulepszenia w nim zastosowane polegają na kilku, pozornie drobnych modyfikacjach, ale z tych przynajmniej jedna ma znaczenie rewolucyjne — prowadzi do olbrzymich skutków.

Ów twór, nieśmiertelny w tym sensie, że może być jedynie zabity, ale nie umiera śmiercią naturalną i wiele z nich żyje setki milionów lat, stanowi „tylko” tak zwaną makromolekułę związku chemicznego, którego pełna nazwa, kwas dezoksyrybonukleinowy, jest zazwyczaj używana w skrócie DNA. Ta makromolekuła której wymiary mierzy się w mikronach, czyli milio-

* Nie mylić z etiologią, etnologią, etnogenią, etografią i etnografią.

nowych częściach metra, ma skomplikowaną budowę przestrzenną, ale zawiera atomy tylko czterech pierwiastków: węgla, wodoru, tlenu i azotu. Atomy te są zgrupowane w mniejsze jednostki, które powiązane są ze sobą w podobny sposób jak atomy i molekuły w kryształach. Z tą różnicą że „kryształy” genu nie mają kształtów geometrycznych brył umiarowych, jak kryształy minerałów, ale postać linki spiralnie skręconej z dwóch pasm (a ściślej mówiąc jakby spiralnie skręconej drabinki sznurowej). Składowe jednostki kryształu genu są czterech rodzajów, które nazywamy nukleotydami (nie mieszać z nukleonami). Każdy nukleotyd jest molekułą pewnego rodzaju węglowodanu, noszącego zawitą nazwę D-2-dezoksyryboza (ale mającego także „pseudonim” — tyminoza), który tworzy obie podłużne „linki” drabinki sznurowej, związaną chemicznie z molekułą jednego z czterech pochodnych puryny, a mianowicie, adeniny, cytozyny, guaniny i tyminy, które tworzą poprzeczne „szczeble” drabinki sznurowej. W kryształach genu jego składowe molekuły mogą zatem stanowić w różny sposób dobrane i ułożone nukleotydy, które są jakby szeregiem wyrazów, każdy zbudowany z czterech liter, A, C, G i T pomiędzy dwiema równoległymi liniami. Poszczególne geny różnią się między sobą tylko liczbą i porządkiem tych czterech liter. To wystarcza aby każdy z nich wykonywał inne zadanie, które w żywej komórce sprowadza się, w gruncie rzeczy, do inicjowania i prowadzenia pewnych procesów chemicznych, tych mianowicie które wytwarzają substancje o zbiorowej nazwie protein (a także lipidów i węglowodanów). Proteiny stanowią podstawowy materiał budowlany każdego organizmu, jak również są konieczne dla przeprowadzania wszystkich procesów fizjologicznych stanowiących jego działalność życiową.

Z setek tysięcy różnych rodzajów protein, dotychczas tylko drobną część znamy z jaką taką dokładnością. Makromolekuły protein zbudowane są ze stosunkowo drobnych molekuł kwasów aminowych, których jest dwadzieścia różnych. Właściwości makromolekuły proteiny zależą nie tylko od liczby i rodzaju składowych molekuł kwasów aminowych, ale również od porządku liniowego i przestrzennego w jakim są one połączone, tworząc również rodzaj „kryształu” w postaci długiego, spiralnie skręconego łańcucha atomów, który ponadto jest przeważnie zwinięty w luźny kłębek pozornie bezładnie poplątanej taśmy. Liczba możliwych permutacji z dwudziestu czynników, nawet gdyby uwzględnić tylko układ liniowy, wynosi 20! (Matematyczny znak 20 z wykrzyknikiem oznacza liczbę która jest większa niż jedynka z 19 zerami). A więc co najmniej tyle może istnieć różnych protein.

Kryształy genu w komórce organizmu są zawsze połączone liniowo z kryształami innych genów w długie podwójne pasmo, które nazywamy chromozomem. Jeden chromozom może zawierać od kilku genów do kilkudziesięciu tysięcy. Liczba chromozomów w komórkach różnych organizmów jest różna. Organizm człowieka ma w każdej swej rosnącej komórce 23 chromozomy, z których tylko kilka jest krótkich. Znaczy to że zespół genów

jakie człowiek posiada liczy się na setki tysięcy. Ale może należałoby powiedzieć że to ten zespół genów posiada człowieka, którego przecież cały organizm jest całkowicie przez te geny zbudowany z jednej jedynej rozmnożonej komórki, powstałej z zespolecia jajka z plemnikiem. I nie tylko zbudowany — wszystkie jego procesy biologiczne, od początku do końca istnienia organizmu, są przez ten zespół genów kierowane i kontrolowane.

Chromozom, który stanowi jakby linkę spiralnie skręconą z dwóch pasm, jest w istocie zdwojonym szeregiem genów, w którym nie wszystkie pary składają się z identycznych genów. Przy procesie podziału komórki każdy z jej chromozomów stopniowo rozkręca się od jednego z końców, przy czym rozdzielające się pojedyncze pasma od razu konstruują przy sobie swoje „sobowtóry”. W ten sposób, zanim nastąpi rozdział komórki na dwie nowe, cały komplet chromozomów jest już znów podwojony i każda nowa komórka otrzymuje kompletny zespół genów. Ale tak się dzieje w komórkach wszystkich tkanek z wyjątkiem jednej. Tej szczególnej tkanki która produkuje komórki nasienne — jajkowe lub plemnikowe. Tu mechanizm podziału komórki jest inny. Rozkręcające się pasma chromozomów nie syntezują swych sobowtórów, wobec czego każda z nowych komórek po podziale dostaje komplet rozpołowionych wzdłuż chromozomów. Przez co każda z nich otrzymała niezupełnie identyczny zespół genów.

Przy łączeniu się jajka z plemnikiem chromozomy obu łączą się znów w kompletne, zdwojone pasma chromozomów i dopiero wtedy komórka jest gotowa do rozwinięcia się w nowy organizm. Otrzymała ona od każdego ze swych rodziców połowę swego zespołu genów, tak samo jak każdemu ze swego potomstwa przekaze tylko połowę swoich genów.

Z nieśmiertelności genów wynika, że ten zespół genów który w każdym z nas przebywa, i których połowa przejdzie do naszych potomków był w ten sam sposób przekazywany z pokolenia na pokolenie od zarania istnienia rasy ludzkiej. A właściwie dużo dawniej, bo od zarania istnienia żywych organizmów. Ale choć nieśmiertelne, w ciągu swej długiej wędrówki poprzez najrozmaitsze kolejno organizmy, geny ulegały wielu zmianom.

Znamy parę rodzajów przyczyn, które zmiany te powodują. Jedną z nich są fotony i cząstki elementarne o wielkiej energii. Ich źródłem, czynnym od chwili powstania wszechświata, jest promieniowanie kosmiczne, oraz rozpad pierwiastków radioaktywnych, których wcale nie ma, i zawsze było, w glebie, wodzie i powietrzu naszej planety. Energiczna cząsteczka, lub foton, uderzając z wielkim pędem w kryształ genu, może trafić i wytrącić z niego jakiś atom, lub spowodować jego transformację w atom innego pierwiastka, z reguły radioaktywnego, który wybuchając po pewnym czasie, może rozłupać kryształ genu na dwa czy więcej fragmentów. W każdej żywej komórce znajdują

się mechanizmy (enzymy) które reperują uszkodzenia genów, ale przy takiej reoperacji wytracony atom bywa niekiedy zastąpiony przez znajdujący się „pod ręką” atom innego rodzaju niż pierwotny, a fragmenty rozbitego genu mogą być „sklejane” w innym niż pierwotny porządku. I w jednym i drugim przypadku tak zreperowany gen ma już inne niż pierwotne właściwości. Tak właśnie odbywają się zmiany, czyli mutacje genów, oraz zwiększanie się ich liczby. Wprawdzie szanse trafienia atomu w kryształ genu przez pocisk cząsteczki elementarnej lub foton są mniejsze niż szansa trafienia człowieka przez piorun, ale wobec okresu istnienia genu liczącego się na setki milionów lat, liczba trafień każdego genu musi być wcale pokaźna.

Drugim rodzajem przyczyn zmiany w budowie genu jest działanie niektórych związków chemicznych, tzw. mutagenów, znajdujących się w środowisku zewnętrznym i przedostających się do wnętrza komórki z jej pożywieniem. Mogą one wywoływać rozrywanie się chromozomów na fragmenty, które w następstwie reoperacji łączone są w innym porządku, tracą niektóre segmenty itd. Tym sposobem z jednego chromozomu mogą powstać dwa lub więcej, albo odwrotnie. Ponieważ rodzaj wpływu wywieranego przez gen zależy nie tylko od składu jego „liter”, ale także od współdziałania z innymi genami znajdującymi się w jego bliższym i dalszym sąsiedztwie, przeto takie przetasowywanie się genów w chromozomach również zmieniać może ich znaczenie i wpływ.

Wreszcie trzecią przyczyną zmian jest infekcja wirusowa. Nie każdy z wirusów zakażając komórkę powoduje jej zniszczenie. Istnieje wiele rodzajów wirusów które skłonne są do „pokojuowego współżycia”. Taki wirus pobiera z komórki pewną kontrybucję środków potrzebnych mu do życia i mnożenia się, ale w zamian dostarcza jej jakieś enzymy, których ona sama nie produkuje, a które mogą przeciwdziałać nieprzychylnym czynnikom środowiska, lub ułatwiać korzystanie z nowych źródeł energii, umożliwiając w ten sposób całemu organizmowi przystosowywanie się do zmieniających się warunków ekologicznych. Geny takiego wirusa mogą ostatecznie przyłączyć się do dzielących się chromozomów komórki, zwiększając w ten sposób komplet jej genów.

Nie ulega wątpliwości, że wiele genów wyższych organizmów może mieć takie właśnie pochodzenie. Od dawna już podejrzewano istnienie możliwości łączenia się genów różnych organizmów w jeden zespół, ale dowód że zjawisko to rzeczywiście istnieje został eksperymentalnie znaleziony dopiero w bieżącym dziesięcioleciu, kiedy w Szkole Medycznej Uniwersytetu w Stanford, USA, w 1973 roku Annie C. Y. Chang i Stanley N. Colan udoskonalili technikę wyodrębniania pojedynczych, indywidualnych genów, początkowo tylko z DNA bardziej prymitywnych organizmów. Tak wyizolowany gen, w postaci fragmentu DNA, który został nazwany plazmidem, można zaszczyć w chromozom innego organizmu. Tym sposobem organizm ten otrzymuje nowe

właściwości fizjologiczne, które będą już dalej w normalny sposób dziedziczone przez potomstwo tak utworzonego sztucznie hybrydu. Sztucznie, gdyż drogą naturalną, tylko w wyjątkowych wypadkach i tylko geny niektórych wirusów — organizmów mających tylko po kilka genów — mogą przyłączyć się do chromozomów wyżej rozwiniętych organizmów. Szybki rozwój techniki laboratoryjnej pozwala już dziś wydzielać i łączyć geny najrozmaitszego pochodzenia: bakterii i owadów, roślin i pleśni, zwierząt bezkręgowych, ssaków i człowieka.

Technika ta, która otrzymała już nazwę „manipulacji genetycznej”, lub „genotechniki” (tak należałoby spolszczyć termin *genetic engineering*) budzi nadzieje i realne perspektywy stworzenia sposobu na usuwanie chorób, a raczej wad i cierpień pochodzenia genetycznego (jak np. hemofilia, anemia Coolega, fenylketonuria i wiele innych). A także możliwość rozwinięcia taniej i wydajnej produkcji wielu hormonów stosowanych w leczeniu (jak insuliny, steroidy itd.) przez „zaszczepienie” genów wytwarzających te substancje (które są proteinami) organizmom łatwych do masowej hodowli mikrobów lub roślin.

Z drugiej jednak strony, choć nie należy spodziewać się powstania mitologicznych (po)tworów w rodzaju sfinksów, minotaurów, syren, chimery, czy centaurów, to jednak eksperymentowanie z tysiącami genów, mniej lub więcej nieznanymi z aktualnego i potencjalnego charakteru, oraz z setkami organizmów bakterii, ameb, drożdży, wirusów itd., przedstawia realne i groźne niebezpieczeństwo wytworzenia jakichś organizmów patogenicznych. Wydostanie się takich mikroorganizmów (lub ich sporów) poza laboratorium, przez niedopatrznie przepisów bezpieczeństwa lub w wyniku nieprzewidywalnego wypadku (np. wybuchu gazu, pożaru, trzęsienia ziemi itd.) mogłoby spowodować epidemie o nieobliczalnie katastrofalnym przebiegu. Wśród mas ludzkich, lub zwierząt domowych czy dzikich, albo nawet wśród roślin.

Nie trzeba też dodawać że udoskonalająca się genotechnika stanowić będzie niepokonalną pokusę dla wszystkich sztabów generalnych, gdyż może wytwarzać broń wojenną wielokrotnie groźniejszą od wszystkich dotychczas istniejących, a także dla wszystkich rządzących biurokracji, jako mogąca dostarczać środki koercji stokrotnie skuteczniejsze niż jakiekolwiek obecnie dostępne.

Zespoły genów jakie możemy obserwować w różnych organizmach są wynikiem długiej serii przemian mutacyjnych i krzyżowań. Rasy, gatunki i grupy organizmów istniejących, rozwijających się i mnożących, są wytworem takich zespołów genów, które swym „robotom” zapewniły pewne cechy behawiorystyczne — tj. sposoby zachowania się (zarówno „instynktownego” jak „inteligentnego”), oraz określone rodzaje procesów fizjologicznych, jakich wyniki pozwalają tym organizmom skutecznie wykorzystać warunki środowiskowe — daną „niszę ekologiczną” — w jakich się znajdują. W ten sposób na poszczególnych terenach geograficznych, poddanych różnorodnym wpływom, klimatycznym, hydrologicznym, radiacyjnym itd., ogólnie mówiąc fizycz-

nym i chemicznym, wytworzyły się zorganizowane społecznie grupy ludzkie o zbliżonym „profilu” genetycznym. Poszczególne jednostki takiej społeczności mają zespoły genów różniące się w wielu szczegółach, ale tylko w określonych granicach. Różnice genetyczne w takiej grupie społecznej nie wychodzą poza zakres wspólnej „puli genetycznej”.

Naturalnie, mogą pojawiać się indywidualne jednostki, których zespoły genów wychodzą poza granice „puli”, czy to jako wynik krzyżowań, uaktywniających geny zazwyczaj nieczynne, tzw. recesyjne (tu może leży źródło powstania tabu incestu), czy też z powodu mutacji spowodowanych przez promieniowanie, jady, czy plazmidy. Taki zespół genów znacznie różniący się od puli genetycznej ujawnia się rozmaicie i w różnym stopniu, bowiem granice puli genetycznej nie stanowią ostrej linii, lecz mniej więcej szeroki pas graniczny z odpowiednim gradientem tolerancji. Poza tym różnice działania genów mogą wyrażać się na płaszczyźnie fizjologicznej, lub behawiorystycznej, wyłącznie lub przeważnie. W pierwszym wypadku będą to choroby lub wady funkcjonowania organizmu, albo zniekształcenia jego zewnętrznej postaci, które uniemożliwiają jednostce przeżycie do wieku dojrzałości fizycznej, albo też utrudniają jej posiadanie potomstwa i przekazanie mu swego zespołu genów. W drugim przypadku, różnice zachowania się mogą prowadzić do wyobcowania i odrzucenia danej indywidualności z życia grupy. W ten sposób grupa społeczna eliminuje jaskrawo różniące się geny, które mogłyby przedostać się do puli genetycznej.

Mutacje genów pozostające w zakresie tolerancyjnych granic puli genetycznej stanowią podstawę powolnej, stałej ewolucji. Tolerowane są zasadniczo takie mutacje, które ułatwiają dostosowanie się grupy do zmieniających się warunków środowiskowych, oraz umożliwiają wykorzystywanie nowych możliwości — zajmowanie nowej czy rozszerzanie dawnej niszy ekologicznej.

W obrębie wielkich ugrupowań społecznych, narodów, ewolucyjne zmiany puli genetycznych poszczególnych składowych ugrupowań: rodów, klanów, szczepów, czy warstw społecznych, całkujących się w ogólną, narodową pulę genetyczną, pozostają w stanie delikatnej równowagi, w której zakresie zachowują się cechy ich hierarchicznych odrębności. Od wielu dziesięcioleci dyskutowane zjawisko „charakteru narodowego” (rodowego, szczepowego, klasowego itd.), wielokrotnie zaprzeczane jako iluzja a wciąż powracające pod najróżniejszymi postaciami, jest oczywiście jedną z manifestacji behawiorystycznego wpływu puli genetycznej.

Na marginesie warto zaznaczyć iż istnieją okoliczności w których pula genetyczna ugrupowania społecznego może doznać szybkich przemian przez katastrofalne naruszenie równowagi jej poszczególnych składowych. Taka sytuacja powstaje gdy jakaś grupa społeczna będzie nagle, masowo i selektywnie pozbawiona możliwości przekazania swego zespołu genów dalszym pokole-

niom. Skutki zewnętrzne takich wydarzeń ujawniają się zazwyczaj w ciągu dwóch-trzech najbliższych pokoleń.

Z punktu widzenia antropologii, przypadki takie stanowią szerokie i „dziewicze” pole studiów. Nie ma jeszcze nawet opracowanej metodologii badań, które by dały możliwość odpowiedzi na takie pytania, jak na przykład: jaki wpływ na rozwój społeczności angielskiej miała rzeź dziesiątków tysięcy ochotniczej młodzieży na polach Flandrii w pierwszej wojnie światowej? Jaki był wpływ strat ludnościowych wojen napoleońskich na społeczeństwo francuskie? W jaki sposób na rozwoju naszego narodu odbiły się takie wydarzenia jak to, które uwieczniło się w przysłowiu „za króla Olbrachta wyginęła szlachta”?, albo „Potop” szwedzki?, Powstanie Warszawskie?

Nawet znaczne straty biologiczne grupy społecznej mogą nie wpłynąć na gruntowne zmiany puli genetycznej, jeżeli nie będą to straty selektywnie dotyczące jakiejś sekcji tej grupy, wyróżnionej odrębną, własną pulą genetyczną.

Modyfikacje jakie zostały genetycznie wprowadzone dla utworzenia najnowszego modelu „robota” — człowieka — choć stosunkowo niewielkie z punktu widzenia biologii molekularnej i fizjologii, zawierają czynnik który wytworzył jedno z najważniejszych zjawisk na płaszczyźnie behawiorystycznej człowieka — *mowę*.

Zjawisko mowy bywa rozmaicie definiowane. Jeżelibyśmy przyjęli że mowa jest systemem sygnałów indywidualnego organizmu, wywoływanych przez jego stany emocjonalne, lub „czynność zastępczą” zahamowanej funkcji instynktownej, zdolnych spowodować określone reakcje zachowania się innych organizmów — to wtedy, tak rozumiana mowa jest zjawiskiem powszechnym, stanowiącym normalny element behawiorystyczny wielu organizmów na różnych poziomach rozwoju ewolucyjnego: owadów, ptaków, zwierząt zimno- i ciepłokrwistych. Człowiek także posiada ten rodzaj mowy. Jest nim system gestów, okrzyków i innych sygnałów, które zdolne są wyrażać wcale obszerny zakres emocji i życzeń, a są zrozumiałe „bez nauki” w granicach całego gatunku, tak samo jak analogiczne systemy sygnałów innych rodzajów zwierząt są rozumiane w granicach odnośnych gatunków zoologicznych.

Ale u człowieka znajdujemy jeszcze inny rodzaj mowy. Wyłącznie ludzkiej, gdyż zwierzęta, nawet przedstawiciele przedostatnich przed człowiekiem modeli genetycznych, nie są zdolne nauczyć się posługiwania się tym rodzajem mowy. Zasadniczą i charakterystyczną cechą tej mowy jest *słowo*. Słowo stanowi grupę artykułowanych dźwięków i jest tworem który symbolizuje, albo, ściślej mówiąc, jest funkcjonalnie związany nie z przedmiotem konkretnym, lub czynnością aktualną, ale z *pojęciem* przedmiotu lub czynności. Choć różnica ta może być uważana za przecinanie włosa na czworo, jest ona bardzo istotna i ważna. Sygnał mowy zwierzęcej jest funkcjonalnie związany z przedmiotem, choćby konkretnie nieobecnym a istniejącym

tylko w pamięci, słowo mowy ludzkiej nie ma funkcjonalnego powiązania z przedmiotem, nawet gdy jest on aktualnie obecny.

Pojęcie, które w ten sposób staje się *znaczeniem* słowa, jest stanem psychicznym. Możemy go określić jako kompleks powiązanych nawzajem elementów pamięci takiego rodzaju — spośród trzech czy więcej jej odmian jakie rozróżnia psychologia — która przechowuje i pozwala wywoływać na powierzchnię pola świadomości elementy pamiętane nie jako szablony porównawcze obrazów tworzonych przez wrażenia zmysłowe, ale jako samodzielne twory, którymi świadomość może operować swobodnie, analizując je, syntezując, kojarząc w szeregi itd., bez udziału, lub niezależnie od udziału aktualnych wrażeń zmysłowych.

Elementy pamięciowe związane są w pojęcia dość luźno, tak że każde pojęcie może być rozkładane, jego elementy przetasowane w inne, mniejsze grupy zdolne do krystalizowania się w nowe, „pochodne” pojęcia, lub łączone w grupy większe. Jakaś poszczególna grupa elementów pojęcia, wyodrębniona przez zwróceną na nią uwagę intelektu czy afektu (świadomego lub podświadomego) może wywoływać ze składu pamięci inne pojęcie, wiążące się z pierwszym w sposób „asocjacyjny”. To prowadzić może do tworzenia się w ten sposób łańcuchów pojęć wiążących się w różnorodne konstrukcje, które znamy jako procesy myślenia, marzenia, rozumowania, natchnienia itd., a nawet snu, zależnie od charakteru tych procesów i udziału w nich różnych czynników osobowości.

Elementy pamięciowe i ich zespoły w postaci pojęć, łączą się też w twory obszerniejsze — teorie, hipotezy, rozważania analityczne, postanowienia, plany działania — stanowiące tę grupę zjawisk którą Karl Popper obejmuje nazwą „świat 3”. Te elementy pamięciowo stanowią analogiczny odpowiednik elementów biologicznych dziedziczności — genów. Toteż Dawkins przyjmuje dla takiego elementu nazwę, wyprowadzoną z odpowiedniego greckiego terminu — mem.

Mem, który jest w istocie „tylko” serią sygnałów kursujących wewnątrz systemu neuronów z ich synapsami, jest tak samo jak gen przekazywany z pokolenia na pokolenie, choć nie drogą fizjologicznego dziedziczenia. Sam system neuronów w centralnym układzie nerwowym — mózgu — wraz z jego potencjalnym uzdolnieniem do wytwarzania owych szczególnych serii sygnałów chemiczno-elektrycznych, jest, oczywiście, jako produkt genów, przekazywany drogą dziedzictwa. Ale produkt jego działania — wytwarzanie memów i krystalizowanie ich w pojęcia, rozumowania, inspiracje, teorie, postanowienia itd. — musi być przekazywany następnym pokoleniom drogą przysposobienia. Uczłowieczenia przez wychowanie, którego najważniejszy etap rozpoczyna się niemal bezpośrednio po urodzeniu i zawiera pierwiastek mowy jako czynnik zasadniczy. Ten czynnik spełnia dwa główne zadania: z jednej strony rozwija i kształci mechanizm funkcjonowania odnośnego zespołu neuronów i ich synaptycznych połączeń,

a z drugiej, przekazuje nowemu członkowi grupy społecznej zespół jej memów.

Przekazywane memy, jeżeli nie są nieśmiertelne jak geny, to w każdym razie mają okres życia bardzo wielki. Całe zespoły memów, tworzących zakres tego co można określić mianem „puli memetycznej”, skryształizowane są w znaczenia słów języka (dialektu, gwary itd.) danej grupy społecznej, jak również w pojęcia takich wyobrażeń jak dobro, piękno, prawda, bóstwo, formy które Jung nazwał archetypami itd. Są one w każdej grupie społecznej przekazywane z pokolenia na pokolenie od tysięcy lat w postaci tzw. dziedzictwa kultury. Na takiej bowiem przestrzeni czasu możemy ich istnienie wysledzić i ich formy identyfikować i rozpoznawać, mimo że większość z nich ulegała, jak geny, niejednokrotnym modyfikacjom i zmianom — „mutacjom”.

Stwierdzenie sformułowane na początku niniejszego, że geny stanowią czynnik zasadniczy człowieka, należy teraz uzupełnić. Geny są czynnikiem zasadniczym — „esencją” — organizmu człowieka. Przez dodanie tu wyrazu „organizm” stajemy od razu na stanowisku filozofii dualistycznej, stwierdzamy że na zjawisko człowieka składa się więcej elementów niż jego organizm. Czynnikiem zasadniczym — „esencją” — drugiego z elementów człowieka jest jego zespół memów z „puli memetycznej” jego grupy społecznej.

Ewolucja genu i ewolucja memu przebiegają równolegle, ale są to zjawiska w zasadzie autonomiczne i nie ma bezpośredniej zależności, ani kontaktu między ich zakresami. Zmiany w puli genetycznej nie wywierają bezpośredniego wpływu na stan i skład puli memetycznej, tak samo jak przemiany zachodzące w memach i krystalizujących się z nich pojęciach, teoriach itd., nie stanowią czynnika zdolnego wywoływać mutacje genów, czy przemiany chromosomów. Ale mimo to oba te zakresy rzeczywistości nie są kompletnie niezależne.

Samo powstanie memów, które zostało umożliwione przez mutację genetyczną nasuwa klucz do rozwiązania tego zagadnienia. Mutacja genów nie wytworzyła memów, ale stworzyła strukturę materialną — zespół komórek neuronowych w których przebiega szczególny system strumieni elektronów (tj. prądów elektrycznych), oraz sieć połączeń synaptycznych w których zachodzi szczególny system reakcji chemicznych, przekazujących sygnały elektryczne między neuronami. Ten to system neuronów oraz jego funkcjonowanie i metody działania stanowią bezpośrednie źródło genezy i rozwoju memów. Przemiany i mutacje genów mogą wpływać na rozwój memów (i pojęć) tylko drogą pośrednią, wywoływania zmian w strukturze materialnej komórek mózgu. Z drugiej strony, memy i krystalizowane z nich pojęcia nie mają bezpośredniego dostępu do elementów puli genetycznej. Ale są one bezpośrednią przyczyną powstawania wszelkiego rodzaju konstrukcji materialnych. Od prostych narzędzi z łupanego kamienia, kości i drewna (nie kamienia, czy patyka używanego jako narzędzia, ale przekonstruowanego w narzędzie)

aż do traktorów i maszyn matematycznych, od lepiarek i ziemianek, po akwadukty i wieżowce, od tabliczek glinianych z odciśkami klinowego pręta i arkuszy sklejanych z błon papirusa, po biblioteki, taśmy magnetofonowe i telewizory. Słowem konstrukcje dla których budowy niezbędne są, poza substancjami materialnymi, także teorie, plany, doświadczenia — słowem memy.

W zakresie konstrukcji materialnych można również wyodrębnić jednostki elementarne — „kwanty” — takie jak na przykład zasady kształtów funkcjonalnych, miąższość, spójność i inercja materiałów, stosunki kierunków, powierzchni i wymiarów, ruchów i przyspieszeń, itd. nie jako pojęcia, ale konkretne elementy strukturalne wszystkich konstruowanych przedmiotów. Są one również przekazywane z pokolenia na pokolenie przez wykształcenie, mimesis i praktykę działania jak memy i łącznie z nimi, ale nadto mają one funkcjonalne powiązania i zależności od cech strukturalnych organizmu i jego elementarnych jednostek składowych, co czyni je zależnymi w pewnym stopniu od zespołu genów. Są one również jak geny i memy nieśmiertelne — dają się wyśledzić i rozpoznać w najstarszych znaleziskach archeologicznych — oraz również podlegają przemianom mutacyjnym. Nazwę ich można tak samo wyprowadzić z odpowiedniego terminu greckiego, oznaczającego sposób wytwarzania przedmiotów (*technē, tekein*) i przyjąć termin „tech”.

Pula techów grupy społecznej, rozwijając się i zmieniając pod wpływem puli memów (ale także w pewnym stopniu genów) prowadzi do zmian środowiska — do modyfikacji niszy ekologicznej danej grupy społecznej. Taka zaś zmiana, choć nie wpływa na mutacje genów, ale otwiera możliwość utrzymania się i propagacji niektórych genów, zmienionych przez mutacje, które w dawnej niszy ekologicznej nie znalazłyby możliwości przetrwania, zaś w nowych warunkach mogą stworzyć dla grupy społecznej nowe czy lepsze sposoby wykorzystania zmienionych okoliczności środowiskowych. W ten sposób pula genetyczna grupy ulega ewolucji, której kierunek został wyznaczony przez rozwój memów, a uwarunkowany przez rozwój techów.

Do tych mechanizmów wpływów i zmian, które funkcjonowały od tysiącleci z tymi wynikami jakie doprowadziły do dzisiejszego stanu kultury i cywilizacji rasy ludzkiej, obecnie dołącza się metoda rewolucjonizująca cały ten system. Ukształtowany został taki zespół memów — pojęć i teorii — który poprzez wytworzone techy, zdołał zbudować konstrukcje materialne — laboratoria i genotechnikę — zdolne stać się czwartą, może najbardziej drastyczną przyczyną zmian mutacyjnych w podstawowych elementach życia organicznego — genach.

J. P. HORZELSKI

Wiersze

Zdzisław MAREK

interludium

źle wyszeptane słowa na szmaragdowej wyspie
prześwietlone są twoje negatywy bezradna piosenka
gdy tonąc po kostki w piaskach obojętnych minut
przystajesz na skraju wszechrzeczy: fala drobna nakrywa stopy
i kombinacje cyfr bliskie zenitu szumią jak siny ocean

powrócić tu na krawędzie wody i ziemi
nie rozumiejąc nic z trudnych misteriów
tyle tylko na ile pozwalają zmysły: nic więcej — jak mało

nietrwałe są na antypodach ucieczki od słońca i od wody
bunt staroświecki ten sam — wiecznie mały i nieszkodliwy
fata morgana pamięci niosąca piękne ikony
namawia do powrotu w mroki utraconej katedry
gdzie na wyblakłych freskach dzieje się ludzka komedia
w obcych strojach i prawie nieczytelnych dźwiękach

chwile wyrwane pamięci: oto powraca masaccio
na kilka sekund zanim tło jego fresków nie zmarszczy się na
[wietrze
i morze trwalsze od cudów przetoczy swoje rytmy przez trzeci
[wymiar obrazu
wspominać przyjdzie nam cienie w tłumie nicponi i drani w tłumie
[dobrych ludzi
z epoki wyzwolonego sexu która ma już swoich męczenników
zanim wszystkich nas porwie zapóźnione hasło do biegu po
[pustych plażach
na oślep aż do autodestrukcji: to jest zgody na nasz zagubiony
[wiek

na wrzawę wielką niosącą —
niosącą — co?

zapisane w pośpiechu

*miałbym coś jeszcze do opisanie ale punkt odniesienia nie
mieścił się na wykresach oficjalnych kronik*

*bez słowa dla tych co mnie potępili grąłem nieistniejący
w niekończącą się ruletkę południa*

*miałem coś ważnego do powiedzenia ale wszystko zaczęło się
mącić i powróciłem w taniec w kółko*

*zanotowałem tylko obrazy: jak srebrem tkana fala kładła się
do snu i słońca dogasały w niepewnych tarczach cienia*

*wydaje mi się często gdy jestem sam na sam ze swoim kłamstwem
że czas mój wypacza ostatnio swoje własne miraż*

*mówię często i niepotrzebnie i z tego czasem powstaje jeszcze
jedna aria goniąca motyle na wietrze*

*ze śladów jaszczurki na gorących piaskach potrafię odczytać
kształt świata i przykazania z kosmosu*

ale za chwilę zostaje z tego jedynie pamięć ciemności

*lubię wpatrywać się w kreskę horyzontu: tam wszystko ma
rozwiązanie; albo w odbicia w płyciznach: tak proste*

*parne oddechy brzegów ognie szafirowe okruchy morza
w trwaniu pogodnym pięknego świata*

* * *

*właściwie mógłbym wspomnieć jak to się stało że stać mnie
jeszcze na takie uproszczenia*

*kiedy niedawno po każdym jaśniejszym słowie stawałem ironiczny
przed swoim odbiciem w ciemności*

*i nie godziłem się na utratę cienia człowieczego o mglistych
konturach o słowie wiecznie błędzącym*

*pod wąskim stropem łójówki na biurku pełnym krążenia monad
albo na polach rozmokłych składałem nie wierząc
uparte litery ziemi*

*takie są może czynności większe od pragnień: kilka słów
strzępy godzin ostatnie kształty: wszechświat*

czyli kropla deszczu doskonała w drzeniu na zwiniętym listku

*na antypodach z wieńcem swojskich clonów w herbie jak w czapce
z pawim piórem albo znów bezimiennie w czapce-niewidce
pokoleń*

przyszło mi wciąż inaczej powtarzać znane psalmy świata

*choć trudniej prawdziwiej byłoby milczeć tak by świstały
wiatry i trzeszczały orbity*

Zdzisław MAREK

"POLONIA"

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty
okolicznościowe i Dział Antykwiariatu; przyjmuje książki do sprzedaży
komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w
Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej **KULTURY** i
ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje
pocztowe zlecenia księgarskie.

Archiwum polityczne

Korespondencja z Rzymu

MOSKWA I WATYKAN

25-ta rocznica rabunku

„Wasi biskupi to mądrzy i odpowiedzialni ludzie — wiedzą jak postępować z komunistami: kiedy mówić głośno i protestować, kiedy zaś milczeć i wyczekiwać”. Wybitny, włoski jezuita komentuje w ten sposób ogłoszone właśnie „wyjaśnienie” Episkopatu w sprawie Caritasu.

„Wyjaśnienie” z dn. 8 marca br. w sprawie zrabowanego Kościołowi Caritasu nastąpiło w okresie relatywnej ciszy. Na jesieni ub. roku reżymowy Caritas obdarzył Kongregację watykańską luksusowym albumem, wydanym z okazji 25-lecia dokonanego rabunku. Nieorientujący się (mimo że kilka lat temu Episkopat wydał oświadczenie w tej sprawie) kardynałowie kurii rzymskiej podziękowali za ten podarunek, a pismo „Zorza”, organ Caritasu, opublikowało otrzymane odpowiedzi. Tego już było za dużo. Oprócz chęci zdemaskowania nadużycia „wyjaśnienie” Episkopatu ma jeszcze inne podłoże. Księża zapisujący się do reżymowego Caritasu otrzymują ubezpieczenia społeczne i prawo do emerytury. Korupcja kwitnie również w krajach Demokracji Ludowej, choć przybiera inne formy niż na Zachodzie.

Kto jest nieodpowiedzialny?

W okresie 1956/57 partia postawiła na kontrahenta katolickiego „licytującego w dół”, tzn. na „grupę krakowską”, wyznającą minimalizm programowy i ugodową taktykę. Dzisiaj faworyzuje grupę sejmową związaną z ODISS-em, która kontynuuje analogiczną linię neo-pozytywistyczną i nie tylko „licytuje w dół”, lecz odcina

się od opozycji demokratycznej. W okresie przed belgradzką weryfikacją układów w Helsinkach ma to określoną wymowę polityczną i służy obiektywnie monopolistycznym interesom partii czyli „totalitaryzmowi z ludzką twarzą”. Znany katolicki dziennik *La Croix* (8 marzec) cytuje posła Zabłockiego, który krytykuje dysydentów i określa intelektualistów, związanych ze środowiskami opozycyjnymi, jako „nieodpowiedzialnych”. „Nieodpowiedzialnymi” są więc według niego b. przywódca chadeckiego Stronnictwa Pracy adw. W. Siła-Nowicki, mąż zaufania Komitetu Obrony Robotników i członek tegoż Komitetu adw. S. Kaczorowski, znany kaznodzieja ks. J. Zieja, prof. E. Lipiński, młodzi niezależni działacze chrześcijańscy, jak również Andrzej Czuma, b. absolwent KUL-u, ks. L. Wiśniewski, duszpasterz akademicki z Lublina i inni członkowie nowopowstałego „Ruchu dla Obrony Praw Człowieka i Obywatela. W tym samym wywiadzie Zabłocki twierdzi, że jest „bliższy Prymasa Polski niż liberalni intelektualiści (z kontekstu wynika że chodzi m.in. o opozycyjne środowiska „Znaku”). „Kto jest mu bliższy mógłby stwierdzić wyłącznie sam ks. Prymas” — mówi mi jeden z wybitnych członków polskiego Episkopatu. Jego zdaniem głoszona przez Zabłockiego i ODISS orientacja chrześcijańsko-społeczna stanowi zastępną. W kraju bowiem nie ma warunków dla realizacji chrześcijańsko-społecznego wzorca ustrojowego. Próby organizowania więc „masowego ruchu” czy ugrupowania politycznego pod szyldem chadeckim mogą doprowadzić jedynie — zdaniem mego kompetentnego w tej materii rozmówcy — do powstania fałszywego, krypto-chadeckiego tworu w rodzaju wschodnio-niemieckiej CDU czy czeskiej Partii Ludowej. Grupa Zabłockiego nadal zachowuje oportunistyczne milczenie i uchyla się od wystąpienia publicznego w sprawie represji antyrobotniczych i nadużyć sądów, organów bezpieczeństwa i milicji, czego domagają się przedstawiciele wszystkich warstw społecznych (w tym liczni duchowni). W tej sytuacji, jeszcze przed otrzymaniem oświadczenia „niezależnych grup chrześcijańskich” z Kraju*, przedstawiciele zespołu Stronnictwa Pracy, działającego za granicą (na spotkaniu w Brukseli w dn. 19-20 marca br.) zdecydowali porzucić dotychczasowe stanowisko preferowania grupy ODISS i postanowili nie wiązać się i „nie identyfikować się z istniejącymi ugrupowaniami katolickimi w kraju”.

„Wszystko zależy od tego co myśli o tym reżyser”

Panujący kryzys władzy nie pozwala dziś partii na otwartą walkę z Kościołem (oczywiście trwa nadal wojna podjazdowa). Partia stara się usilnie o zneutralizowanie najbardziej konfliktowych sytuacji w stosunkach z Episkopatem, zmierza natomiast do erozji oficjalnego (zalegalizowanego), świeckiego zaplecza Ko-

* Tekst deklaracji został zamieszczony w kwietniowym nrze *Kultury*.

ścioła (elitarnego co prawda, bo ograniczonego do wąskiej kadry inteligencji). Istota strategii partyjnej polega na tym odcinku na próbie likwidacji lub przynajmniej zredukowania obu występujących nurtów. Uderza się w środowiska „Znaku” pomawiane o „kosmopolityzm”, powiązania z „międzynarodowymi kołami żydowskimi” i „rewizjonistami” (straszak wyciągnięty z lamusa 1968 r.). Dąży się równocześnie — siejąc konfuzję, stosując taktykę *divide et impera* i faworyzując „neo-Znak” — do definitywnej kompromitacji tej grupy w społeczeństwie. W bardzo wyważonym reportażu na łamach rzymskiego dziennika *Il Tempo* (23 marca) wysłannik tej gazety stwierdza, że ten polityczny manewr sprowadza się do dążenia do „zastąpienia zdyskwalifikowanego PAX-u grupą Zabłockiego, gotowego do dialogu i konstruktywnej współpracy”. W grupie ODISS nie wyklucza się istnienia tego rodzaju manewru — ciągnie dalej włoski korespondent — „podkreśla się jednak że świadome postawienie na Zabłockiego zobowiąże reżym do zgody na powstanie nowego ruchu chrześcijańsko-społecznego”. Cytuje następnie swych rozmówców z ODISS-u: „Nie będzie to łatwe, ale komuniści nie rozumują kategoriami długofalowymi, patrzą tylko kto w danej chwili może być bardziej użytecznym partnerem”. „Święte” słowa. Turowicz — cytowany przez włoskiego korespondenta — oraz inni działacze „Znaku” nie mają zaufania do nowej grupy sejmowej, „odrzucają subwencjonowanie ich” przez nową spółkę i „pragną pozostać niezależni”. Dziennikarz włoski przytacza porozumienie z 23 lutego, zawarte pomiędzy ODISS-em a warszawskim KIK-iem i *Więź*, które przewiduje „słuszny podział b. spółki 'Libella', gwarancję autonomii dla pisma *Więź* i regularne finansowanie wszystkich klubów inteligencji katolickiej”. Sprostowanie wydane przez ODISS (po francusku) w sprawie spółki „Libella” informuje, że grupa ta zaproponowała na początku lutego „arbitraż Episkopatu” i stąd negocjacje w tej materii toczyły się przy „dyskretnym błogosławieństwie Episkopatu”. Nie jest to ścisłe. O mediację Episkopatu zwrócił się już na początku stycznia prezes warszawskiego KIK-u Andrzej Święcicki i w konsekwencji sekretarz Episkopatu bp Dąbrowski interweniował u min. Kąkole, szefa Urzędu d/s Wyznań, podejmując starania o ratowanie zagrożonej egzystencji klubu i pisma *Więź*. Jak się dowiaduję, w kompetentnych kołach kościelnych ocenia się to porozumienie dość sceptycznie z uwagi na nagromadzone urazy personalne i rozłam jaki dokonał się w łonie ruchu „Znak” przy nader czynnym udziale czynników partyjnych. „Gdyby reżym miał nadal uprzywilejowywać tylko frakcję Zabłockiego, to biskupi będą zmuszeni zająć stanowisko” — komentuje podpisane porozumienie cytowany włoski korespondent. Dodaje jednak, że biskupi „nie wykluczają iż obie frakcje („tradycyjna” i „dialogowa”) będą mogły współistnieć i współpracować z Kościołem”. Powołując się na bliżej nieokreślonego intelektualistę, stwierdza: „wszystko zależy od tego co myśli o tym reżyser”. Aluzję tę tłumaczy jednoznacznie: kierownictwo partii i Moskwa.

Gierek u Papieża?

Polskie przedwiośnie wyraźnie nie służy wysłannikowi papieskiemu. Abp Luigi Poggi, po raz trzeci wybrał się w marcu do kraju i nie czuł się tam dobrze. Tym razem zachorował na gripę i musiał skrócić nieco program swego pobytu. Wizytował jednak, zgodnie z planem, Kielce, Sandomierz i Lubaczów. W Częstochowie, na placu przeznaczonym na budowę kościoła na osiedlu „Tysiąclecie”, był owacyjnie witany przez tysiące wiernych pragnących wyrazić mu — jak zaznacza komunikat biura prasowego Episkopatu — „wdzięczność za osobiste zaangażowanie się w staranie o uzyskanie pozwolenia na budowę świątyni”.

Niezależnie od misji duszpasterskiej abp Poggi odbył w Warszawie szereg rozmów z przedstawicielami rządu. Był przyjęty nawet przez premiera Jaroszewicza, czego protokół nie wymagał. Świadczy to o natarczywości z jaką obecne kierownictwo partii naciska na Stolicę Apostolską o nawiązanie stosunków dyplomatycznych. Negocjator watykański wysłuchiwał dezyderatów rządowych, ale żadnych zobowiązań nie podjął. Nie ma do tego mandatu i działa wyłącznie w ramach otrzymanych instrukcji, które przewidują jedynie wymianę poglądów i podtrzymywanie kontaktów. Trzy dni przed powrotem mons. Poggi do Rzymu zjawił się tu R. Frelek, przewodniczący sejmowej Komisji spraw zagranicznych (i kierownik wyd. zagr. K.C.) i był przyjęty przez włoskiego ministra spraw zagr. Perorował na rzecz ustalenia daty oficjalnej wizyty Gierka, której termin był już kilkakrotnie odkładany. Miała dojść do skutku w ub. roku, ale przyszła rewolta w Radomiu i Ursusie i popsuła szyki. Obecnie wchodzi w rachubę maj choć prawdopodobnie termin przesunięty będzie na jesień. Gierkowi zależy oczywiście nie na przyjęciu w Kwirynale, lecz za Spiżową Bramą. Przyjęcie przez Pawła VI-go może oznaczać przypieczętowanie decyzji o normalizacji stosunków, tzn. o wymianie przedstawicieli dyplomatycznych. Według konwencji, przyjętej dziś na Zachodzie (wprowadził ją de Gaulle), pierwszy sekretarz rządzącej partii komunistycznej traktowany jest jako głowa państwa. Stolica Apostolska tę normę zwyczajową zaakceptowała.

Tymczasem Paweł VI obwieścił ponownie obecność Szatana (w oficjalnym tekście włoskim pisany przez duże S), „złego ducha działającego przeciw ludzkości” i nazwanego „księciem tego świata” (dawniej Paweł VI mówił jedynie o „księciu piekieł”). Z górą cztery lata temu oznajmił w czasie audiencji generalnej, że „sposrządził poprzez szparę diabelski wyziew wciskający się do świątyni Boga”. Od tego czasu kilkakrotnie wracał do denuncjowania Lucyfera jako „wroga numer jeden, zgubnego i zatrważającego, który sieje błędy i nieszczęścia”. Jak kiedyś zwierzył się pewnemu biskupowi — przypomina kronikarz — a rzecz rozszła się w kurii budząc sensację, Paweł VI uważa Szatana za „sprawcę pomyłek i upadków jakie nastąpiły (a które inaczej były-

by niezrozumiałe) wśród samych przedstawicieli Kościoła". Trzeba tu przypomnieć, że kontestując „błędne teorie” pewnych teologów, kwestionujących „ideę diabła” jako inkarnacji zła w świecie współczesnym, Kongregacja dla Doktryny Wiary (dawne Święte Oficjum) ogłosiła dwa lata temu studium pt. „Wiara chrześcijańska i demonologia”. Potwierdza tam niezwykle ważną funkcję jaką „istota szatańska” spełnia w tradycji katolickiej. Nie żadne wcielenie mitu zatem, lecz rzeczywistość.

Dominik MORAWSKI

Pisane 5 kwietnia 1977

FRAGMENTS

Redaguje CHARLES JOEL

Rozpoczęto 4-ty rok działalności, dotyczącej przekładów artykułów *Kultury* na język angielski. Prenumerata na rok 1977 — 10 numerów — wynosi dol. 8.50 włącznie z kosztami przesyłki. Indeksy wysyłane są bezpłatnie na indywidualne zamówienia.

Każdy nowy prenumerator, który wpłaci dol. 23,50 będzie miał pokryty abonament na dwa lata 1977 i 1978 a ponadto otrzyma dwa tomy *Fragments* za lata 1974 i 1975 (20 numerów). Ze względu jednak na ograniczoną ilość dawnych numerów Redakcja zastrzega sobie prawo odmowy powyższej oferty i zwrot nadesłanych pieniędzy, gdyby zamówienie przyszło już po wyczerpaniu nakładów.

Zamówienia i czeki należy przysyłać do:

FRAGMENTS

Correspondance Home Study of Languages
P.O. Box 744, Sutter Creek, Cal. 95 685. U.S.A.

PRZEMIANY

BIULETYN INFORMACYJNY PPS W NIEMCZECH
ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Kraj

Osoby towarzyszące

Byłem kiedyś przez dwa dni gościem Sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Radomsku. „Kiedyś” znaczy dokładnie 15 lipca 1971 roku. Notatki jakie sporządziłem w trakcie tej wizyty później zaginęły — ukradł mi je wraz z teczką pewien warszawski taksówkarz — ale datę łatwo odtworzyć, był to bowiem dzień imienin Włodzimierza. Mojemu gospodarzowi było właśnie Włodzimierz. „Przyświeca nam przykład Wielkiego Włodzimierza” — wołały radomszczańskie transparenty w familijnym dowcipie lokalnych towarzyszy.

Włodzimierz W. (nazwiska nie są tu istotne, a nie chciałbym ich przekreślać) okazał się chudym, suchym czterdziestolatkiem o niesfałszowanej proletariackiej urodzie. Moment pierwszego spotkania wypadł nam niezbyt zręcznie. Sekretarz uprzedzony został z Warszawy, że przyjeżdża do niego gość z Londynu, i jakoś mu z tej informacji wyszło, że gościem jest angielski działacz lewicowy pochodzenia polskiego. Ucieszył się z mojej płynnej polszczyzny, ale nie był pewien jak do mnie mówić. W pierwszych paru zdaniach unikał zwracania się bezpośrednio, potem raz czy dwa wyszła mu liczba mnoga, „no bo wiecie”, wreszcie zaryzykował formę: „towarzyszu”. Odpowiedziałem już per „wy” i tak to w Radomsku zostałem na dwa dni towarzyszem partyjnym.

Stworzyło to pomiędzy nami ton ostrożnej poufności. Kultura towarzyska działacza partyjnego na prowincji polskiej jest mniej niż wspaniała, nie zapewnia swobodnego obcowania z nieznajomymi, wobec czego przyjęte formy tym mocniej zobowiązują, definiują konwencję, płaszczyznę porozumienia, i ściśle ją ograniczają. Zwrot „wy, towarzyszu” zakłada, że trochę wiemy o życiu wspólnie, czego inni nie wiedzą. Towarzysz Sekretarz przeprosił, że kazał mi przez chwilę czekać. Miał właśnie do załatwienia

sprawę dyskretną. „Bo rozumiecie, towarzyszu” — mówił (mniej więcej) — „sekretarz powiatowy musi być także spowiednikiem i niańką”. A on, towarzysz Włodzimierz, ma do tego w Radomsku zespół partyjny młody, zespół ludzi z własnego pokolenia. Tego chciał, do tego dążył, bo młodzi są energiczni i rzeczowi, tylko że, „niestety, wiecie, biegają za dupą”. Właśnie wyszła od niego żona lekarza, dobrego towarzysza. Wczoraj złapała męża na gorącym uczynku we własnym łóżku. Sekretarz musiał ją pocieszyć, wytłumaczyć żeby nie robiła publicznej awantury, i nie upierała się przy rozwodzie. Towarzysz Sekretarz wszystko załatwi. A teraz czeka go rozmowa z mężem. Trzeba go będzie opieprzyć i pouczyć, że jeżeli już musi to nie we własnym mieszkaniu, i nie tak by się dał złapać jak małe dziecko.

Takie były, między innymi, problemy i troski sekretarza powiatowego. Wcale nie zamierzam się z nich wyśmiewać. Chciałbym w tym opisie unikać rysów karykaturalnych. Zresztą towarzysz Włodzimierz nie wydał mi się karykaturalnym egzemplarzem swojego gatunku. Prenumerował *Politykę*, szczylił się znajomością z Mieczysławem Rakowskim — który w Sejmie reprezentuje radomszczański okręg wyborczy. W kontekście partyjnym należałoby zapewne mojego Sekretarza uznać za „liberała”, chociaż w Radomsku takie kategorie i terminy są czystą egzotyką. Na pewno wybrano go w Warszawie na mego gospodarza jako przykład działacza światłego, eksportowej jakości.

Przebywałem wtedy w Kraju oficjalnie jako dziennikarz-stypendysta, zbierający materiały do angielskiej książki o mieszkańcach współczesnej Polski. Zwracałem się w Londynie o pomoc do British Council, i chociaż załatwiono mnie tam odmownie, współpracujący z British Council krajowy Instytut Kultury ofiarował mi sześciomiesięczne stypendium płatne w Warszawie. Koniunktura na takie poczynania była wtedy niezła. Gierkowska polityka polonijna nie nabrała jeszcze kształtu i ciała, ale budziła się w przybytkach władzy inklinacja do polityki bardziej niż dotychczas otwartej. W gabinetach „Interpressu” (kombinatu informacyjno-propagandowego, któremu podlegają wszystkie dziennikarskie kontakty z zagranicą) i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, modne było raczenie gości z Zachodu, przy kawie i winiaku, szyderczymi opowieściami o urojonych niebezpieczeństwach jakie nieś miały, w wyobraźni władzy przed-grudniowej, szerokie kontakty z Polonią i z turystami krajów kapitalistycznych. Wyglądało że takie obawy rzeczywiście nagle stopniały. Nowa, czy raczej odmłodzona władza, wkraczała w swój optymistyczny etap. Być może odurzona samozachwytem naprawdę uwierzyła, że może się podobać nawet na zewnątrz, patrząc od Zachodu.

Tylko pozornie jest to sprzeczne z faktem, że wewnątrz Kraju Gierkowa „odwilż” okazała się w kulturze i w polityce płytka i krótkotrwała. Rewolucje pałacowe w Polsce Ludowej zawsze odkorkowują parę zamkniętych przedtem spraw, lecz pośpiesznie zamykają inne. Następuje dezorientujące przesunięcie obszaru względnych swobód i zakazów. Nawet haniebny Marzec 1968 roku, dla polskich antysemitów był prawdziwą eksplozją swobody. Polska w latach po-grudniowych stała się na pewno krajem bardziej dostępnym, swobodniejszym dla emigrantów i innych gości z Zachodu. Z tego jednostronnego otwarcia rodziły się bodźce do optymistycznych ocen kierunku zmian w Polsce. Dla stałych mieszkańców tego kraju nie wszystkie prognozy były różowe. W gospodarce działo się wprawdzie coś nowego, ale w kulturze nowe układy personalne na szczytach władzy bardzo szybko doprowadziły do stosunków co najmniej równie paraliżująco dusznych jak i przed grudniem. W środkach masowego przekazu informacja pozostała funkcją propagandy, czyli że nadal nie istniała, a w propagandzie ton neo-stalinowskiej retoryki już wtedy zapowiadał te metafizyczne głębie zakłamania jakie osiągnąć miał w roku 1976.

Zjechałem więc wtedy do Kraju już w trochę innej roli niż przedtem. Nie jako zwykły turysta, dziennikarz, czy emigrant stęskniony do krajobrazu dzieciństwa, a jako oficjalny badacz, a naprawdę po to by zanurzyć się po uszy w polskiej codzienności. Chciałem pomieszkać w Kraju, zrywać się o siódmej rano by biec do budki „Ruchu” po *Przegląd Sportowy* (jedyna gazeta drukująca fakty), stawać w kolejce po kielbasę, nosić brudne koszule do pralni ekspresowej, zelować buty u szewca, pocić się w tramwaju. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że jednak pozostanę w sytuacji uprzywilejowanej, że w Polsce Ludowej promyk łaski władzy grzeje właśnie takich jak ja, co w wewnętrznej kieszeni szarego wdzianka kupionego w Warsie trzymają obcy paszport.

Chciałem by mnie pozostawiono samemu sobie i pozwolono penetrować różne środowiska drogą osobistych kontaktów. Tak się właściwie stało. Raz na miesiąc w lokalu Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną odbierałem trzy tysiące złotych, wraz z pytaniem jak idzie mi praca i czy nie mam jakichś problemów. Dziękowałem, podpisywałem odbiór pieniędzy, odpowiadałem że idzie mi dobrze i problemów nie mam. Czasami prosiłem o parę zaświadczeń, że jako stypendysta jestem uprawniony do płacenia, na przykład, za kwaterę na prowincji złotówkami, bez przedstawiania „kwitu wymiany dewizowej”. Raz, wkrótce po przyjeździe, zaproszono mnie na rozmowę z paru wice-dyrektorami MSZ, którzy znali mój ogólnikowy konspekt proponowanej pracy i chcieli wiedzieć jakiej potrzebują pomocy. Tłumaczyłem, że dam sobie radę, że poznałem w Polsce mnóstwo ludzi — pisarzy, artys-

tów, socjologów, sportowców, działaczy (wymieniłem parę bezpiecznych, dobrze widzianych nazwisk), że mam rodzinę na wsi, ale czułem że o jakąś pomoc wypada mi poprosić. Spytałem, czy mogliby mi znaleźć działacza partyjnego na głębokiej prowincji, który by zgodził się przyjąć mnie na parę dni i pozwolił przyrzec się jego pracy. W parę tygodni później zawołano mnie znowu do MSZ i jeden ze znajomych wice-dyrektorów oznajmił spełnienie mojej prośby. Towarzysz Włodzimierz W., sekretarz powiatowy w Radomsku, w samym sercu Polski, najgłębiej jak można, zgodził się mnie przyjąć. Uprzedzono mnie nawet, że przyjeżdżam w dzień imienin sekretarza, z niejasną obietnicą obfitych i serdecznych libacji u gospodarzy powiatu.

Na imieniny zaproszony nie zostałem. Byłem obecny przy rozgrzewce do imieninowego przyjęcia. Każdy interesant dopuszczony w ten dzień do Sekretarza zaczynał od uroczystych życzeń. Jeżeli był z grona dobrych towarzyszy, wyjeżdżała z kredensu butelka winiaku i solenizant, lub jego sekretarka, nalewali po małym kieliszku. Towarzysz Włodzimierz siebie oszczędzał. Miał jeszcze — mówił — długi dzień przed sobą, na publicznym widoku, częściowo za kierownicą. Zabrał mnie swoją czarną „Wołgą” do mieszczącego się w innym punkcie miasta Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Przewodniczący Rady Narodowej kazał nam chwilę czekać, bo i on był w trakcie załatwiania dyskretniej sprawy. Tłumaczył się potem rozlewając winiak, że wypłacał właśnie „spod lady” pieniądze proboszczowi jednej z okolicznych parafii. Księżom należą się pensje z kasy państwa i z ubezpieczeń społecznych, ale episkopat, z księdzem Prymasem na czele, nie życzy sobie by te pieniądze inkasowali. Są jednak kapłani, którzy po cichu zgłaszają się po swoją należność. Wypłaca się im ją skwapliwie, gwarantując dyskrecję. Moi partyjni gospodarze opowiadali to tonem nieskrywanej satysfakcji. Taka ukryta nie zależność parafii od instancji partyjnych ułatwia życie i ugruntowuje autorytet powiatowej władzy w jej własnych oczach. Nie wszyscy jednak kapłani przejawiają ten pożyteczny dla Partii rys interesowności. W powiecie radomszczańskim był i taki proboszcz, który bez pozwolenia zaczął stawiać kaplicę, byle sprokować konfrontację.

Bo w Polsce na poziomie powiatu — kiedy powiaty jeszcze istniały — konfrontacja instytucji partyjno-państwowych z Kościołem jest jaskrawa i naga, a jednocześnie obrosła w gmatwaninę politycznych i uczuciowych, ludzkich powikłań. W Radomsku nie było dysydentów, ani frakcji partyjnych, ani żadnych napięć pomiędzy kierowaną przez rząd administracją terenową a kontrolującym ramieniem PZPR. Towarzysz Włodzimierz pouczał mnie z niekłamana szczerością, że dyskutowane właśnie w stolicy pro-

jekty leczenia szkodliwego dualizmu struktury państwowej poprzez większą autonomię administracji od instancji kontroli partyjnej, w Radomsku brzmią nierealnie i niezrozumiale. W powiecie chodzi o to, by skupiony wokół Sekretarza zespół działaczy organizacji partyjnej, Rady Narodowej i administracji w zakładach pracy potrafił współżyć ze sobą. Wszystko zależy od układów personalnych, wszystkie problemy rozwiązuje się na drodze posunięć personalnych. Władza sekretarza powiatowej organizacji partyjnej jest w praktyce nieograniczona po prostu dlatego, że w jego kompetencji leży obsada kluczowych stanowisk na terenie powiatu.

Powiatowi działacze partyjni są grupą zamkniętą. Jest zasadą, że pochodzą z innych części Kraju. Towarzysz Włodzimierz urodził się w rodzinie robotniczej w Rzeszowie, Radomsko zobaczył po raz pierwszy kiedy przyjechał tu siedem lat wcześniej na stanowisko Sekretarza Powiatowego. Z działaczy partyjnych jakich tam poznałem tylko jeden, naczelný inżynier fabryki mebli giętych, był człowiekiem miejscowym. Po wieloletniej praktyce w innych częściach kraju udało mu się powrócić w strony rodzinne. Sam przyznawał, że stanowi wyjątek, potwierdzający regułę. Wszyscy inni przyjechali do Radomska na partyjną posadę.

Brak więzów pochodzeniowych z powiatem pogłębia wyobcowanie grupy partyjnej. Ci ludzie dostali prowincję do rządzenia i przyjechali pilnować wykonania planów produkcyjnych, mobilizować ludzi do żniw, doraźnie załatwiać doraźne problemy, urządzić obchody, rozwieszać transparenty ze sloganami, i w ogóle trzymać organizację życia społecznego o centymetr ponad poziom absolutnych, nagich konieczności, czuwać żeby się to wszystko całkiem nie rozpieprzyło i nie rozpadło. Organiczne związki z miejscem i z ludźmi mogą w takich zadaniach przeszkadzać.

Wyobrazić sobie można, że Sekretarz „przyzwoity”, materialnie nie skorumpowany, jeszcze bardziej swoim osobistym wpływem pogłębia izolację społeczną partyjnej grupy. Złodziejstwo, przyjmowanie łapówek, ciemne interesy, dają jednak kontakt ze środowiskiem. „Przyzwoitość” oznacza obwarowanie się w gronie partyjnych towarzyszy, nie wynoszenie żadnych swoich spraw na zewnątrz.

Podejrzewam, że towarzysz Włodzimierz był „przyzwoitym” Sekretarzem Powiatowym. (Nie należy zresztą przesadzać z pomawianiem aparatu partyjnego o korupcję. Nie w tym nieszczęście). Dlatego wołał, bym nie był gościem na jego imieninach, kiedy w bezpiecznym gronie wódka poleje się szczerym strumieniem. A szkoda. Taki imieninowy bankiet u partyjnego proboszcza, czy raczej (niech mu będzie) powiatowego przeora zakonu PZPR, musiał być okazją znaczącą. Nazywam go „przeorem”, bo prze-

cież był dla swoich towarzyszy nie tylko wodzem, ale powiernikiem, doradcą, spowiednikiem, bo karmił ich, karał, wskazywał drogę, uczył życia, chronił przed publicznym zgorszeniem.

W Radomsku, w samym sercu Polski, jak pewnie i w każdym innym powiecie, siedziba Komitetu Powiatowego PZPR jest w zasięgu głosu dzwonów kościoła parafialnego. Komitet i Kościół są jedynymi ośrodkami siły. Jest zakon ludzi obcych, naślanych do rządzenia, z Sekretarzem na czele, i miejsce starego kultu, skąd ludzie miejscowi czerpią swoją tożsamość, od chrztu w powiśniętach aż po ostatnie wyjście z kościoła w dymach kadzidła, w trumiennym pudle. W Radomsku, w Polsce powiatowej, Komitet i Kościół stoją twarzą w twarz. Tej konfrontacji nic tu nie osłania, nic nie rozmazuje. I Komitet, zakon komunistów, wynosić z niej musi dotkliwe poczucie własnej obcości. Pozostaje im, komunistom, tylko satysfakcja sprawowania władzy i bezpośrednie z niej korzyści.

Późnym popołudniem solenizant odwiózł mnie do budynku szkolnego, który w czasie ferii służył jako hostel, i pozostawił samemu sobie. Kiedy dobrzy towarzysze bankietowali u Włodzimierza, ja włóczyłem się po Radomsku. Chciałem powiedzieć „szlifowałem bruki”, ale zachęcałoby to do fałszywych skojarzeń. Radomsko liczy sobie około trzydziestu tysięcy mieszkańców, ale niewiele jest w tym miasta. Przez środek, z łoskotem ciężarówek, przebiega szosa częstochowska, dotykając zielonego skweru, którego przeciwległy skraj zdobią białe mury barokowego kościoła Franciszkanów. Rzeźba Radomka okala przykościelny cmentarz. Urbanistyczne i architektoniczne zdobycze systemu znaleźć wszędzie można w pobliżu centrum. Duży, murowany „Sam” przy skwerze, trzypiętrowy budynek szkoły, prostokątne pudełka osiedla mieszkaniowego, jedna restauracja drugiej kategorii wypełniona wewnątrz pełzającą zielonością jakichś bluszczowatych roślin, z malowanymi parawanami na straży wódczanej intymności stolików, i — wreszcie — największa duma gospodarzy miasta: obszerny Dom Kultury w parku miejskim z kolorową mozaiką na fasadzie (motywu nie pamiętam), mieszczący kino i salę widowiskową. Za kościołem Franciszkanów wszedłem w uliczkę bez chodników, najpierw brukowane nierównymi „kocimi łbami”, dalej wcale niebrukowane. Stare, przedwojenne wille z popękanym, osypującym się tynkiem, zamieszkałe teraz przez kilka rodzin każda, przechodziły w jeszcze starsze parterowe domki drewniane, z łuskami wyblakłych resztek farby, z poprzewracanymi parkanami. Próchniejący, sterany wiek dziewiętnasty trwał tu o kilkaset metrów od szarych pustaków polskiej nowoczesności.

Następnego dnia zwiedzałem z Sekretarzem fabryki. Najważniejszym i najbardziej nowoczesnym zakładem pracy w Radomsku

jest fabryka mebli giętych, największa w Polsce, zatrudniająca parę tysięcy robotników. Zakład niedawno rozbudowano, i niektóre hale świeciły jeszcze nowością. Z bezpieczeństwem pracy było jednak nie najlepiej, skoro jedną z takich nowych hal kazano nam przejść jak najszybciej, powstrzymując się od wdychania jakiegś rozpylonej w powietrzu substancji chemicznej. Sekretarz Powiatowy przedstawił mnie towarzyszącej z dyrekcji, i w trakcie rozmowy jednemu z nich wypłynęła się dosyć znacząca informacja. Mówiliśmy o wysiłkach zwiększenia eksportu radomszczańskich mebli na rynki kapitalistyczne, gdzie dopiero eksport naprawdę się opłaca. Bo w tej chwili — powiedział jeden z towarzyszy — ponad 50 % produkcji idzie do Związku Sowieckiego, gdzie przy obowiązujących przeliczeniach walutowych sprzedajemy sporo poniżej kosztów własnych.

W zakładach „Komuny Paryskiej” wkroczyliśmy znowu w wiek XIX-ty, w atmosferę „rewolucji przemysłowej”. Zakłady są starą hutą, niedoinwestowaną, pracującą na przedpotopowym sprzęcie, wyrabiającą gwoździe i drut pośledniego gatunku. Chodziliśmy tam po czarnych, zakopconych czeluściach, wdychaliśmy opary gazów od których drapało w gardle i łzawiły się oczy. Było nas trzech: wicedyrektor zakładu, Sekretarz Powiatowy i ja — obcy z teczką. W robotnikach nasz widok powodował reakcje otwarcie, niemal demonstracyjnie wrogie. Spotykały nas niechętnie, złe, wcale nie zaciekawione spojrzenia, grupki rozmawiających, beczynnych robotników odwracały się od nas plecami. Miałem wrażenie, że w przeszło pół roku po zajęciach grudniowych i po objęciu władzy przez nową ekipę, żył wśród tych robotników jeszcze nastrój rozdrażnienia, poczucie wyzysku.

„Komuna Paryska” miała też swoje rynki eksportowe. Na składzie widziałem paczki radomszczańskich gwoździ przygotowane na eksport do krajów Dalekiego Wschodu.

Po południu jechaliśmy czarną „Wołą” Sekretarza odwiedzić fabryczkę narzędzi rolniczych w osiedlu o dobre dziesięć kilometrów od Radomska. Droga prowadziła przez sosnowe lasy. Zatrzymaliśmy się na chwilę przy polanie, na której środku stał nowy, piętrowy budynek, całkiem pusty. Na polanie nie było żywej duszy. Budynek — wytłumaczył mi towarzysz Włodzimierz — wzniesiony został w ramach społecznej akcji stawiania „szkół tysiąclecia”. Stoi pusty, bo nie ma komu służyć. Najbliższa wieś, o parę kilometrów, wyludnia się, ludzie szukają pracy gdzie indziej, dzieci w wieku szkolnym prawie nie ma. Budowało się takie szkoły z obowiązku społecznego, nie zawsze zwracając uwagę na rzeczywiste potrzeby. Akurat ta może się przydać, bo towarzysz Włodzimierz zamierzał w niej urządzić stanicę harcerską.

Nasze pojawienie się w fabryce narzędzi rolniczych wywołało w administracji wrażenie wprost piorunujące. Przyjazd Sekretarza nie był zapowiedziany, a niezapowiedziana wizyta gospodarza powiatu na pewno bardziej przeraża niż wizyta ministra. W Radomsku mieli go na co dzień, ale tu jego pojawienie się nie mogło być przypadkowe. Z niedowierzaniem, ale w końcu i z ulgą przyjęli moją obecność u boku Sekretarza. Gadający po polsku Anglik z polską tęczką dawał rękojmię, że Sekretarz przyjechał w celach reprezentacyjnych.

Fabryczka wyrabiała konwencjonalne kosy, pługi, sprzężynówki. Zatrudniała prawie wyłącznie chłopo-robotników, mańrolnych gospodarzy z okolicznych wsi. W zasadzie — mówił Sekretarz — są to pracownicy najgorsi, niesumienni, leniwi, zaprzatnięci problemami swego gospodarstwa, nie fabryki, z wysokim procentem nieusprawiedliwionej absencji. Ale do takiej produkcji akurat się nadają, bo kosy i pługi są sprawą im bliską, naturalnym przedłużeniem ich wiejskiego życia. Tylko że w okresie zasiewu, sianokosów, czy żniw żadna siła ich w fabryce nie utrzyma. Za kilka dni produkcja stanie.

Oglądałem gotowe kosy i pojedyncze pługi do zaprzęgu konnego nie różniące się niczym od tych, jakimi chłopi w Polsce pracowali pół wieku temu. Nawet przy założeniu że wszystko to było przeznaczone dla indywidualnych gospodarstw chłopskich, profil produkcji tego zakładu wydawał się anachroniczny.

Dziwacznym tego potwierdzeniem stała się dla mnie informacja, że spora część produkcji szła na eksport do krajów czarnej Afryki. W biurach fabryki bawił właśnie towarzysz z Warszawy, z Centrali Handlu Zagranicznego, który zajmował się demonstrowaniem w Afryce walorów radomszczańskich narzędzi rolniczych. Dopiero co wrócił z Etiopii, gdzie żłobił skiby stalowym polskim pługiem, ucząc Murzynów że postęp importować trzeba z Polski, z powiatu radomszczańskiego.

Mój Sekretarz, towarzysz Włodzimierz, należy do historii. Reforma administracyjna z czerwca 1975 roku wykreśliła jego funkcję z partyjnego słownika. „Polska powiatowa” przestała istnieć. Wystarczy na nią jedno spojrzenie z perspektywy partyjnej, by zdać sobie sprawę jak krytycznie ważnym i zuchwałym krokiem była ta Gierkowa reforma, i jak potworny administracyjny bałagan musiał powstać bezpośrednio po niej. Powiat był podstawową, samoczynną komórką ludowej rzeczywistości, tam polityka dotykała życia. Sekretarz Powiatowy centrali się nie sprzeciwiał, wywieszał właściwe slogany, przeprowadzał rezolucje, wielbił Pierwszego Sekretarza, ale też z twardym sceptycyzmem traktował wszelkie polityczne, z góry idące, projekty istotnych

zmian. Znał życie. I nagle... powiatu nie ma, nie ma Komitetu Powiatowego, nie ma Miejskiej Rady Narodowej.

Trudno jest uwierzyć by struktury „powiatowe” całkowicie się rozpadły. Podejrzewam, że uległy przesunięciu, znajdując oparcie na rozbudowanym niższym szczeblu wiejskich i miejskich gmin, lub na wyższym szczeblu rozmnożonych województw. W tym sensie wątpię, czy to uderzenie w terenową władzę średniego aparatu całkowicie się powiodło. Koszta tego manewru ponieśli, jak zwykle, rządzeni. W Polsce dla wielu szarych ludzi życie jest niekończącym się, mozolnym dreptaniem wokół własnych interesów. Nagła, nieprzygotowana reforma stworzyła długotrwały administracyjny chaos, kiedy nowa władza terenowa sama nie potrafiła rozgraniczyć swoich kompetencji. Wielu spraw nie można było nawet zacząć załatwiać, bo nie wiadomo było gdzie. Znam wypadki, gdzie na skutek zmian terenowych rozdział mieszkań spółdzielczych nagle znalazł się w gestii niczyjej. Ludzie, którzy od lat wpłacali pieniądze na zakup przyszłych mieszkań, nie wiedzieli do kogo się zwrócić by sprawdzić czy nie wypadli z kolejki, stracili też możliwość wycofania pieniędzy. Nie było już nawet komu dać łapówki.

Uderzenie w aparat terenowy brzmi jak krok pożądany, z którego intencją należy się solidaryzować. Nie jestem jednak pewien czy takie przybliżenie władzy centralnej do terenu jest w warunkach tego systemu dla ludzi pomyślne. Szczególnie teraz, po czerwcu 1976 roku, kiedy autorytet społeczny towarzyszy z centrali równa się zeru. Z dzisiejszej perspektywy władza towarzysza Włodzimierza w powiecie radomszczańskim nie wydaje mi się specjalnie złowieszczą. A spotkać się można było — przynajmniej w jednym przypadku — i z władzą powiatową jeszcze znacznie lepszą.

Wyjątkiem pozytywnym, potwierdzającym złą regułę w skali krajowej, był powiat nowosądecki. W Nowym Sączu, Starym Sączu, Piwnicznej, Krynicy i Grybowie kelnerzy w restauracjach uśmiechają się do klientów, w hotelach recepcje telefonują do gości pytając czy im wygodnie i miło, na skrzyżowaniach po holendersku czystych ulic pozakładano klomby kwiatowe i zieleńce, domy są zadbane i schludne. W dolinach Dunajca, Popradu i Białej kwitną i owocują kilometrowe sady, naturalna uroda krajobrazu nie została „ucywilizowana” kopami nieotynkowanych, piętrowych „willi” z surowych pustaków, które wyrastają, jak psie grzyby, wokół niemal wszystkich miast Polski Ludowej. To nie egzaltacja. W granice powiatu nowosądeckiego wjeżdżało się naprawdę jak w obszar innej kultury.

Zaczął się to po Październiku. 9 maja 1958 roku Rada Ministrów powzięła uchwałę „w sprawie rozwoju gospodarczego

powiatu nowosądeckiego i miasta Nowego Sącza". Uchwała nie brzmiała rewolucyjnie. Składała się z pobożnych rezolucji na temat „jak najszybszego rozwoju funkcji uzdrowiskowo-turystycznych powiatu”, „wykorzystania istniejących warunków dla rozwoju sadownictwa i przetwórstwa owocowego, rozwoju gospodarki hodowlanej” etc. Ale poza inwestycjami centralnymi stworzono osobny fundusz rozwoju ziemi sądeckiej, który całkowicie pozostawał w gestii władz lokalnych. W trakcie mojej wizyty w tamte strony we wrześniu 1971 roku zdradził mi ktoś nieogłoszony nigdy publicznie sekret bujności źródeł tego funduszu: odprowadzano tam 10 % obrotu z konsumpcji alkoholowej na terenie powiatu. Fundusz stał się jedną z podwalin tak zwanego „eksperymentu nowosądeckiego”. Pozwalał inicjować lokalnie projekty własne, bez zgody centrali, często w nadziei że rozpoczęte inwestycje zostaną przejęte i doinwestowane z zewnątrz.

Naprawdę motorem „eksperymentu” był entuzjazm i patriotyzm lokalny nowosądeckich działaczy. Poczucie wspólnoty ludzi tam urodzonych musi być przedziwnie mocne, skoro w Warszawie działająca solidarnie w KC, w Sejmie i w rządzie „lobby” partyjnych Sądeczan potrafiła doprowadzić do owej uchwały Rady Ministrów. Wpływy w stolicy umożliwiły też zapewne stosowanie na terenie powiatu (właściwie mówimy o dwóch powiatach, bo miasto Nowy Sącz otrzymało status powiatu miejskiego) polityki kadrowej stanowiącej zaprzeczenie praktyki partyjnej w całej reszcie kraju. Władza w sądeckim znalazła się w rękach działaczy rodzimych, nieraz takich, którzy całe życie tam spędzili, poprzez pracę konspiracyjną w latach okupacji, bratobójczą walkę z oddziałami UPA po wojnie i stalinizm, lub też takich, którym się udało powrócić w strony rodzinne po stażu w pracy politycznej w innych częściach Polski. Sekretarz Komitetu Powiatowego, tow. Jan Koszkuł, Przewodniczący Powiatowej Rady Narodowej w Nowym Sączu Kazimierz Węglarski — człowiek o niesłychanej pracowitości, fanatycznie oddany Sądeckiźnie, jeden z głównych architektów i motorów „eksperymentu”, kustosz miejscowego muzeum i twórca sądeckiego skansenu p. Szczepanik — niegdyś działacz warszawski związany z grupą *Po prostu*, referent kulturalny p. Mieczysław Smoleń, Przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej z Grybowa p. Jerzy Gostwicki (członek Stronnictwa Demokratycznego), Przewodniczący Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Starym Sączu, p. Stanisław Mirek — znany, między innymi, z tego że co dzień o szóstej rano, kiedy przez ulice miasteczka przetoczyły się już wozy mleczarskie i fury chłopskie, wychodził z miotłą i szufelką pozmiatać z bruku koński nawóz, wszyscy urodzili się w Sądeckiźnie i nie stanowią zamkniętego „zakonu”. W kontakcie z nimi nie czuje

się ani krzty tego poufale protekcyjnego, lekceważącego stosunku do ludzi, tego „my już wiemy jak ich trzymać za twarz, kiedy szturchnąć a kiedy pogłaskać, żeby ryzy nie pękły i całe gównem się nie rozlało”, charakterystycznego dla kultury przygniatającej większości działaczy partyjnych. Na Sądeckiźnie działacze są na swoim i pracują dla własnej satysfakcji. Nie czują się nasłanym ramieniem wyobcowanej ze społeczeństwa władzy. Nawet puste i mdłe partyjne slogany na sądeckich murach pojawiają się rzadziej. Zastępują je czasem treściwe slogany tutejsze, w rodzaju: „Rolniku, dbaj o czystość swoich jaj”.

Generalną zasadą sądeckiego „eksperymentu” było delegowanie odpowiedzialności na dół, na niższe szczeble administracyjne — znowu w całkowitej sprzeczności z praktyką obowiązującą w systemach „centralizmu demokratycznego”. Rady Narodowe, gminy i gromady miały nie tylko prawo, ale obowiązek społecznego występowania z własną inicjatywą. Powstawały intensywne współzawodnictwa pomiędzy różnymi miejscowościami Sądeckiżny — na przykład wściekła rywalizacja pomiędzy Starym Sączem i Grybowem, kto więcej zrobi dla swojego miasteczka. Mam wrażenie że tylko na Sądeckiźnie osławione „czyny społeczne”, do których gdzie indziej zgania się załogi fabryk w godzinach pracy, są autentycznie społeczną inicjatywą, mobilizującą poczucie wspólnoty grupowej.

Wynikiem jest zgoła „niepolska” schludność tych okolic, gościnność wobec turystów i chyba także — chociaż to trudno sprawdzić gołym okiem — nieosiągalny gdzie indziej stopień spójności społecznej, mniej nihilistyczne stosunki rządzonych i rządzących. Jedyną widoczną skazą na Sądeckiźnie są blizny po wysiedleniu Łemków — ukraińskich mieszkańców wschodniej części powiatu. W Łabowej szedłem od szosy błotnistym gościńcem, mijając nędzne, brudne, źle utrzymane chaty wsi odbudowanej byle jak po pożarze z okresu partyzantki UPA, zasiedlonej ludźmi z innych części Polski, do cerkwi poza wsią, mierzącej w niebo cebulami wieży. Cerkiew zabita była na głucho gwoździemi, z ogrodzenia pozostała tylko zmurzona drewniana brama — dzwonnica. Z murowanej plebanii popa nie zostało śladu. Na cmentarzu pały się cztery krowy.

Sądecy Łemkowie zostali wysiedleni na Ziemię Zachodnią, głównie do województw Koszalińskiego i Zielonogórskiego. Nie wolno im wracać. Podobno pojawiają się pojedynczo z odwiedzinami, szukają swoich śladów. Wiem że wysyłają liczne rzeczowe i pieniężne dary do Muzeum w Nowym Sączu, by w dziale miejscowego folkloru kultura ludowa Łemków reprezentowana była możliwie bogato, i by w Skansenie zrekonstruowano oryginalne łemkowskie chaty.

W reformie administracyjnej 1975 roku Nowy Sącz awansowano do rangi województwa. Chciałbym wierzyć, że oznacza to umocnienie odrębności tego rejonu i rozszerzenie granic niezależności. Boję się, że jest inaczej. Decentralizacja nie była, jak wiadomo, celem tej reformy.

„Eksperyment nowosądecki” na pewno się udał — i nie został nigdzie powtórzony. Sądeczyna ma oczywiście swoją specyfikę: upartą niezależność swoich góralskich mieszkańców, mniejszy niż gdzie indziej procent ludności napływowej, walory turystyczne i brak ciężkiego przemysłu, silne, przedwojenne tradycje pepeesowskie oparte o załogi nowosądeckich zakładów taboru kolejowego. Nie oznacza to by eksperymentu decentralizacji, delegowania władzy, wyzwalania spontanicznej inicjatywy społecznej, nie można było powtórzyć w odmiennych warunkach. Ale są to przecież mechanizmy sprzeczne z naturalnymi dążeniami systemu. Eksperyment nowosądecki się powiódł, i właśnie dlatego nie mógł zostać rozszerzony na cały kraj.

Towarzysze z centrali nie mają z terenem swojej działalności rdzennych powiązań społecznych, ale też znajdują się w sytuacji nieskończenie bardziej skomplikowanej niż — na przykład — towarzysze z Radomska. W stolicy prawie każdy jest obcy, lecz stolica jest wielkim światem, gdzie szczyty kariery nie znikają nigdy z pola widzenia, światem, który zawiera w sobie wszystkie miary osiągnięć i wszystkie jej owoce, wszystkie obietnice. A jednocześnie jest coś, może nawet nie tyle w naturze systemu ile w kulturze i obyczajowości ludzi aparatu co owoce sukcesu odsuwa i ogranicza.

W Warszawie istnieją dwie elity — ujął to pewien wybitny artysta: elita władzy i elita twórcza. Powstają pomiędzy nimi ciągle napięcia, bo twórcy są wprawdzie w hańbiącej zależności od władców PRL, ale mają wypadki zagraniczne, bujne życie towarzyskie, najwspanialsze dziewczyny, i swobodę obyczajową, która im pozwala bez żenady z tych darów korzystać. A elita partyjna, choć nie ma innej miary sukcesu niż właśnie to, sytuację przywileju, stan w którym wszystko wolno, ma wbudowany system sztywnych inhibicji. Nie może i nie potrafi żyć tak jakby chciała. Wobec tego obserwuje twórców z zapiekłą mieszczańską zawiścią.

W krajowej prasie nie ma, jak wiadomo, kolumny skandali towarzyskich. Za to plotka stołeczna z lubością rozpowszechnia skandale ze środowiska twórców, przeinaczone, przejaszkawione, a często i całkowicie zmyślane. Taka plotka rośnie właśnie w „salonach” partyjnych, roznoszą ją prezesi i prezesowe, dyrektorzy i dyrektorowe. Pełni rolę obiegowych fantazji erotycznych, zdarza się, że szokująco dzikich i brutalnych. Kiedy znajoma mi aktorka leżała w warszawskim szpitalu z chorobą serca, doszła

do mnie z kręgów partyjnych ohydna plotka, że przyczyną jej choroby były igraszki na artystycznej prywatce, gdzie wepchnięto jej butelkę między nogi, i butelka pękła.

Jednocześnie nie ma większej frajdy dla wysokich partyjnych biurokratów niż zjeść zakrapianą wódką kolację w warszawskim SPATIF’ie, otrzeć się o twórców, zajrzeć ich dziewczynom w dekolt, spotkać spojrzenia aktorek, wdychać zapach zakazanych owoców życia.

Nie stać mnie na studium obyczajowe sfer partyjnych, nie znam wszystkich sprężyn tego stwardniałego mieszczaństwa. Być może ma ono coś wspólnego z faktem, że duża część aparatu, na pewno jego procentowa większość, pochodzi z chłopów i że są całkowicie z kultury chłopskiej wyobcowani. Wielu lubi to pochodzenie podkreślać, przed pójściem w ambasadory fotografują się ze starą matką obok chłopskiej chaty, ale chodzi im o podkreślenie dystansu cywilizacyjnego jaki przebyli, nowych światów których rzekomo dostąpili. Naprawdę, w porównaniu ze starą chłopką, są ludźmi dzikimi. Ona ma swoją świadomość moralną, konfrontuje ją z tajemnicą świata.

Latem 1974 roku znalazłem się na dwie i pół godziny w towarzystwie Pierwszego Sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, towarzysza (nazwiska ukryć się nie da) Edwarda Gierka. Gdzie indziej opiszę okoliczności tego spotkania. Siedziałem przedzielony od niego szerokością dużego stołu i gapiłem się. Myślę że nie jest to polityk pozbawiony inteligencji. Był czujny, dosyć wrażliwy na zachowanie innych, gotów do zmiany własnego tonu zależnie od potrzeby. Jego maniera „rzetelnego człowieka”, przyciężkiego, niezbyt zręcznego, wpadającego w rozmowie w pułapki składniowe, kryje — zdaje mi się — manipulatora o zawsze napiętej uwadze. Gra którą prowadzi wypełnia całą jego świadomość. Największą osobliwością Pierwszego Sekretarza wydał mi się brak jakiegokolwiek rysu próżności, normalnie nieodzownego u polityków. Nie widać by się sam sobie podobał, by czerpał z całej politycznej gry osobiste satysfakcje, by na bieżąco karmił nią swoją pychę. Nie ma w nim potrzeby efektów.

Ale też nie czuje się by skromność była elementem jego stosunku do świata. Po prostu nie ma już w nim miejsca na miłość własną. I nie ma rezerw.

Bo nie filozofowie rządzą dzisiejszą Polską. W tym rzecz.

Bolesław SULIK

Sąsiedzi

Deklaracja w sprawie ukraińskiej

W deklaracji którą ogłaszamy, uważając ją za dalszy i ważny krok naprzód we współdziałaniu na emigracji emigrantów ze Wschodu, drugorzędne a nawet zaciemniające istotę sprawy byłoby analizowanie podobieństw i różnic między imperializmem rosyjskim ubiegłego stulecia i współczesnym imperializmem sowieckim. Istotą sprawy jest sam imperializm, niezależnie od tego w jakim wcieleniu występuje, jaką posługuje się motywacją lub maską, w jakich okolicznościach historycznych działa. Nie można tu nie wspomnieć krzywd wyrządzonych Ukrainie ze strony wielowiekowego polskiego imperializmu.

Niezależnie od swych form, celów i uwarunkowań imperializm jednakowo zniewala narody, które są jego ofiarami i jednakowo zatruwa naród, który jest jego nosicielem. Co powiedziawszy, nie można przecież pominąć jednej podstawowej różnicy: w przeciwieństwie do Rosji carskiej, Związek Sowiecki jest dziś ostatnim imperium kolonialnym świata i prędzej czy później powszechny pęd wyzwolenia narodowego musi uderzyć także w jego anachroniczną egzystencję.

W strukturze imperialnej ZSSR istnieją dwa stopnie podległości: status „suwerenności ograniczonej” w tzw. demokracjach ludowych Europy Środkowo-Wschodniej, oraz status pełnej niesuwerenności w inkorporowanych republikach związkowych. Polacy, Czesi czy Węgrzy mają bez porównania większe możliwości zachowania swej tożsamości narodowej i kulturalnej, niż Ukraińcy, Białorusini, Bałtowie czy narody muzułmańskie. Pierwsi są poddawani procesom sowietyzacji lecz wciąż jeszcze nie rusyfikacji. Drudzy są sowietyzowani i z każdym rokiem intensywniej rusyfikowani. Ale losy jednych i drugich są ze sobą ściśle związane: nie będzie wolnych naprawdę Polaków, Czechów czy Węgrów bez wolnych Ukraińców, Białorusinów czy Litwinów. I, w ostatecznym rozrachunku, bez wolnych Rosjan. Bez Rosjan wolnych

od ambicji imperialnych, rozwijających własne życie narodowe, szanujących prawo do samostanowienia innych narodów.

Wysunęliśmy w naszej deklaracji na czoło Ukraińców jako największy w ramach ZSSR naród podbity; i jako naród najuparciej — obok Litwinów — dążący do wywalczenia sobie niezależnego bytu państwowego. W każdym razie dążymy do stworzenia takiej sytuacji, w której Ukraińcy mogliby wypowiedzieć się swobodnie czy chcą niezależnego bytu państwowego.

W ciągu dziesięciu niespełna lat odwilży za panowania Chruszczowa podnieśli na Ukrainie głowy potomkowie „rozstrzelanego odrodzenia”, usiłując odbudować częściowo choćby to co zostało zniszczone za czasów Stalina. Potem przyszły, i trwają po dziś dzień, pogromy Breżniewa. Nic jednak nie wskazuje, by Ukraina skapitulowała. Przeciwnie, patrioci ukraińscy najchętniej zaludniają więzienia i łagry, opór na Ukrainie stał się synonimem oporu narodowego w imperium.

Ogłaszając zatem niniejszą deklarację, stawiamy w niej przed opinią publiczną trzy sprawy. Po pierwsze, samą sprawę ukraińską. Po drugie, sprawę wszystkich innych *nacmienszenstw* (stanowiących już w sumie, od pewnego czasu, *nacholszenstwo* w ZSSR), które aspirują do samostanowienia, do zagwarantowanego na papierze przez konstytucję sowiecką *prawa wychoda*. I po trzecie wreszcie, sprawę narodu imperialnego, dla którego tym lepiej będzie im prędzej zrozumie, że likwidacja sowieckiego kolonializmu leży również w jego własnym interesie, bo ona tylko może zażegnać groźbę przyszłej wzajemnej rzezi.

Wzywamy ze szczególnym naciskiem rosyjski ruch opozycyjny w ZSSR i rosyjską emigrację polityczną do umacniania i pogłębiania współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy.

Andriej Amalrik,
Władimir Bukowski,
Zbigniew Byrski,
Józef Czapski,
Jerzy Giedroyc, redaktor miesięcznika *Kultura*,
Natalia Gorbaniewska,
Gustaw Herling-Grudziński,
Józef Łobodowski,
Władimir Maksimow, redaktor kwartalnika *Kontinent*,
Tibor Meray, redaktor naczelny *Irodalmi Ujság*, węgierskiego pisma literackiego,
Dominik Morawski,
Wiktor Niekrasow,
Aleksander Smolar,
Pavel Tigrid, redaktor kwartalnika *Svedectvi*,

Dzieje osiemdziesięciolecia

„Starszemu pokoleniu, które wyszło z Ukrainy i marzy o niej — jako pamiątkę przeszłości, — młodszemu pokoleniu, które Ukrainy nie zna, — dla informacji i nauki, — jednemu i drugiemu — dla zastanowienia się nad przeszłością, teraźniejszością i przyszłością Ukrainy i wolnej społeczności ukraińskiej w świecie”.

Tak brzmi dedykacja, którą Iwan Kedryn poprzedził potężny rozmiarami tom swoich wspomnień¹. Obejmują one osiemdziesiąt lat (1896-1975), a więc całą epokę i to nie byle jaką. Autor był osiemnastoletnim młodzieńcem, gdy wybuchła Pierwsza Wojna Światowa; był w sile wieku, gdy przyszła jej tragiczna powtórka; zaczął pisać swoje wspomnienia, mając 77 lat, na emigracji w Stanach Zjednoczonych. Warto przytoczyć parę zdań z przedmowy, wyjaśniającej, „Jak powstała ta książka”:

„Spieszyłem się — podaje autor — z jej napisaniem, nie tylko dlatego, że bez co miesięcznego przekazywania 'towaru' moim sponsorom nie otrzymywałbym umówionego, skromniutkiego, ale koniecznego do przeżycia honorarium, lecz głównie dlatego, że naglił mój wiek. Błagam Boga, aby pozwolił mi dokończyć tę pracę, choćbym nawet nie miał ujrzeć jej w druku”.

Książka miała już wiele recenzji w emigracyjnej prasie ukraińskiej, przeważnie bardziej krytycznych, niż przychylnych. Jeden z recenzentów napisał, że jej dokładne omówienie nawet w długim artykule jest absolutnie niemożliwe; należałoby jej poświęcić całą broszurę. Istotnie, materiał historyczny, który praca Kedryna objęła, jest olbrzymi. Wystarczy, jeśli powiem, że wykaz nazwisk, zamykający opasły tom, liczy prawie 1.500 pozycji (dokładnie 1.485!). W tym nazwisk Polaków sto kilkadziesiąt, czyli kilkanaście procent, co samo przez się świadczy, jak wiele uwagi poświęcił Kedryn stosunkom polsko-ukraińskim.

Wspomnienia te mają wyraźny charakter autobiograficzny, autor opisuje szczegółowo wszystkie etapy długiego żywota, ale to tylko tło dla rozwijających się akcji historycznych. Jest w tej

1. Iwan Kedryn *Życie — wydarzenia — ludzie. Wspomnienia i komentarze*. Współdzielnia Wydawnicza „Czerwona Kalyna” — Nowy Jork, 1976, str. 724.

książce mnóstwo dygresji i powtórzeń, synchronizacja niekiedy zawodzi, opowiadacz wybiega daleko naprzód, albo cofa się wstecz, często powtarza się — więc pozorny chaos. Pozorny, bo te nawroty i powtórzenia nie naruszają żywości narracji, a jednocześnie lepiej uwypuklają to, co Kedrynowi wydawało się najważniejsze. A przeważnie w wyborze tych najważniejszych wydarzeń nie chybia.

Zresztą, uprzedzając „surowych krytyków”, autor w przedmowie sam wylicza wady swojej książki: „niepotrzebne powtórki, zbyt wiele dygresji, przeskakiwanie ponad datami i wydarzeniami”. Jak już przed chwilą podkreśliłem, wady te coraz-to stają się zaletami.

„Oczywiście, — przyznaje Kedryn — na pewno zdarzają się błędy rzeczowe, dotyczące dat, nazw, imion. Na swoje usprawiedliwienie podam nie tylko pośpiech, z jakim książka była pisana, ale także wielką trudność ze znajdowaniem źródłowej literatury dla sprawdzania historycznych dat i faktów”.

Nieco dalej autor zastanawia się, czy te wspomnienia kogokolwiek interesują. Jednych tak, innych — nie!

„Na pewno — zauważa — odrzucą tę książkę ci wszyscy, którym nie po drodze z moimi ocenami różnych zjawisk, wydarzeń i osób... Nie istnieje idealny obiektywizm w oświeclaniu ludzi i wydarzeń, wszelkie komentarze są subiektywne, bo w przeciwnym razie wspomnienia byłyby nie wspomnieniami, lecz kroniką...”.

Moja opinia jest jednoznaczna: to książka niezmiernie interesująca i zasługująca na to, by dotrzeć do możliwie najliczniejszych czytelników. Niestety, odsetek Polaków na emigracji, znających język ukraiński, jest niezmiernie nikły i mało kto z nich do tych wspomnień dotrze. Wielka szkoda, bo Kedryn, omawiając bardzo dokładnie stosunki polsko-ukraińskie między dwoma światowymi wojnami, tym samym oświecił spory wycinek dziejów Drugiej Rzeczypospolitej. Inna rzecz, że nie jest to lektura dla Polaka przyjemna. Nieco dalej postaram się uzasadnić tę opinię.

A właściwie powinienem był zacząć od przedstawienia osoby autora polskiemu czytelnikowi. Kedryn — to publicystyczny pseudonim, prawdziwe nazwisko — Rudnyckij. Urodzony w Chodorowie, w 1896 roku, wcześniej stracił ojca; jego wychowaniem zajmowała się matka, Olga. Uczył się we Lwowie, gdzie złożył maturę w Ukraińskim Akademickim gimnazjum, które autor nazywa „elitarną szkołą”. Zmobilizowany w 1916 do austriackiego wojska, po kilku miesiącach dostał się do niewoli, przebywał w obozie jenieckim za Bajkałem, ale wkrótce po rewolucji lutowej, która obaliła carat, udało mu się psim swędem przedostać

na Ukrainę (do Kijowa), gdzie mieszkał do roku 1920. Następnie trzy lata spędził na emigracji w Wiedniu, a we wrześniu 1923 wrócił do Lwowa, po siedmiu latach nieobecności.

I właśnie wtedy zaczęła się poważna kariera dziennikarska Rudnyckiego-Kedryna. Zaraz po przybyciu do Lwowa przyjęto go do redakcji dziennika *Diło*, jako stałego współpracownika. „Moja praca — wspomina — w *Dile* we Lwowie i dla *Diła* w Warszawie, trwająca, z krótką przerwą w 1925, do wybuchu Drugiej Wojny Światowej we wrześniu 1939, należy do moich najpiękniejszych i najmilszych wspomnień, i stanowi najważniejszy okres w mojej życiowej karierze dziennikarskiej”. Dla wyjaśnienia powyższych zdań: w latach 1925-30 Kedryn przebywał w Warszawie w charakterze korespondenta lwowskiego *Diła*. Nawiązał liczne kontakty z warszawskimi środowiskami politycznymi i dziennikarskimi, najżywsze z redakcją *Biuletynu polsko-ukraińskiego*, na którego łamach zamieszczał dość regularnie artykuły na interesujące to specjalistyczne czasopismo tematy. Współpracował również z *Buntem Młodych* (późniejsza *Polityka*), z *Tygodniem*, a w roku 1939, po zamknięciu *Biuletynu*, z nowo powstałym miesięcznikiem, *Problemy Europy Wschodniej*. Wybór jego artykułów, pisanych po polsku, miał ukazać się pod wymownym tytułem, „Grochem o ścianę”; przeszkodziła temu wojna. Kedryn podaje, że sprawą wydania tej książki zainteresował się metropolita Szeptycki i obiecał przyczynić się do jej sfinansowania.

Swój pięcioletni pobyt w Warszawie Kedryn wspomina na ogół życzliwie. Nie obeszło się jednak bez błędów i nieporozumień. Tak na przykład mickiewiczowskiego „Konrada Wallenroda” nazywa ni stąd ni zowąd „wierszem”, a o miesięczniku *Droga* podaje błędnie, że „wychodził krótko”. No, cóż, przy tak olbrzymim materiale nawet najwspanialsza pamięć musi od czasu do czasu zawieść, zwłaszcza u starego człowieka. To są rzeczy nie do uniknięcia.

Natomiast można było uniknąć wielu niepotrzebnych szpilek pod polskim adresem. Nie mam, naturalnie na myśli poważnych, obiektywnie uzasadnionych zarzutów, których obalić, bez fałszowania przeszłości, niepodobna. Chodzi mi o tanie złośliwości, a zwłaszcza epitety, upokorzające dumę narodową i nie nadające się rzeczowo uzasadnić. O tym za chwilę. Najpierw należy zająć się zarzutami i pretensjami w pełni uzasadnionymi.

O wyczerpującej odpowiedzi nie ma, oczywiście, mowy — trzeba by na to, zgodnie z zacytowaną na wstępie opinią jednego z ukraińskich recenzentów, całej broszury. Więc z przedstawionej, bardzo długiej listy polskich grzechów wybieram najważniejsze, najcięższe, według klasyfikacji Kedryna, który pod tym

względem jest zgodny ze wszystkimi ukraińskimi historykami i publicystami.

A więc rząd polski zobowiązał się do przyznania Ukraincom terytorialnej autonomii i tego zobowiązania nie dotrzymał. Nie tylko nie zgodził się na założenie ukraińskiego uniwersytetu we Lwowie, ale systematycznie niszczył już istniejące szkolnictwo. Wcześniej jeszcze nie dotrzymał Konwencji Warszawskiej, zawartej w kwietniu 1920 z Symonem Petlurą. Tzw. „normalizacja” była zawsze jednostronna: korzyści z niej ciągnęła wyłącznie strona polska. Ciężkim błędem była pacyfikacja, przeprowadzona przy zastosowaniu skrajnie brutalnych metod. Przy okazji Kedryn zbija znane twierdzenia Sławoja-Składkowskiego o rzekomo bezkrwawym przebiegu pacyfikacji. Niestety, były ofiary w ludziach i to dość liczne. Ukraińcy przedstawili swego czasu listę strat. Wielka szkoda, że polska strona tej listy nie uznała. Sławoj jeszcze na emigracji upierał się, że tych ofiar nie było. Cóż na to poradzić — były!

Zanim przystąpię do omawiania tych zarzutów, ważna dygresja. Gdy Kedryn, dla lepszego podbudowania swoich opinii i ocen, szuka argumentów w przeszłości, zdarza mu się popełniać poważne gaffy. Tak, na przykład, po wysunięciu twierdzenia, że w przeszłości nigdy nie było samodzielnej ukraińskiej polityki, opartej o własne siły, popełnia błędy historyczne. Cytuję:

„Cała Kozaczyzna i cała Hetmańszczyzna to było nieustanne wahanie się między Warszawą i Moskwą. Tragicznie symbolicznego charakteru nabrały dwie największe postacie w historii Ukrainy od XV stulecia — Chmielnickiego i Mazepę: jeden, mając po Korsuniu i Żółtych Wodach (*kolejność odwrócona — J.Ł.*) wolną drogę na Warszawę, zawrócił, żeby nie być posądzonym o nielojalność wobec polskiego króla. Zaś Perejaśławską ugodę z carem Aleksym Chmielnicki podpisał po Zborowskim i Białocerkiewskim traktatach z Janem Kazimierzem. A Iwan Mazepa, zanim wszedł w konszachty ze Stanisławem Leszczyńskim i Karolem XII, przez dwadzieścia lat wiernie służył Piotrowi I” (str. 65).

Wymowne i — całkowicie niesłuszne. Kedryn mylnie ocenia Chmielnickiego i Mazepę, a tym samym krzywdząco. Po Żółtych Wodach i Korsuniu droga na Warszawę wcale nie była otwarta, z czego Chmielnicki, jako doświadczony wojownik, doskonale zdawał sobie sprawę. Kwarciane wojsko koronne przestało istnieć — to prawda. Ale mimo bezkrólewia, które właśnie wtedy nastąpiło wraz ze śmiercią Władysława IV w Mereczu, było jeszcze dość sił w Rzeczypospolitej. Żeby iść na Warszawę, trzeba było przedtem zlikwidować dywizję Jeremiego Wiśniowieckiego, do którego coraz to dołączały mniejsze i większe poczty magnackie. Zanim by Chmielnicki doszedł nie do Warszawy, lecz do Lwowa,

czy choćby nawet Zamościa, miałby już na tyłach Janusza Radziwiłła z całym wojskiem litewskim, co zresztą stało się w następnym roku, podczas oblężenia Zbaraża. Przecież musiał to brać pod rachubę. Pomoc tatarska była w roku 1648 niedostateczna; tych kilka tysięcy Nogajców pod Tuhaj-bejem nie mogło wystarczyć. To dopiero później chan krymski otrzymał od Porty Otomańskiej upoważnienie, a nawet zachętę do podtrzymania Chmielnickiego całą siłą; natomiast zaraz po wybuchu, gdy poselstwo tatarskie przybyło do Sztambułu z wiadomością o Korsuniu, panujący ówczesnie sułtan nie tylko posłów nie przyjął, lecz każdemu z nich kazał wlepić sto kijów w pięty. Wracali więc do Bachczy-seraju dosłownie „na rzęsach”.

Przyszły Pławce, Zbaraż i Zborów. Okazało się dowodnie, że na lojalną pomoc tatarską Kozacy liczyć nie mogą. Tatarom wcale nie zależało na powaleniu Rzeczypospolitej, chodziło im wyłącznie o zdobyc i jasyr. Historycy ukraińscy przywykli oskarżać Tatarów o zdradę: pod Zborowem, pod Żwańcem... Słusznie, ale zdrada szła w obydwu kierunkach. Gdy po zawarciu ugody Perejasławskiej Krym przeszedł na stronę Rzeczypospolitej, przeciw Kozakom i Moskwie, w wielkiej bitwie pod Ochmatowem, która mogła rozstrzygnąć losy całej wojny, Tatarzy także dali się przekupić, tym razem Chmielnickiemu.

Sądzę, że największym, zasadniczym błędem hetmana była rzeź jeńców po zwycięskiej bitwie pod Batochem. Potem przyszedł straszny odwet polski, gdy pod nóż szły całe ukraińskie wsie i osady, a o jakimś kompromisie, dopóki żył Chmielnicki, nie mogło być mowy. Hadziacz przyszedł za późno; obydwie strony powinny były pomyśleć o nim od razu, a co najmniej zaraz po Beresteczku.

Zarzut, że Chmielnicki nie liczył na własne, kozackie siły, nie znajduje potwierdzenia w przekazach historycznych. Owszem, liczył na nie, a najlepszym dowodem wyprawa mołdawska (która zresztą była błędem), wynikała z dalekosiężnych planów polityczno-państwowych, a nawet dynastycznych. Tyle, że hetman zaporoski pomylił się w swoich obliczeniach, podobnie jak nie docenił chytrkości Moskwy i jej przeniewierstwa. Starszy syn, Tymosz, zginął podczas oblężenia Suczawy i na tym skończyła się impreza mołdawska. Przychylny los oszczędził Chmielnickiemu najgorszego: wiadomości o Andruszowie i podziale Ukrainy między Rzeczypospolitą i Moskwą — umarł wcześniej. To bardzo skomplikowane sprawy i sądzę, że dzieje wojen polsko-kozackich w XVII-tym wieku dopiero czekają na obiektywnego historyka.

Dość tej dygresji, wracamy do przedstawionego przez Kedryna wykazu polskich win w bieżącym wieku. Nieudzielenie zgody na otwarcie uniwersytetu we Lwowie było nie tylko decyzją

krzywdzącą i sprzeczną z zaciągniętymi zobowiązaniami; było także ciężkim idiotyzmem. To samo dotyczy likwidowania ukraińskich szkół. Najbardziej zakamieniały wróg Polski nie mógłby wymyśleć czegoś lepszego, bardziej skutecznego dla podsycenia ukraińskiej nienawiści.

Zajmijmy się teraz traktatem ryskim. Niepotrzebnie Kedryn napisał, że wszyscy Polacy uznali go za słuszny i pożyteczny. Według Kedryna, dopiero po drugiej wojnie światowej publicyści skupieni przy paryskiej *Kulturze*, potępili ten traktat. A więc grubo po niewczasie. To nie ściśle. Przecież zaraz po Rydze w sejmie nazwano Władysława Grabskiego Judaszem. Oczywiście, z innych względów, niż te, o które chodziło i chodzi Ukraińcom. Ale proszę przejrzeć roczniki *Biuletynu Polsko-Ukraińskiego*, *Buntu Młodych*, jeszcze paru innych czasopism o tej samej, czy zbliżonej orientacji! Co do mnie, już w 1932 roku w lubelskim miesięczniku studenckim, *Trybuna*, wypowiedziałem się na ten temat w sposób jasny i niedwuznaczny.

Pamiętam (miałem wtedy dwanaście lat) — gdy do Jejska (to nad morzem Azowskim, Północny Kaukaz) dotarł tekst ryskiego traktatu, tamtejsi Polacy wpadli w deprymujące zdumienie. „Jako — mówiła moja matka, której rodzina pochodziła z Witebszczyzny (pisałem już kiedyś o tym) — to Lida i Nowogródek po jednej stronie, a Mińsk i Bobrujsk po drugiej?! Przecież ta sama ziemia, ten sam lud, ten sam obyczaj, jakże można w taki sztuczny sposób szatkować!”. Ano, właśnie. I nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego państwu polskiemu ma przypaść zachodni Wołyń, gdzie Polaków było bardzo mało (chyba niewiele więcej, niż Żydów), a Żytomierszczyzna, gdzie było gęsto od polskich, chodackowych zaścianków, ma zostać za kordonem.

Ale czy Polska mogła prowadzić w dalszym ciągu wojnę z Sowietami po bitwie nadniemeńskiej? Owszem, ale tylko pod warunkiem, że otrzymałaby wystarczającą pomoc z Zachodu. Kraj był zniszczony i wygłodzony, zwycięskiej armii brakowało wszystkiego: butów, bielizny, ciepłej odzieży, a przede wszystkim amunicji; w niektórych oddziałach żołnierze mieli niemal puste ładownice. Prowadzić nadal wojnę w obliczu zbliżającej się zimy? Bez odpowiedniego zaopatrzenia trochę trudno. *Cepnaja sobaka kapitalistyczekowo imperializma* (łańcuchowy pies kapitalistycznego imperializmu) — wrzeszczały z każdej ściany i płotu propagandowe afisze sowieckie. Prawie z reguły „pies łańcuchowy” miał głowę Piłsudskiego, albo magnata w konfederatce, a trzymał go na tym łańcuchu brzuchaty Lloyd George, albo równie otępy marszałek Foch. Rzeczywiście, obydwaj panowie marzyli po nocach tylko o tym, by polskiego „łańcuchowego psa” zaopatrzyć

we wszystko, co było potrzebne do dalszego atakowania „ojczyzny proletariatu”!

Więc nie, w tamtych warunkach o kontynuowaniu wojny nie mogło być mowy. Natomiast można było zachować się w Rydze nieco inaczej. Na postawienie sprawy ukraińskiej niepodległości państwowej bolszewicy by się nie zgodzili: to był temat zakazany. Ale można było pseudo-ukraińskiej delegacji, z towarzyszem Rakowskim na czele, nie uznać i podpisać traktat wyłącznie z R.S.F.S.R. (taka była wtedy oficjalna nazwa, Z.S.S.R. jeszcze nie istniał), co by uratowało co najmniej pozory, jeśli nie honor. Świeżo odrodzonej Rzeczypospolitej nie było, niestety, stać na dalszy wysiłek wojenny. Niemniej, Ukraińcy mają całkowitą rację, gdy zarzucają, że, jako wierni sprzymierzeńcy, nie zostali potraktowani we właściwy sposób. Tu trzeba jednak uderzyć się w piersi.

Pacyfikacja! Wiele o niej pisano, różnie ją oceniano. Podjęta przez podziemie ukraińskie w roku 1930 akcja sabotażowa spowodowała tę „pacyfikację”, przeprowadzoną z udziałem nie tylko policji, także oddziałów wojskowych. To był chyba najczarniejszy rozdział w stosunkach polsko-ukraińskich za Drugiej Rzeczypospolitej. Nie zostało wyjaśnione w sposób nie podlegający żadnej wątpliwości, kto był inicjatorem pacyfikacji i kto powziął ostateczną decyzję. Najprawdopodobniej wydział bezpieczeństwa w ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

Trudno czytać opisy akcji pacyfikacyjnej bez uczucia wstrętu i wstydu. Stało upalne lato 1930 roku, kiedy w trzech województwach (częściowo także na Wołyniu) doszło do masowych podpałów w polskich majątkach, najpierw zboża na pniu, następnie, już po żniwach, stodół i spichrzów. Pacyfikacja zaczęła się, według oficjalnych danych, 16 września i trwała przez dwa miesiące (niektóre źródła ukraińskie podają, że aż do końca listopada). Jak to wyglądało, wiedziałem tylko tyle, co podawała prasa, czyli w gruncie rzeczy prawie nic. Dopiero po kilku latach, gdy już dobrze orientowałem się w tych sprawach, poznałem całą, niewesołą prawdę.

Temu, że masowe podpalania zaczęło organizować ukraińskie podziemie, nikt nie zaprzeczał. Kedryn twierdzi jednak, że po jakimś czasie, niektórzy polscy właściciele sami zabawiali się w „pożarników” (dla podjęcia ubezpieczenia). Nie wiem, czy istotnie tak było, wiem natomiast, że pacyfikacja przyszła w chwili, gdy ukraińskie społeczeństwo, przerażone nonsensowną akcją i jej możliwymi skutkami, zaczęło przeciw niej występować, wzywać skrajne żywioły do opamiętania, więc zanosilo się na stopniowe uspokojenie. Kedryn przypomina, że metropolita Szeptyckiego, który w owych fatalnych dniach pojechał do Warszawy, z nadzieją,

że uzyska audiencję u Marszałka Piłsudskiego i prezydenta Mościckiego, mali ludzie nie dopuścili do nich i metropolita wrócił do Lwowa z pustymi rękami. To jeszcze bardziej zaogniło sytuację.

„Zamiast — pisze Kedryn ze zrozumiałą goryczą — wykorzystać taką cudowną okazję do odprężenia polsko-ukraińskich stosunków, zamiast wykorzystać olbrzymi autorytet, jakim metropolita rozporządzał w społeczeństwie ukraińskim, dla dobra całej sprawy, nie dopuszczono Szeptyckiego ani do Piłsudskiego, ani do Mościckiego”.

Kedryn określił takie postępowanie, jako „polityczny analfabetyzm” i znowu, niestety, ma rację.

Polska cenzura nie dopuściła do ogłoszenia listu pasterskiego, podpisanego przez trzech (a więc wszystkich) ukraińskich biskupów katolickich. Był to akt już nie politycznego analfabetyzmu, lecz zwykłej, karygodnej głupoty. I tak przecież wszyscy Ukraińcy ten list przeczytali. Biskupi napiętnowali pacyfikację, ale także potępili metody terrorystyczne, stosowane przez nacjonalistyczne podziemie. Cóż o tym wszystkim napisać teraz, po upływie prawie połowy stulecia?

Trudno było wymagać od polskiego rządu i administracji, żeby przyglądali się fali masowych podpałów z założonymi rękami. W każdym, nawet najbardziej liberalnym państwie akcja tego rodzaju musiała wywołać kontrakcję. Ale nie taką.

„To nie była pacyfikacja — pisze Kedryn — lecz rewolucjonizacja, gdyż antypolskie nastroje wzrosły w jej wyniku w niebywałym dotąd stopniu”.

To, co się działo, było oczywistym bezprawiem, zastosowano bowiem zasadę odpowiedzialności zbiorowej: pacyfikatorzy nie pytali, kto winien, kto nie, za sprawców podpałów uważano mieszkańców całej wsi, podejrzanej o akty sabotażowe. Poddawanie chłopów nieludzkiemu biciu (także kobiet) było na porządku dziennym; nie oszczędzano nawet księży i starców. Felicjan Sławoj-Składkowski, gdy już na emigracji twierdził, że nie było wypadków śmierci, kłamał. Raz jeszcze — były. Stosunkowo nieliczne, ale były.

Kedryn nie pochwała akcji sabotażowej, która pacyfikację poprzedziła, przeciwnie, uważa ją za polityczny nonsens. Ale pacyfikacja była nonsensem jeszcze większym, a jej skutki fatalne. Miałem okazję przekonać się o tym we wrześniu 1939. Było to dwunastego, albo trzynastego dnia kampanii. Szwadron zatrzymał się na krótki postój w dużej, ludnej wsi niedaleko Lwowa. Wpadłem do sklepiku, licząc, że znajdę coś do kupienia. Nie było niczego, prócz papierosów i cukierków. Pytam właściciela, czy może słuchał radia i zna najświeższe wiadomości. Trzydziesto-

letni bodaj mężczyzna popatrzył wilkiem i powiada, że radio warszawskie przestało nadawać już od paru dni. *Czemuż wy Warszawy nie boronyły?* — pyta z ironiczną satysfakcją w głosie.

Cofnąłem się nieco ku drzwiom, bo wydało mi się, że zanađto uważnie przygląda się memu karabinowi. „A co?” — odpowiadam pytaniem na pytanie: *A wy co, na Niemciw czekajecie? Czekajcie, szcze zapłaczecie hirkimi słożamy, jak Niemci tutki przyjdut!* Zainteresował się, pyta, skąd znam ukraiński. Powiadam, że część dzieciństwa spędziłem na Kubańszczyźnie. Przestał patrzeć ponuro, rozgadaliśmy się. „A nie dziw się, — powiada — że my was, Lachów, nie kochamy... Patrz!” Zdjął marynarkę, podciągnął koszulę na plecach, pokrytych sinymi i różowymi bliznami. „To pamiątka po waszej pacyfikacji. Dziewięć lat temu, także we wrześniu. Parobczakiem byłem wtedy, jeszcze dwudziestu nie miałem”.

„Pacyfikatorzy” nie ograniczali się do bicia. Niszczono, po wsiach, gdzie były biblioteki „Proswity”, oraz lokale powiatowych i wiejskich kooperatyw, wraz z całym majątkiem, idącym w miliony. W Tarnopolu, Rohatynie i Drohobyczu zamknięto ukraińskie gimnazja, pod pretekstem, że u kilku uczniów policja znalazła nielegalne ulotki. Za te wyczyny przyszło Polakom po latach ciężko zapłacić. A tak już zwykle w takich wypadkach bywa, że najciężej płacą najmniej winni, lub w ogóle niewinni. Ponurą rolę odegrała w tym okresie (i w późniejszych latach) prasa pewnego pokroju, z zupełnie nieprzytomnie ukraiñożerczym krakowskim *Ilustrowanym Kurierem Codziennym* na czele. Ten starszy braciszek *Tajnego Detektywa* miał, widać, największe moralne prawa do obrony polskości! Ten zarzut nie dotyczy wszystkich polskich dzienników i czasopism. Były także i takie, które zachowały się przyzwoicie, a nieliczne usiłowały w warunkach, stworzonych przez cenzurę, pisać prawdę, choćby zredukowaną. Niekiedy dochodziło do sytuacji wręcz zabawnych.

W pierwszym numerze lubelskiej *Trybuny* (styczeń 1932) umieściłem artykuł pt. „Serca za barykadą”. Kosztowało mnie sporo wysiłku, żeby go przeforsować. Dla porządku: był to organ Z.P.M.D., która to organizacja w zasadzie nie wypowiadała się przeciw Ukraińcom. W komitecie redakcyjnym powstały wątpliwości i sprzeciwy, ten i ów uderzył w górny ton. „Posłanka Myłena Rudnyćka gotowa na najbliższym posiedzeniu Ligi Narodów w Genewie powołać się na twój artykuł!”. „Wątpię — odpowiedziałem — ale bardzo bym się cieszył, bo to byłby dowód, że nie jest tak źle z antyukraińską cenzurą, jeżeli mój artykuł się ukaze”. Istotnie, mieliśmy wtedy w Lublinie dość inteligentnego cenzora. Na niego właśnie trafiło. Wkrótce popsuło się

radykałnie. Owego cenzora przeniesiono, a po nim rządziły się tępaki.

Naturalnie, moja wiedza w dziedzinie wschodoznawczej dopiero się wykluwała i trzeba było dalszych kilku lat usilnych lektur i osobistych kontaktów, by stać się znawcą zagadnienia. Wielkie znaczenie miała stała współpraca z takimi czasopismami, jak *Biuletyn polsko-ukraiński*, *Mysł Polska*, a w ostatnich miesiącach przed wybuchem wojny *Problemy Europy Wschodniej*. Również zaglądałem często do klubu „Prometeusz” przy Alejach Jerozolimskich (róg Nowego Świata), gdzie odbywały się częste odczyty, a po nich ożywione dyskusje.

Poznałem wielu wybitnych Ukraińców: pisarzy, profesorów, działaczy. A więc znakomitego poetę, Jewhena Małaniuka, piękną Natalę Liwycką-Chołodną, prof. Ołeksandra Łotockiego, Romana Smal-Stockiego, prof. Doroszenkę, najwybitniejszego szewczenkologa, Pawła Zajcewa, byłego posła Wasyńczuka, zdolnego dziennikarza, Andrija Kryżaniwskiego i wielu innych. Toteż, czytając wspomnienia Kedryna, coraz to obracałem się w gronie znajomych. Prawie nikt z nich nie żyje. Kedryn ma dar dawania czytelnikom oszczędnej, a zarazem celnej charakterystyki opisywanych ludzi. Musi chyba mieć jakieś notatki z tamtych czasów, bo trudno uwierzyć, żeby potrafił zachować w pamięci tak wielką ilość nazwisk, faktów, dat.

Poczynając od roku 1936, zacząłem przekładać poetów ukraińskich, współczesnych i dawniejszych. Gdy po dwóch latach zebrało się spora garść tych przekładów, postanowiłem je uporządkować i wydać (w dwóch obszernych tomach). Idę z odpowiednią propozycją do księgarni Hoesicka, czyli do popularnego w kołach literackich dyrektora wydawnictwa, Mariana Sztajnsberga. Piszę o tym na marginesie, ale sądzę, że anegdotka jest warta zanotowania. Było to gdzieś koło połowy lipca 1939. Mówię o co chodzi, podkreślam z naciskiem, bo wiedziałem, że Sztajnsberg jest bardzo ostrożny i nie lubi ryzykować, iż taka antologia może liczyć na podwójny rynek księgarski — będą ją kupować także Ukraińcy. Marianek (tak go nazywali bliscy znajomi) pomedytował, pocmokał, wreszcie powiada: „Wie pan, panie Józefie, niech pan wróci z tą propozycją 1 września. Jeżeli do tego czasu wojny nie będzie, to jej nie będzie także do wiosny. Wtedy będzie można wydać”. No, i stary księgarz trafił w sedno. Antologia nie ukazała się po dziś dzień.

Więc przysłała ta wojna, a mało kto zdawał sobie sprawę, co z sobą przyniesie. Potem w Norymberdze sądzono i skazano przywódców niemieckich za popełnione zbrodnie wojenne. Że w sądzącym trybunale zasiadali zbrodniarze sowieccy, Jankesom, Anglikom i Francuzom wcale nie przeszkadzało. Dlatego ten sąd

był bezwstydną farsą. Przy okazji zapomniano o Hiroshimie, co w jeszcze większym stopniu nadało Norymberdze cechy tragiczomicznego przedstawienia.

Otóż największa zbrodnia Hitlera — nie w skali moralnej, lecz polityczno-historycznej — polegała na tym, że będąc niby sztandarowym antykomunistą, uczynił wszystko, by rosyjskiemu bolszewizmowi przełożyć szeroką drogę do zwycięstwa i opanowania prawie całej Europy Środkowo-Wschodniej. Nasze narody miały w owych latach wielką szansę, by wynieść się ponad nienawistne wspomnienia przeszłości i pójść ręką w rękę we wspólnym interesie, ale z tego nie skorzystały. Nie ma co, piękna wróżba na przyszłość!

Kedryn omawia bardzo dokładnie rozwój wypadków politycznych po ustabilizowaniu się państwa polskiego: udział Ukraińców w wyborach do sejmiku w roku 1922, działalność UNDO, próby normalizacji. Niezależnie od takich, czy innych interpretacji, czy komentarzy, które mogą przekonać, albo nie, podaje mnóstwo faktów, o nieocenionej wadze dla przyszłego historyka.

O sprawach wewnętrzno-ukraińskich Kedryn pisze bez rękawiczek, choćby chodziło o najbardziej bolesne, jest zdecydowanie krytyczny, niekiedy ostro bezwzględny. Sporo uwagi poświęcił rozłamowi w obozie nacjonalistycznym po śmierci pułkownika Konowalca, zamordowanego w Rotterdamie przez sowieckiego agenta. Nic dziwnego, że ta książka została przyjęta z mieszanymi uczuciami na ukraińskiej emigracji, a w niejednym czasopiśmie wywołała złą krew. Nie, nie jest zadaniem polskiego publicysty wtrącać się do tych spraw i uzurpować sobie ostateczną ocenę; to by zmusiło do zaangażowania się po jednej, albo drugiej stronie. Ograniczę się do jednego tylko stwierdzenia. Sądzę, że Kedryn ma absolutną rację, gdy uwydatnia niesłychanie trudną sytuację tych działaczy i publicystów ukraińskich, którzy występowali legalnie, a więc mieli na co dzień kontakty z polską administracją i cenzurą.

Znajdowali się — streszczam Kedryna — między polskim młotem i kowadłem ukraińskiego podziemia nacjonalistycznego. Tragiczny przykład: śmierć dyrektora Babija:

„Každy dyrektor i nauczyciel — *teraz cytuję dosłownie* — stale znajdował się między Scyllą ukraińskiego nacjonalizmu, entuzjastycznego uczniów, którzy myśleli o rewolucji, a nie nauce, i Charybdą lojalności wobec państwowej władzy — żeby uratować szkołę przed zamknięciem. Ofiarą tej tragicznej sytuacji padł Iwan Babij, dyrektor Filii Akademickiego Gimnazjum we Lwowie, który 25 lipca 1934 roku zginął z ręki bojowca OUN za to, że wydał policji ucznia, rozrzucającego w jego obecności rewolucyjne ulotki. Zabójstwo to było jedną z największych pomyłek naszego rewolucyjnego podziemia w okresie między dwoma światowymi wojnami w Zachodniej Ukrainie” (str. 17).

Na osobne omówienie, a także dyskusję zasługiwała sprawa truskawieckiego zamachu na Tadeusza Hołówkę, oraz późniejszego, ekspropriacyjnego napadu na urząd pocztowy w Gródku Jagiellońskim, w konsekwencji czego stracono na mocy wyroku sądu doraźnego dwóch bojowców OUN, Wasyla Biłasa i Dmytro Danyłyszyna. Nie wszystko tam było jasne, a istniały poważne poszlaki, że rola polskiej policji w pierwszej sprawie była co najmniej dwuznaczna. Wątpię, czy kiedykolwiek — minęło tyle lat — zostanie wyjaśniona bez reszty. To, co na ten temat napisał Kedryn, już spotkało się z zastrzeżeniami w emigracyjnej prasie ukraińskiej.

Jak już wspomniałem, rachunek, wystawiony Drugiej Rzeczypospolitej, jest ogromny. Słuszny, ale nie zawsze. Niekiedy Kedryna ponosi temperament publicystyczny, albo polityczna pasja. W pewnej chwili cytuje bez żadnego krytycznego komentarza (str. 278) następującą opinię: „Po przewrocie Piłsudskiego Polska stała się państwem na pół totalitarnym, a później prawie całkowicie totalitarnym”. To gruba przesada i solidnych argumentów przeciw temu twierdzeniu nie zabraknie. Pewnie, należałoby przedtem uzgodnić, co uznamy za państwo totalitarne, bo i tu bywa mnóstwo bałamuctwa i pospolitych nieporozumień. Niemniej z przykrością trzeba stwierdzić, że ogromnej większości zarzutów, wysuniętych przez Kedryna, zbici niepodobna. Dlatego też napisałem uprzednio, że dla Polaka lektura tej książki jest nieprzyjemna. Tyle, że terminologia autora jest często niezbyt szczęśliwa. Tak na przykład Kedryn z reguły, systematycznie używa określenia „Polska powersalska”. A niby dlaczego? Przecież jest to określenie nie tylko ubliżające polskiej dumie narodowej; jest ponadto zgoła nieprawdziwe.

Gdy doszło do traktatu wersalskiego, Druga Rzeczpospolita była już faktem dokonanym od wielu miesięcy. Że daleko było do jej definitywnej konsolidacji, że granice nie były wytyczone, że losy działań wojennych jeszcze nie przesądzone, to inna sprawa. Ale Wersal państwa polskiego nie stworzył, przyjął jego istnienie do wiadomości. To nie polska pycha każe mi tak pisać, lecz stan faktyczny. Ledwie odzyskana niepodległość została utrwalona na krwawych polach bitew, a nie na zielonym suknie dyplomatycznych biurek. Co by przyszło z wersalskich postanowień, gdyby w sierpniu 1920 padła Warszawa? Dosłownie, nic! Więc po co upieranie się przy tym zwrocie — „po-wersalska” — równie obraźliwym, jak niezgodnym z rzeczywistością?!

Co do oceny dalszej przeszłości, Kedryn nie unikał błędów, wielce rozpowszechnionego w publicystyce gdy ta wchodzi na teren historyczny (uwaga ta dotyczy nie tylko publicystów ukraińskich, także polskich, rosyjskich itd.): przykładu sprawdziany

współczesne do dawno minionych wydarzeń. Stąd stale powtarzający się termin „polska okupacja” (także polska „zajmanszczyzna”, co brzmi jeszcze gorzej). Nie można stawiać znaku równania między średniowieczem i wiekiem XX-tym! Ani wrzucać do tego samego worka wypraw Kazimierza Wielkiego i Jadwigi Andegawenki, sprzed przeszło sześciuset lat, oraz wojny polsko-ukraińskiej 1918-1919. Inne czasy, inni ludzie, inne pojęcia. Zresztą warto przypomnieć, że murów Halicza przed wojskami Jadwigi broniła załoga... węgierska. A Wielkie Xięstwo Litewskie, w którego skład wchodziła Ruś Kijowska (późniejsza Ukraina) połączyło się z Polską dobrowolną unią. Czy Władysława Jagiełłę, Kazimierza Jagiellończyka, czy nawet Zygmunta Augusta należy nazywać okupantami?

Ośmieszylbym się, gdybym napisał, że Śląsk znalazł się, poczynając od XIV-go wieku, najpierw pod czeską, potem pod austriacką i wreszcie pruską okupacją. Co innego rozbiory, bo wtedy świadomość narodowa rozwinęła się w całej pełni (choć nie wszędzie, na przykład Niemcy stały się świadomym narodem dopiero w wyniku wojen napoleońskich). A teraz propozycja: ustawmy raz jeszcze figury na historycznej szachownicy i rozegramy na nowo polsko-ukraińską partię. Jakże byłyby inne możliwe warianty, przy całkowicie odmiennej kolejności wydarzeń?

Wyobraźmy sobie, że nie było listopadowego zrywu polskiej młodzieży we Lwowie, miasto zostało opanowane bezkrwawo przez oddziały ukraińskie, Warszawa się z tym pogodziła, dywizje Hallera zostały użyte gdzie indziej — i co dalej? Coraz to natrafiam na twierdzenie, że wówczas Armia Halicka połączyłaby się z oddziałami UNR i te wspólne siły odbudowałyby państwo ukraińskie w jego najdalszych etnicznych granicach. To bardzo optymistyczne twierdzenie! Polskie dywizje, które w maju 1920 weszły do Kijowa, były liczniejsze i lepiej uzbrojone od Armii Halickiej, a jednak zostały zmuszone do odwrotu. A wtedy Czerwona Armia nie zatrzymałaby się nad Bugiem, czy Zbruczem, lecz poszłaby aż za San. Piękne perspektywy, prawda?

Tak, przykro przyznać, ale nie można inaczej. Polityka polskich rządów w stosunku do społeczeństwa ukraińskiego była mylna, niesłuszna, krzywdząca, a nawet ze stanowiska właściwie zrozumianej racji państwowej — wręcz nonsensowna. Zemściła się, bo zemścić się musiała.

I to nie są żadne bładania po niewczasie, nie żadne „mądry Polak po szkodzie”, bo spora gromadka ludzi wiedziała doskonale na co się zanosi. Wystarczy, jeżeli powołałam się na ankietę, jaką Włodzimierz Bączkowski rozpiął na kilkanaście miesięcy przed wojną: „Czy możliwa jest nowa Chmielniczyszna?”. Więk-

szość biorących udział w ankiecie, odpowiedziała twierdząco, i ja między nimi. Tak bardzo pomyliliśmy się?

Co do fatalnej polityki nie ma więc sporu. Ale co jednak było lepsze? Znaleźć się pod polską władzą na te dwadzieścia lat, czy podzielić losy Kijowszczyzny, Zadnieprza, Wschodniego Wołynia? W tym drugim wypadku Ukraińcy Haliccy trafiliby spod polskiego deszczu pod sowiecką rynną. Była jednak pewna różnica między Berezą Kartuską a Kołymą, między więzieniem w Rawiczu a moskiewską czerezwycząjką. To nie żadne usprawiedliwienie dla polskiej strony, to tylko spokojne, rzeczowe rozróżnienie.

Piszę o tym wszystkim z najwyższą przykrością. Pamiętam, w styczniu, może w lutym, w dodatku „Literacko-Artystycznym” do tygodnika *Wołyń*, wychodzącym w Łucku, zamieściłem kilka przekładów z poetów ukraińskich, między nimi wiersz Jurija Kosacza. Awantura! Nie wiedziałem, że Kosacz zdezerterował z polskiego wojska i dostał się nielegalnie do Paryża. Wojewoda Józewski mi powiada: „Czy pan wie, jakie ja miałem przykrości? Ta sprawa oparła się aż o Warszawę! Co pan wyprawia?! Wojsko mnie oskarża, że przy moim poparciu pan drukuje przekłady wierszy dezertera!”.

Skoro już się o tym zgadało, może także kilka słów na temat Józewskiego i jego wołyńskiej polityki, prowadzonej nieprzerwanie w ciągu dziesięciu lat, aż do wiosny 1938 roku, gdy został przeniesiony do Łodzi, głównie pod nieustannym naciskiem czynników wojskowych. Najbardziej zaskoczyła Józewskiemu skandaliczna sprawa wsi Hrynki, położonej na terenie gminy Dederkały krzemienieckiego powiatu, a wywołana przez miejscowego dowódcę KOP-u i katolickiego proboszcza. Nie będę tu jej omawiać szczegółowo, przypomnę tylko, że najpierw mieszkańcy wsi przeszli gromadnie na katolicyzm, a po krótkim czasie, przy powszechnym płaczu i kajaniu się, wrócili do prawosławia. Pierwsze wydarzenie prasa polska tryumfalnie omówiła i rozdmuchała; o drugim pojawiły się lakoniczne, z lekka zawstydzone wzmianki.

Józewski ustosunkował się do tej „zbożnej akcji” negatywnie i to do reszty popsuło mu stosunki ze sferami wojskowymi, które chciały prowadzić swoją własną „politykę narodowościową”. Kedryn pisze o nim z niechęcią, twierdzi, że „szedł na drobne ustępstwa” i za ich cenę demoralizował wołyńskich Ukraińców. Dla mnie wojewoda był w owym okresie postacią dramatyczną, bo w pewnym sensie stał na stanowisku anachronicznym. Stąd wynikała sytuacja skrajnie paradoksalna. Podczas, gdy nacjonałści ukraińscy zarzucali Józewskiemu, że jest zakamuflowanym ukraińskim nożerą, nacjonałści polscy uważali go za zdrajcę i sprzedaw-

czyka, przygotowującego oddanie Wołynia (i Lwowa, naturalnie) przyszej Ukrainie. Powiedzenie Kedryna o niewygodnym położeniu „między młotem i kowadłem” da się w pełni zastosować także do Józewskiego.

Ale sytuacja Drugiej Rzeczypospolitej była — obiektywni Ukraińcy powinni to uznać — również niesłychanie niewygodna, więcej — tragicznie i niebezpiecznie trudna. Udzielenie Ukraincom autonomii byłoby niewątpliwie aktem sprawiedliwości. To oświadczenie traktuję, jako aksjomat. I niewątpliwie Ziemia Czerwieńska² stałaby się wraz z Wołyniem prawdziwym Piemontem ukraińskim, co przekreśliłoby jakokolwiek możliwość złagodzenia wrogich stosunków z Moskwą. Co prawda, w dniu 17 września okazało się dowodnie, że to złagodzenie było fikcją, obwarowaną pozorami. Więc co pozostawało? Tylko zagrać *va banque* i prowadzić jawnie politykę „prometeuszowską”, a więc w stu procentach antysowiecką, co wymagałoby postawienia całej Rzeczypospolitej na stopę wojenną, na długo przed rokiem 1939. Czy pozwoliłaby na to uboga polska gospodarka? Na pewno nie, a ponadto społeczeństwo nie byłoby do tak olbrzymiego wysiłku psychicznie zdolne.

Swego rodzaju rewelacją stały się dla mnie dokumenty, o których istnieniu nie wiedziałem. Ścisłej — słyszałem to i owo, ale bardzo mgliście i odpowiednich tekstów dotychczas nie czytałem. Książkę Kedryna (poza bibliografią i wykazem nazwisk) uzupełniają cztery „dodatki” (str. 639-680). Chodzi mi, po pierwsze, o informacje o kontaktach i umowach między UPA (Ukraińską Armią Powstańczą) z jednej strony, AK i następnie z WIN-em, z drugiej strony, w latach 1943-1947. Okazuje się, że istnieją oficjalne protokoły z wzajemnych spotkań.

Ale cóż — już było za późno w jednym i drugim wypadku. Jak prawie zawsze w przeszłości. Unia Hadziacka spóźniła się o jakieś dziesięć lat. A że fatalny Perejasław był wcześniej, nie udało się uniknąć Beresteczka, Batoha i Andruszowa. Gdyby doszło do porozumienia polsko-ukraińskiego przed rokiem 1939, a nawet na samym początku Drugiej Wojny Światowej, już po klęsce wrześniowej, może dałoby się uniknąć wzajemnej rzezi

2. Świadomie i celowo unikam obydwu rozpowszechnionych nazw: Zachodnia Ukraina i Wschodnia Małopolska; bo ta pierwsza drażni Polaków, druga drażni Ukraińców. Zresztą żadna z nich nie jest historyczna; powstały dopiero w XX-tym wieku. Dbałość o ich przestrzeganie doprowadza niekiedy do wyników zgoła humorystycznych. Uwielbiam ruskie pierogi i okazuje się, że nie istnieją — zjawily się w polskich restauracjach pierogi, najpierw małopolskie, następnie, żeby było piękniej i patriotyczniej — małopolskie. Proponowałem już kiedyś, żeby zdobyć się na jeszcze większą konsekwencję, mianowicie, odpowiednio przerobić znaną groźbę: „Zaczekaj, popamiętasz ruski miesiąc!” na „Popamiętasz małopolski miesiąc!”. Ładnie?

w latach następnych. Właściwie jednak w tych rozważaniach na temat stosunków polsko-ukraińskich na Ziemi Czerwieńskiej należałoby sięgnąć nieco bardziej w głąb historii, bo aż do Wiosny Ludów. Gdyby Polacy ustosunkowali się we właściwy sposób do ukraińskiego odrodzenia narodowego, poczynając od roku 1848, inaczej potoczyłyby się nasze wspólne dzieje.

Sporo uwagi Kedryn poświęcił emigracyjnym sprawom ukraińskim w Zachodniej Europie i w Ameryce (w ogóle na emigracji). Tę część książki pomijam. Czytelnik polski słabo orientuje się w tych jakże skomplikowanych sprawach, więc pobieżne omówienie nie wystarczy; wolę je odłożyć do innej okazji, jeśli się zdarzy.

Podkreśliłem ostro oskarżycielski ton, jakiego Kedryn używa, ilekroć pisze o Polsce. Ale jednocześnie stać go na energiczne uwydatnienie ogromnych różnic między położeniem Ukraińców w Rzeczypospolitej, a obecnie, pod sowiecką władzą. Mimo wszystkich cieni, niesprawiedliwości i aktów przemocy, porównanie wypada na polską korzyść.

„Bądźmi sprawiedliwi — *wzywa Kedryn (str. 369)* — w ocenie przeszłości i nie upraszczajmy wszystkich zjawisk, sprowadzając je do wspólnego mianownika”.

A jakie wnioski na przyszłość? Cytuję fragment, który bez reszty określa stanowisko Kedryna:

„Autor tych słów, który jak najbardziej krytycznie oceniał i ocenia narodowościową politykę Polski w okresie między dwoma wojnami... i który równie zdecydowanie piętnował odpowiedników polskich ukraiñożerców po ukraińskiej stronie, stale powtarzał i powtarza, że porozumienie i współpraca między tymi dwoma narodami jest *condicio sine qua non* ich trwałego, państwowego istnienia. Polska i Ukraina zdołają tylko wtedy utrzymać się, jako niezależne, suwerenne państwa, jeśli urodzą się polski i ukraiński Charles de Gaulle i Konrad Adenauer, którzy zrozumieli, że nawet od wieków trwająca nienawiść między dwoma narodami powinna ustąpić miejsca współpracy i przyjaźni, skoro tego wymaga historyczna konieczność i samo ich istnienie. To dlatego ukraińsko-polskie zagadnienie jest aktualne także obecnie. To dlatego ukraińsko-polskim stosunkom udzielono w tej książce najwięcej miejsca. Nie została ona napisana w celu dydaktycznym, ale — jeżeli choćby trochę przyczyni się do przełamania w ukraińskiej i polskiej psychice resentymentów wspólnej, złej przeszłości, ta praca nie będzie nadaremna”.

Na tym można by to omówienie zakończyć, ale pragnę poświęcić jeszcze kilka zdań samemu autorowi. W „Posłowie”, zamykającym wspomnienia, Kedryn napisał:

„Zdaje sobie sprawę, że różne myśli, wysłowione w tej książce, wielu osobom nie przypadną do smaku. Ale pisałem te wspomnienia i komentarze

nie po to, żeby się komuś 'spodobały'. W *Łysie Mykycie*³ ukazała się karykatura: nasi ludzie czekają na ukazanie się tej książki z pałkami w rękach. Dziękuję za dowcipną reklamę! Niezależnie od krytyk, autor, po postawieniu ostatniej kropki, odczuł wielką ulgę".

Zgodnie z zacytowaną na wstępie opinią (tu się powtarzam) jednego z ukraińskich recenzentów, dokładne omówienie wspomnień Kedryna wymagałoby całej broszury, czy nawet drugiej książki. Gdybym miał dać omówienie wyczerpujące, musiałbym wypełnić chyba cały numer *Kultury*, co, oczywiście, nie jest możliwe. Pozwoliłem sobie na dość liczne dygresje, nawet natury osobistej, sądząc, że ożywią relację i lepiej podmalują tło. Nie obeszło się bez uwag polemicznych, które znowu — że użyję zwrotu samego Kedryna — nie każdemu „przypadną do smaku". To zrozumiałe: przecież Kedryn na co drugiej, trzeciej stronie wdaje się w polemikę, często bezlitosną. Przeważnie z własnymi rodakami, ale także i z polską stroną. To dodatkowa zaleta tej bardzo ważnej książki. Powiedzmy — raczej księgi. Nie tylko z uwagi na jej niecodzienne rozmiary!

Mam też nadzieję, że Iwan Rudnyckij-Kedryn nie włączy niniejszego artykułu do kolekcji tych publicystycznych pałek, które, według rysownika-humorysty, z taką niecierpliwością oczekiwały na ukazanie się wspomnień.

Józef ŁOBODOWSKI

3. *Łys Mykyta* to satyryczno-humorystyczne czasopismo ukraińskie, od wielu lat ukazujące się na emigracji.

W sowieckiej prasie

Zachowanie sekretarza Stanu USA Cyrusa Vence w Moskwie, gdzie złożył wizytę w końcu marca br., wywołało gorzkie zdumienie sowieckich przywódców. Powiedzmy otwarcie: obraziło ich. Natychmiast po jego wyjeździe minister Spraw Zagranicznych ZSSR i członek Politbiura, Andriej Gromyko, po raz pierwszy — za pamięci korespondentów zagranicznych w Moskwie — zwołał konferencję prasową, na której bardzo się skarżył na Amerykanów. Głównym zarzutem było to, że amerykańscy przywódcy „w sposób niewystarczający liczą się z interesami ZSSR, dotyczącymi jego bezpieczeństwa".

Nikt z dziennikarzy nie zadał Gromyce pytania: a dlaczego Amerykanie mają dbać o interesy sowieckie? Jeśli by takie pytanie zostało postawione to możliwe, że sowiecki minister

Spraw Zagranicznych odpowiedziałby: przywykliśmy do tego, że od ośmiu lat USA — to jest Henry Kissinger — prowadziły taką politykę.

Przyjście nowej amerykańskiej administracji zaniepokoiło Moskwę, a jeszcze bardziej zaalarmowały ją wystąpienia Cartera w obronie praw człowieka. W prasie sowieckiej rozpoczęła się kampania zastraszania amerykańskiego prezydenta, która bardzo szybko przyjęła formę ordynarnych osobistych na niego napaści. Jednocześnie dziennikarze sowieccy zapewniali swych czytelników, że „antysowiecka gadanina Kongresu i Białego Domu", to „jedynie trajkotania garstki polityków". Tej „garstce polityków" przeciwstawili się „dobrzy Amerykanie" ze środowiska finansowego i przemysłowego, jak również z niektórych kręgów politycznych. Sowieccy przywódcy liczyli na to, że administracja Cartera praktycznie — a nie w słowach — będzie kontynuowała politykę zagraniczną Kissingera. Występując 21 lutego br. na zjeździe Związków Zawodowych Breżniew z pewną nadzieją w głosie oświadczył: „W najbliższych dniach przybędzie do Moskwy na rozmowy sekretarz Stanu USA Cyrus Vence. Zobaczmy co przyniesie".

Przyzwyczajeni do rozmów z Kissingerem, który zawsze, w każdych okolicznościach, dążył do zgody — nawet jeżeli przynosiło to szkodę własnym interesom (to jak gdyby o nim mówi sowiecka „dla nas ważne jest jedynie zwycięstwo, nie liczymy się z ceną"), sowieccy przywódcy odrzucili propozycję Cartera o ograniczeniu zbrojeń. Zobaczyli w tych propozycjach próbę zmiany sytuacji, która wydawała im się bardzo wygodna — dla nich, osiągniętej w wyniku umowy podpisanej we Władywostoku przez prezydenta Forda i Breżniewa w 1974 roku.

Cyrus Vence wyjechał z Moskwy z niczym. Prasa światowa pisze o niepowodzeniu polityki zagranicznej Cartera. Można jednak przypuszczać, że Moskwa nadal próbuje zastraszyć amerykańskiego prezydenta, licząc że zrezygnuje ze swej polityki i wróci do polityki swych poprzedników, która tak doskonale odpowiadała ZSSR. Jest szereg przyczyn, które pozwalają na takie przypuszczenie.

Pierwszy powód staje się jasny po przeczytaniu powieści Mikołaja Gorbaczewa „Bitwa". Opublikowana w leningradzkim miesięczniku *Zwiezda* (nr 11 i 12 z 1976 r.) powieść ta, nawet przy największej taryfie ulgowej, nie może być zaliczana do „większej literatury", czy też w ogóle do literatury. Myślę jednak, że właśnie z tego powodu jest ona interesująca. Gorbaczew w sposób ścisły, bez żadnych pretensji do literatury, wyklada punkt widzenia tzw. wojskowo-przemysłowego kompleksu na wewnętrzną i zewnętrzną politykę ZSSR.

Tematem „Bitwy" jest historia stworzenia systemu obrony przeciwrakietowej. Powieść Gorbaczewa jest jedną z nielicznych książek sowieckich, w której jest przedstawiony tok podejmowania decyzji przez kierownictwo sowieckie. Spór toczy się między dwoma grupami: jedna grupa uważa, że Związek Sowiecki

może wykorzystać do obrony przed rakietami nieprzyjacielskimi system „Szczyt”, polegający na wykorzystaniu już posiadanych rakiet; druga twierdzi, że jest niezbędne zbudowanie całkowicie nowych rakiet, z których powstanie niemożliwy do przebicia system „Merkury”. Przed czytelnikiem przesuwają się minister Obrony, marszałkowie, uczeni, twórcy rakiety, wojskowi wypróbowujący tę raketę oraz negatywna postać — dziennikarz, który próbuje lansować koncepcyjke o konieczności ograniczenia roli wojska. Uczony wynajduje nową raketę, ale konserwatyści nie chcą dać środków na jej wykonanie. Wtedy grupa Marszałków zwraca się z listem do KC. Organizują naradę, a potem zapada decyzja na najwyższym szczeblu — w Politbiurze. Decyzja jest pozytywna — należy stworzyć system „Merkury”. Następnie — jak już system zaczął powstawać — „za pośrednictwem kanałów dyplomatycznych postanowiono rozpocząć pertraktacje z Amerykanami. Centralnym zagadnieniem jest ograniczenie obrony przeciwrakietowej”. A więc pertraktacje jedynie z pozycji siły, przy posiadaniu najnowocześniejszej broni.

Powieść „Bitwa” stara się przekonać czytelnika, że jest niezbędne produkowanie coraz nowszych typów broni. W najbardziej wzruszającym miejscu powieści do ministra Obrony, Marszałka Janowa (nie będzie chyba zbyt ryzykownym przypuszczenie, że autor ma na myśli ministra Obrony, marszałka Ustinowa) przychodzi jego pięcioletnia wnuczka — i — mądre sowieckie dziecko! — mówi: „Co to znaczy — grożą nam atomowymi rakietami? A ty, wojskowy, jesteś po to, żeby nas piersią zasłaniać? Czy tak dziadku?”. I dziadek-marszałek, szczęśliwy, że nawet pięcioletnie dzieci w Związku Sowieckim rozumieją niebezpieczeństwo amerykańskiej broni atomowej, mówi: Tak! i poleca przystąpić do budowy systemu „Merkury”.

Myśl przewodnia powieści jest nieskomplikowana: żyjemy pod grozą amerykańskiej agresji, dlatego też należy produkować coraz to nową broń, gdyż tylko posiadając ją można prowadzić pertraktacje z wrogiem; broń powinna być produkowana przez wojskowych — trzeba ich kochać i dawać im tyle pieniędzy ile zażądają. Lecz propagując tę koncepcję autor „Bitwy” przytacza szereg faktów, życiowych drobiazgów, świadczących o zdumiewająco niskim poziomie życia obywateli, a w tej liczbie i twórców broni i wojskowych wypróbowujących rakiety, o chronicznym braku wszystkich niezbędnych rzeczy. Po krótko — o trudnej sytuacji ekonomicznej państwa.

W dobrych stalinowskich czasach wszystko było proste: realne życie, to jest warunki, w których żyli sowieccy obywatele i „surrealistyczne” — według określenia Alain Besançon — to jest opisywane w prasie i literaturze — rozdzielone nieprzebytą przepaścią. Ludność głodowała, a Stalin twierdził, że żyć jest łatwiej, żyć jest weselej. I nawet ci, którzy głodowali, musieli wierzyć Stalinowi, gdyż głód był tylko ich osobistym odczuciem, a ze wszystkich stron potężna maszyna propagandy głosiła o sytości i radości.

Dzisiaj sytuacja jest nieco inna. Po staremu istnieją obok siebie realna rzeczywistość i fantastyczny „surrealizm”. Chcąc na przykład udowodnić, że rewolucja październikowa była niebywałym szczęściem dla Rosji, KC partii w tezach na 60-lecie Października przytacza liczby dotyczące wzrostu produkcji przemysłowej w porównaniu z 1913 rokiem! To jest z dziedziny „surrealizmu”. Natomiast między realizmem i „surrealizmem” przeznacza się mostki — informacje o rzeczywistym położeniu kraju, które przytacza się z Zachodu. Z zachodnich radiostacji, z gazet, książek, które z trudem ale jednak trafiają do Związku Sowieckiego, obywatele sowieccy dowiadują się jak żyją, ściślej — znajdują potwierdzenie tego, co wokół siebie widzą. I „surrealizm” zaczyna tracić swoją władzę nad ludźmi. A z tym władza nie może się nie liczyć. Dlatego też dziś opis prawdziwych faktów życiowych można znaleźć w książkach sowieckich autorów a w przemówieniach Breżniewa aluzje do trudności (nikomu, poza nim, nie pozwala się mówić o tych trudnościach).

Szpetny obraz sowieckiej gospodarki, przedstawiony w przemówieniu Breżniewa na zjeździe Związków Zawodowych, to drugi powód, który pozwala przypuszczać, że Związek Sowiecki po próbie zastraszenia prezydenta amerykańskiego wróci po pewnym czasie do stołu rokowań.

Przed wszystkim w przemówieniu Breżniewa zwraca uwagę przyznanie się do trudnej sytuacji żywnościowej kraju. W Niemczech hitlerowskich mówiono: armaty zamiast masła. W breżniewowskim Związku Sowieckim mówi się o rakietach zamiast chleba i mięsa. Trzykrotnie generalny sekretarz KC używa określenia „regularne zaopatrywanie ludności w żywność” dodając, że „nie jest ono zapewnione”. Jest to przyznanie faktu, znanego wszystkim obywatelom sowieckim: poza Moskwą, Leningradem i paroma wielkimi miastami nawet chleb „zdobywa się”, stojąc wiele godzin w ogonkach. W oficjalnym języku nazywa się to „arytmicznością w zaopatrywaniu”.

Breżniew przyznaje, że kolejny „cudowny środek” — „przejście hodowli na metodę przemysłową” tj. stworzenie kołchozów i sowchozów specjalizujących się w hodowli drobiu i trzody chlewnej — nie pomogło. Wydano dekret KC, stworzono specjalistyczne hodowlane sowchozy i kołchozy o gigantycznych rozmiarach. Ale — jak dotąd — nie dostarczają one jeszcze mięsa, za to w innych kołchozach i sowchozach — jak podkreślił Breżniew — „zaprzesztano hodować świnię i zajmować się drobiem”. W rezultacie — tymczasem — produkcja mięsa gwałtownie się zmniejszyła.

Nie lepiej wyglądają sprawy przemysłu. A wyjściem — zdaniem Breżniewa — jest „wzmocnienie dyscypliny pracy”. Generalny sekretarz przytacza ciekawe dane dotyczące strat z powodu absencji w pracy i przerw, które oblicza się na miliony dniówek. Robotnicy sowieccy nie mają prawa do strajku, ale albo znajdując się w miejscu pracy nie pracują, albo łazikują i do pracy nie przychodzą. Ponieważ to wszystko odbywa się „indywidual-

nie" nie można mówić o strajkach. Jeśli jednak sam Breżniew mówi o milionach straconych dniówek, to można założyć, że w rzeczywistości w Związku Sowieckim strajkują więcej niż we Włoszech.

Warto tu podkreślić, że w przemówieniu na zjeździe Związków Zawodowych 21. 3. br. Breżniew powtórzył — *dostownie* — to co już poprzednio mówił na Plenum KC 25. 10. 1976 roku. Zaś pięć miesięcy przedtem powiedział: „Specjalistyczne zakłady dopiero się organizuje, a farmy w innych gospodarstwach już zostały zlikwidowane” — to o produkcji mięsa; „Zbyt dużo jest u nas absencji, opóźnień i przerw w pracy. Jest to wielkie zło, które powoduje straty milionów dniówek” — to o przemyśle.

Jest jasne, że generalny sekretarz KC nie może przemawiać przez trzy godziny i mówić wyłącznie o brakach i wadach. Musi dać swoim słuchaczom tak na sali, jak i w kraju (a potem czytelnikom) coś pozytywnego. Breżniew wskazał swoim słuchaczom wroga, winnego „niektórych trudności”. Wróg ten to „reakcyjne siły starego świata”, a konkretnie „powstanie wewnętrznej opozycji”. Po raz pierwszy w ostatnich latach generalny sekretarz „osobiście” oburza się na „inaczej myślących”, po raz pierwszy otwarcie nazywa działalność dysydentów „pomocą dla wrogów”, po raz pierwszy otwarcie wzywa do rozprawy z nimi.

„U nas nie zabrania się myśleć inaczej — zapewnia generalny sekretarz. Inna sprawa gdy szereg osób, oderwanych od naszego społeczeństwa, występuje aktywnie przeciwko ustrojowi socjalistycznemu, przechodzi na działalność antysowiecką, narusza prawa i nie mając oparcia w kraju zwraca się o pomoc do zagranicy, do imperialistycznych, dywersyjnych ośrodków propagandowych i wywiadowczych. Naród nasz domaga się by z takimi — za zaproszeniem — działaczami obchodzono się jak z przeciwnikami socjalizmu, jak z ludźmi występującymi przeciwko własnej ojczyźnie, współnikami, a nawet agentami imperializmu”. W tym miejscu wdzięczni słuchacze wybuchnęli „burzliwymi i długotrwałymi oklaskami”. Breżniew oświadczył, że „stosujemy i będziemy wobec nich stosować miary, przewidziane przez nasze prawa” gdyż idzie „o obronę praw, swobód i bezpieczeństwa 260 milionów ludzi sowieckich”. Nie bardzo wiadomo w jaki sposób „szereg oderwanych od naszego społeczeństwa osób” może zagrażać „prawom, wolności i bezpieczeństwu 260 milionów”. Trzeba jednak przyznać, że tylko ten ustęp Breżniew przeczytał z natężeniem i widocznym zadowoleniem. Pozostały tekst czytał nudnie, bełkocząc przez sztuczne zęby.

Siły reakcji — USA — dysydenci — agenci USA i reakcji — to wszystko Breżniew zamknął w określeniu — „zagrożenie Związku Sowieckiego”. Gdy stało się oczywiste, że prezydent Carter chce prowadzić politykę, która nie podoba się sowieckim przywódcom — odprawili z niczym Cyrusa Vence (przypuszczam, że tylko czasowo), i natychmiast wykorzystali jego pobyt i niepowodzenie rokowań dla własnych celów: podnieśli cenę, zwalizy winę na Cartera i dysydentów.

Nie wiem co myśli kierownik kampanii przeciwko „dysydemtom”, szalejącej dzisiaj w sowieckiej prasie. Ale ja — czytając niezliczone artykuły, eseje, korespondencje, a w ostatnich czasach i powieści demaskujące „inaczej myślących” tę całą „beletrystykę” wypełniającą stronicę sowieckich pism — myślę czasami, że może i ten kierownik jest także, choćby troszkę, „inaczej myślący”? Przypuszczenie heretyckie, ale samo się narzucające, gdyż materiały o „dysydentach” są jedynymi, które można czytać w sowieckiej prasie bez nudy.

Jeśli weźmiemy artykuły zawodowych „pisarzy w cywilu” zaw sze mających pod ręką akta KGB, a w ostatnich czasach chętnie wykorzystujących świadectwa byłych więźniów, opowiadających teraz „całą prawdę” o swoich byłych towarzyszach, jeśli weźmiemy pełne oburzenia wystąpienia zawodowych pisarzy, jak 80-letniego Walentina Katajewa, czy też zawodowych reżyserów, jak Siergieja Bondarczuka, to wszędzie znajdziemy jedno i to samo. Można łatwo wymyślić kalambur i powiedzieć, że tytuł kolejnej powieści szpiegowskiej czekistów Olega Szmielowa i Władimira Wostokowa pt. „Znajomy charakter pisma” charakteryzuje całą propagandową produkcję skierowaną przeciwko „dysydemtom”. Ponadto — to nie jest „Znajomy charakter pisma” — to jest jedno i to samo pismo. Wszystko wskazuje na to, że wszystko to pisze jedna i ta sama brygada, jeden kolektyw. I nie przypadkowo Wiktor Niekrasow, przeczytawszy w *Prawdzie* (20. 3. 77). artykuł W. Katajewa, zwrócił się w paryskim piśmie *Russkaja mysl* do autora „Samotnego białego żagla” z pytaniem: „Powiedzcie mi w tajemnicy... kto wam napisał ten artykuł...”.

Charakter pisma autora niezliczonych artykułów poznaje się przede wszystkim po tym, że w każdym z nich mowa o pieniądzach — o dolarach, które otrzymują dysydenci. Przemowna tęsknota za dolarami gnębi autora tych artykułów, z dręczącą zawiścią nie przestaje mówić o dolarach i rzeczach, które mogą sobie kupować dysydenci, mieszkający za granicą. Nawet ci, którzy żyjąc w ZSSR mają możliwość korzystania z rzeczy niedostępnych zwyktemu sowieckiemu obywatelowi. W szpiegowskiej powieści „Znajomy charakter pisma”, publikowanej w odcinkach w piśmie *Ogoniok*, o nakładzie dwóch z czymś milionów egzemplarzy, pisze się o zebraniu „dysydentów” i o tym, że przed każdym z nich na stole leżała paczka amerykańskich papierosów Chesterfield i paczka gumy do żucia. A obok „piśmiidla”: *Kontinent, Possiew, Grani, Wolnoje słowo*.

Łatwo sobie wyobrazić, że znalazłoby się wielu sowieckich obywateli, którzy z chęcią wzięliby udział w „zebraniu”, na którym można nie tylko zapoznać się ze „strasznymi piśmiidłami”, o których tyle złego zostało powiedziane, ale i zapalić Chesterfielda i pożuć sobie gumę — namiętność, która opanowała dziś wszystkich ludzi sowieckich.

Jedyny sposób przełamania namiętności do „inaczej myślących” i do gumy do żucia, znany sowieckim przywódcom — to groźby. W drugiej połowie marca *Niedziela* (dodatek do rządowej gazety

Izwiestia) zamieściła artykuł „Pod fałszywą maską bojowników o prawa człowieka” podpisany przez W. Aparina i K. Briancewa (autorzy tego rodzaju artykułów normalnie chodzą parami, jak policjanci na służbie). Autorzy ci przestrzegają: „Musimy chwycić za pióro bynajmniej nie dlatego, że rzekomi „bojownicy o prawa człowieka” stanowią zagrożenie dla Związku Sowieckiego. Sprawa polega na czymś innym: tak zwani „inaczej myślący” w rzeczywistości stali się wykonawcami i współnikami antysowieckich prowokacji i dywersji organizowanych przez C.I.A. i inne wywiady zachodnie, są narzędziami w ich rękach”.

Jest to komentarz do oświadczenia Breżniewa: inaczej myślący to wrogowie narodu, agenci imperialistycznych wywiadów. Jest to dla nich ostrzeżenie i jednocześnie ostrzeżenie dla Zachodu. Sowieccy przywódcy w ostatnim czasie zrozumieli, że „dysydenci” to nie tylko zarodek opozycji wewnętrznej, ale i wymienna moneta.

Pierwsi zrozumieli to Niemcy. Nie przypadkowo rosyjskie przysłowie mówi: „Niemiec wymyślił mapę”. W 1964 roku NRD zaczęło handlować swoimi więźniami. W książce Michel Meiera, która ukazała się w Paryżu pt. „Marki w zamian za ludzi” obliczono, że w okresie 10 lat — 1964 - 1974 — NRD sprzedało Niemcom Zachodnim 11 tysięcy więźniów za ogólną sumę 761 milionów marek zachodnioniemieckich. Kraje socjalistyczne poszły za przykładem ojczyzny Marksa: Polska sprzedała Ślązaków, co prawda za kredyty, które potem trzeba będzie spłacać, Związek Sowiecki był zmuszony oddać Bukowskiego za Corvalana. Nie jest wykluczone, że rozpoczęta w ZSSR kampania aresztowań i skazań, oprócz innych powodów, ma także na celu stworzenie rezerwy walutowej. Doświadczenie NRD dowodzi, że przy ustalaniu ceny, którą NRF ma zapłacić za danego więźnia bierze się przede wszystkim pod uwagę okres na jaki został skazany i dlatego sądy wschodnioniemieckie wydają coraz surowsze wyroki — przeważnie 15 lat. Taką tendencję można zaobserwować i w Związku Sowieckim. Nie wykluczone, że właśnie handel żywym towarem — jeśli znajdą się nabywcy — pozwoli ojczyźnie socjalizmu wyjść z ciężkiego kryzysu gospodarczego. Przecież właśnie w tych krajach zapasy ludzkiego materiału są właściwie niewyczerpane. A towarzysz Stalin dawno już zwrócił uwagę na to, że „najbardziej cennym kapitałem jest człowiek”.

Adam KRUCZEK

Sprawy i troski

Polonia francuska głosowała...

Czytelnicy *Kultury* znają już proces przekształcania się Polonii francuskiej z „emigracji” na mniejszość narodową albo — jak kto woli — grupę etniczną (*Kultura* Nr 10/349, październik 1976).

Znaczenie polityczne ostatnich wyborów municypalnych (do rad gminnych) we Francji dla dalszych losów tego kraju jest ogromne i przekracza rozmiary tego rodzaju głosowania w poprzednich latach. Przypomnieć trzeba, że od wyboru p. Giscard d'Estaing na Prezydenta Republiki była to już druga — po zeszłorocznych wyborach kantonalnych — klęska „większości prezydenckiej”. Ilość gmin, a zwłaszcza miast ponad 30.000 (gdzie się głosuje na zablokowane listy, a nie na poszczególnych kandydatów), które przeszły w ręce socjal-komunistycznej opozycji była tak wielka, że spowodowała natychmiastową zmianę rządu. Jednocześnie otwarta została kampania wyborcza do przyszłorocznych wyborów parlamentarnych, które zadecydują o losach Francji na długie lata. Na marginesie ostatniej kampanii wyborczej trzeba stwierdzić, że przywódcy partii i grup tworzących „większość prezydencką” nie wyciągnęli wniosków z zeszłorocznej klęski.

To powiedziawszy, przejdźmy na skromny, bo liczący zaledwie 1½ % ogółu wyborców, odcinek polski. Odbywające się co sześć lat wybory do rad gminnych są dla Polonii francuskiej — w jej obecnym stanie organizacji politycznej — najważniejsze. Nie tylko bowiem dotyczą najbliższych jej spraw, ale także dają okazję do przedstawiania kandydatów. Oczywiście nie jest zabronione wystawianie polskich kandydatów w wyborach kantonalnych (samorząd wojewódzki) czy parlamentarnych, ale — wstyd powiedzieć — po 55 latach swego osiedlenia Polonia takich kandydatów albo w ogóle nie ma, albo można ich policzyć na palcach; ludzie o polskich nazwiskach nie są, niestety, poza kilku wyjątkami kandydatami Polonii. Przypomnijmy, że akcja Komitetu Wyborczego Polaków Naturalizowanych zaczęła się w roku 1953 właśnie od wyborów do rad gminnych.

Tym razem „Wspólnota Polsko-Francuska” zorganizowała zaplanowaną kampanię wyborczą. We wrześniu 1976 roku *Polska w Europie* wydała specjalny dodatek, przygotowujący Polaków we Francji do zbliżających się wyborów i nakłaniający do zgłaszania polskich kandydatur. Następnie, pod firmą „Wspólnoty Polsko-Francuskiej” odbyły się zebrania publiczne w czasie których wyświetlano film Janusza Piekałkiewicza „Mourir pour Varsovie” (tytuł angielski „It began on the Vistula”); ten film dokumentalny, zmontowany na bazie materiału znalezionej w archiwach kinematograficznych kilku krajów, obejmuje historię Polski w wojnie, od paktu Ribbentrop-Mołotow aż do wejścia wojsk sowieckich do ruin Warszawy 17. I. 1945 roku. Cztery zebrania (Lille 9. I, Roubaix 18. I, Le Creusot 5. II i Metz 21. II) przeznaczone były dla publiczności tak polskiej jak francuskiej i może nawet bardziej dla tej ostatniej. Odbywały się według tego samego rytuału: otwierał zebranie polski kandydat do rady gminnej w danym mieście, przedstawiciel „Wspólnoty” omawiał film, podkreślając momenty współpracy hitlerowsko-sowieckiej, wreszcie przewodnicząca zebraniu osobistość polityczna (trzej parlamentarzyści, a w Lille urzędujący minister, p. Norbert Segard) wygłaszała przemówienie podkreślające rolę Polonii francuskiej. Po wyświetleniu filmu odbywała się debata publiczna; na pytania widzów odpowiadali Polacy i Francuzi, zaproszeni przez „Wspólnotę”. Ta akcja filmowa objęła ok. 2.000 osób i miała dobrą prasę w dziennikach regionalnych; telewizja luksemburska zaprosiła prezesa „Wspólnoty” na krótki wywiad z okazji wyświetlania filmu w Metz.

Z początkiem marca „Wspólnota” wydała ulotkę dwujęzyczną, zwięźle przedstawiając swoje stanowisko w wyborach oraz wytyczne dla polskich wyborców. Ulotkę „podbudował” nowy specjalny dodatek do *Polski w Europie*, który się okazał w końcu lutego. Po raz pierwszy ulotka „Wspólnoty” była rzeczywiście ulotką, a nie lekcją wychowania obywatelskiego, jak jej poprzedniczki od 24 lat. Poziom upolitycznienia Polonii francuskiej wzrósł, a zorganizowana kampania polska, pozwoliła na niewracanie w ulotce do wielu tematów.

Ulotka wymienia wrogie formacje polityczne: Partię Komunistyczną, skrajną lewicę (trockiści, maoiści, anarchiści itd.) oraz skrajną prawicę. Nie wspomina o Partii Socjalistycznej. Nie wynika to wcale z przeoczenia. Na jesieni 1976 roku delegacja „Wspólnoty” złożyła wizytę w Sekretariacie P.S., przypominając wieloletnią współpracę Komitetu Wyborczego z tą formacją i stwierdzając, że zwłaszcza po wypadkach czerwcowych w Polsce trudno jej udzielać poparcia listom na których — obok socjalistów — znajdują się komuniści; to stanowisko znalazło zrozumienie u socjalistów. Tam gdzie P.S. wystawiała własne listy (niesłusznie w niewielu gminach!) współpraca nie została zerwana.

Kandydaci w tych wyborach byli bardzo liczni: nazwiska polskie figurowały na wszystkich listach, ze skrajną lewicą włącznie. Nowością były dwa elementy: po pierwsze, w kilkunastu gmi-

nach kandydatów wysunęła „Wspólnota” w porozumieniu z liderami poszczególnych list; w wielu wypadkach na afiszach i w gazetkach wyborczych wymieniani byli w tym właśnie charakterze; po drugie, działacze „Wspólnoty” weszli na listy znanych osobistości politycznych (różnych partii) w dużych miastach, jak Lille, Roubaix, Metz. Po raz pierwszy w historii Polonii francuskiej zorganizowane zostało dla polskiego kandydata (dr. S. Legierskiego, członka Rady „Wspólnoty”) zebranie publiczne, na którym przemawiał członek rządu min. Segard. Oczywiście, i tym razem ilość kandydatów o polskich nazwiskach, zwłaszcza na wsiach, jest o wiele, wiele większa od ilości tych kandydatów, którzy — w ramach tej czy innej partii czy organizacji, prądzowej czy opozycyjnej — działają wśród Polonii. „Wspólnota Polsko-Francuska” starannie rejestruje ludzi polskiego pochodzenia wybranych do rad gminnych; spróbuje do nich dotrzeć, a przynajmniej dowiedzieć się jaki jest ich związek z polsnością; ale wymaga to wiele miesięcy pracy*.

„Wspólnota” starała się — jak zwykle — wykorzystać kampanię wyborczą do załatwienia istotnych spraw polskich w ramach nie jednej gminy, ale całego kraju. W pewnych dziedzinach zrobiono krok naprzód. Pilna sprawa zmiany struktury nauczania polskiego we Francji była przedmiotem prac komisji polsko-francuskiej, powołanej z inicjatywy min. Segard, pod przewodnictwem prof. Olivier Pirotte z uniwersytetu w Lille (III). Opracowany projekt zostanie przedstawiony w niedługim czasie Ministrowi Oświaty. Projekt dotyczy szkolnictwa powszechnego i średniego i jest oparty o ustawodawstwo francuskie, bez referencji do jakichkolwiek umów między Francją a PRL.

Innym osiągnięciem było potwierdzenie w wypowiedziach wielu członków kandydatów tezy „Wspólnoty Polsko-Francuskiej”, że właściwą dla Polonii francuskiej jest droga integracji, a nie asymilacji czy getta. Pisze na ten temat min. Segard. W liście do swoich polskich wyborców czytamy:

„... Chodzi o stwierdzenie... wkładu Francuzów polskiego pochodzenia na odcinku kulturalnym i technicznym do wspólnoty państwowej, który pozwolił na szczególnią integrację.

Integracja jednak nie ma znaczyć asymilacji, gdyż wtedy miałyby miejsce utrata walorów podstawowych, tak kulturalnych jak socjalnych, tradycyjnie dziedziczonych, które stanowią bogactwo każdego narodu.

Pierwszym warunkiem, którego spełnienie pomoże Francuzom polskiej krwi zachować i rozwinąć ich odrębność kulturalną jest zorganizowanie

* Jaki był los naszych kandydatów w większych miastach? Dwu z nich: dr Legierski w Lille i Edward Kozik w Roubaix (oba członkowie Rady „Wspólnoty”) figurowało na listach starających się odebrać socjalistom zarząd miastami, gdzie ta partia rządziła od 30 niemal lat. Te próby się nie udały i nasi kandydaci podzielili los swoich sławnych przywódców. Sekretarka generalna „Wspólnoty” p. Helena Steć została wybrana radną miasta Metz; w Le Creusot nasi kandydaci przegrali, ale sprawa jest przed Trybunałem Administracyjnym.

nauczania języka polskiego w formach odpowiadających wymaganiom tej grupy".

(Jeżeli kilkakrotnie cytowaliśmy nazwisko Norbert Segard, to dlatego, że — urodzony w ośrodku kopalnianym Aniche, w północnej Francji — wychował się między Polakami i lepiej rozumie nasze sprawy niż inni ministrowie o bardzo polskich nazwiskach).

Warto podkreślić, że przy okazji kampanii wyborczej „Wspólnota” zrobiła wiele dla zapoznania ze sprawami polskimi francuskiego świata politycznego. Dotyczy to specjalnie młodego pokolenia członków parlamentu i działaczy politycznych, którzy nie przeżyli wojny i dla których istotne dla losów naszego kraju wydarzenia nie są zbyt jasne, zwłaszcza jeżeli chodzi o rolę Sowietów. Jak kilku z nich publicznie stwierdziło, film Piekalkiewicza był dla nich rewelacją.

W stosunku społeczeństwa polskiego do wyborów, a zwłaszcza do udziału w nich Polaków, trzeba zanotować zmiany na lepsze. Masy polskie zaczynają powoli schodzić z balkonu, z którego w ciągu pół wieku oglądały toczące się na ulicy wydarzenia w życiu publicznym Francji. Choć głosowanie jest tajne, ale na podstawie wyników można wnioskować, że Polacy-wyborcy poparli swoich kandydatów.

Tym razem zabrakło w czasie kampanii wyborczej tradycyjnego najazdu „zespołów tańca i pieśni” z PRL. Wydaje się, że przyczyną tego jest raczej brak dewiz niż krytyczny stosunek do „eurokomunizmu” przywódców Francuskiej Partii Komunistycznej. (Od początku roku np. przestał wychodzić organ ambasady PRL *Tygodnik Polski*).

Nie znaczy to wcale, żeby nie było w czasie tej kampanii ingerencji konsulatów w sprawy wyborcze, a więc w sprawy wewnętrzne Francji. Tow. konsul z Paryża chciał zmusić miejscowego nauczyciela w Potigny (Normandia) do akcji na rzecz komunistycznego kandydata, a gdy ten odmówił, zwolnił go z posady; w innym kraju poproszono by tow. Konsula, aby wrócił do PRL, ale Francja p. Giscard d'Estaing ma tak zażyłe stosunki z Gierkiem, że zamyka oczy na tego rodzaju wyczyny reżymowych „dyplomatów”.

Jakież wnioski można wyciągnąć z tego co napisaliśmy o niedawnych wyborach? Chyba stwierdzenie, że o ile „większość prezydencka” te wybory przegrała, Polonia francuska nie przegrała ich całkowicie. Na pewnych odcinkach nawet poszła na przód.

Jerzy JANKOWSKI

P.S. — W grudniu 1976 roku dwu członków kierownictwa „Wspólnoty Polsko-Francuskiej” p. Edward Papalski — wiceprezes Zarządu i dr Stefan Legierski — członek Rady dostali odznaczenie francuskie: *Chevalier dans d'Ordre National du Mérite*.

J. J.

Uchodźca z Polski na Zachodzie

Przybysza z Polski i innych krajów Europy Środkowo-Wschodniej, pragnącego osiąść na Zachodzie w charakterze uchodźcy politycznego, oczekuje wiele niespodzianek. Na ogół nie zdaje on sobie sprawy z oczekujących go trudności, zarówno jeśli chodzi o stronę ekonomiczną zagadnienia tj. o znalezienie pracy i źródeł dochodu, jak też jeśli chodzi o stronę formalno-prawną pozostania na Zachodzie. Z daleka, widziane od Wschodu, sprawy te przedstawiają się w różowych barwach *wishfull thinking*. Zachód nęci przybyszów ze Wschodu zarówno posmakami wolności politycznej jak też łatwością zarobku na fali ogólnego dobrobytu. Tak jednak niestety nie jest. Trudności występują dopiero po przybyciu na miejsce, gdy rozpocznie się żmudne załatwianie rozlicznych formalności i stanie w ogonkach przed odpowiednimi urzędami, decydującymi w sprawach prawa pobytu, prawa pracy i uzyskania statutu uchodźcy. Rosną one w miarę szukania miejsca pracy i źródła utrzymania. Indywidualnych przypadków sukcesu na Zachodzie i otrzymania dobrej posady czy też zrobienia majątku nie można niestety upowszechniać i wyciągać z nich obiecujących wniosków natury ogólnej.

Celem niniejszych rozważań nie jest danie porad natury ekonomicznej i analiza rynku pracy pod kątem widzenia możliwości szybkiego uzyskania odpowiedniego zatrudnienia czy innego źródła dochodu, np. założenia własnego warsztatu pracy. Celem naszych uwag jest danie zwięzłego przeglądu obowiązujących norm prawnych w przedmiocie uzyskania statusu uchodźcy politycznego i związanego z tym prawa pobytu i prawa pracy.

Zagadnienie uchodźstwa politycznego unormowane jest w prawie międzynarodowym przez konwencję genewską z dn. 28 lipca 1951 roku. Państwa Zachodu zawarły względnie przystąpiły do tej konwencji, która wskutek tego ma moc obowiązującego prawa. Nie jest to pierwsza konwencja tego rodzaju w prawie międzynarodowym, gdyż poprzednie zawarte zostały długo przed drugą wojną światową. Konwencja z 1951 roku jest jednak ostatnim i w tej chwili obowiązującym tekstem prawnym. Od razu w swym art. 1 Konwencja ustala pojęcie uchodźcy tzn. ustanawia kryteria kto jest uchodźcą w rozumieniu konwencji i w konsekwencji może korzystać z uprawnień w niej określonych. A więc uchodźcą jest po pierwsze ten, kto był za takiego uznany przez przepisy obowiązujące w okresie przed drugą wojną światową — tę kategorię pominiemy jednak jako bez praktycznego znaczenia dla uchodźców dnia dzisiejszego. Po wtóre — i to jest najistotniejsze — uchodźcą jest ten, kto w konsekwencji wydarzenia, jakie miały miejsce przed dniem 1 stycznia 1951 roku,

z uzasadnionej obawy przed prześladowaniem z powodu rasy, religii, narodowości, przynależności do szczególnej grupy społecznej lub też z powodu swych przekonań politycznych, będąc poza krajem swego obywatelstwa nie może lub nie chce wrócić do tego kraju i pozostawać pod jego zwierzchnictwem. Tak brzmi klasyczna definicja uchodźcy w myśl konwencji z dn. 28 lipca 1951 roku. Decydujące jest więc poczucie uzasadnionej obawy przed prześladowaniem i to poczucie tak silne, że dotknięta nim osoba właśnie z powodu tej obawy nie może lub nie chce wrócić do swego kraju ojczystego, przy czym grożące prześladowanie wówczas uzasadnia przyznanie statusu uchodźcy, gdy może nastąpić z jednego z pięciu powodów określonych w konwencji (rasa, religia, narodowość, przynależność do szczególnej grupy społecznej, przekonania polityczne). Z naciskiem podkreślić należy, że przesłanki natury ekonomicznej same w sobie nie stanowią powodu do otrzymania statusu uchodźcy.

W przypadku przyznania statusu uchodźcy politycznego — czyli azylu — przysługują uchodźcy na terenie nowego kraju osiedlenia, w którym obowiązują konwencja z 28 lipca 1951 roku, pewne szczególne uprawnienia. Jest on wprawdzie w kraju nowego osiedlenia traktowany jako cudzoziemiec, ale jako cudzoziemiec mający uprzywilejowaną i korzystniejszą pozycję od innych cudzoziemców, nie będących uchodźcami. Przede wszystkim konwencja gwarantuje uchodźcom, że nie spotka ich żadna dyskryminacja z uwagi na ich rasę i religię, przy czym zapewnia im swobodę praktyk religijnych i religijne wychowanie dzieci. Konwencja gwarantuje uchodźcom co najmniej identyczne uprawnienia jak wszystkim innym cudzoziemcom z tym, że po trzech latach przebywania w kraju nowego osiedlenia odpadają ograniczenia wynikające z klauzuli wzajemności znajdującej się w konwencjach pomiędzy krajami Zachodu a dotyczących ich obywateli. Doniosłe znaczenie praktyczne posiada przepis konwencji o tzw. statusie personalnym uchodźcy w rozumieniu prawa prywatnego międzynarodowego. Chodzi w tym przypadku o to, jakie prawo stosuje się w sprawach osobistych uchodźcy, tzn. w sprawach jego zdolności prawnej i zdolności do działań prawnych, w sprawach małżeńskich (zawarcie, unieważnienie i rozwiązanie małżeństwa przez rozwód), między rodzicami i dziećmi, w sprawach przysposobienia, opieki i kurateli. Normalnie jest to tzw. prawo ojczyste to znaczy prawo państwa, którego zainteresowany jest obywatelem. A więc w tego rodzaju sprawach obywatela polskiego stosuje się prawo polskie nie tylko w Polsce ale także za granicą przez cudzoziemskie sądy cywilne. Otóż w myśl konwencji z 1951 roku do uchodźcy stosuje się prawo miejsca jego zamieszkania a więc prawo kraju osiedlenia podczas gdy do cudzoziemca, nie będącego uchodźcą, stosuje się jego prawo ojczyste. Tak więc np. w razie rozwodu polskich uchodźców będzie miało zastosowanie prawo kraju ich osiedlenia a nie prawo ojczyste (polskie), co jest dla zainteresowanych o tyle korzystne, że prawa zachodnie uznają np. cudzołóstwo za przyczynę rozwodu,

podczas gdy w prawie polskim cudzołóstwo stanowi przyczynę rozwodu tylko o tyle, o ile nastąpił trwały rozkład pożycia małżeńskiego trwający przez kilka lat, co oddala w czasie możliwość przeprowadzenia rozwodu. Ponadto konwencja przyznaje uchodźcom prawo nabywania ruchomości i nieruchomości oraz prawo zrzeszania się w niepolityczne organizacje i związki zawodowe w granicach możliwie najkorzystniejszych dla cudzoziemców, zaś prawa w zakresie praw autorskich i patentowych i prawo występowania w sądzie w granicach w jakich przysługują obywatelom państwa osiedlenia się. W sprawach prawa do pracy konwencja przyznaje uchodźcom prawo do pracy w zakresie najkorzystniejszym w jakim jest ono przyznane cudzoziemcom w kraju osiedlenia się, z tym że ograniczenia w prawie do pracy cudzoziemców nie obowiązują w odniesieniu do uchodźców po trzech latach osiedlenia się jak również w przypadku gdy małżonek lub dzieci uchodźcy posiadają obywatelstwo kraju osiedlenia się. Ponadto kraje sygnatariusze konwencji zobowiązane są dążyć do pełnej asymilacji uchodźców w zakresie prawa do pracy z własnymi obywatelami. W zakresie praw do własnego warsztatu pracy w dziedzinie przemysłowej, handlowej i rolnej oraz do wykonywania zawodu wolnego państwa sygnatariusze konwencji obowiązane są do przyznania uchodźcom maksymalnych ułatwień w zakresie ich własnego ustawodawstwa. Ponadto konwencja gwarantuje uchodźcom wszelkie dobrodziejstwa opieki lekarskiej i społecznej jak również wszelkie uprawnienia wynikające z przepisów prawa pracy i ubezpieczeń społecznych, dalej prawo do zamieszkania i do swobodnej cyrkulacji, prawo szkolenia dzieci w szkołach państwa osiedlenia, jak również pełną opiekę władz administracyjnych w zakresie w jakim z tych dobrodziejstw korzystają obywatele państwa osiedlenia się. Uchodźcy mają prawo otrzymania specjalnych dowodów osobistych a ponadto tzw. dokumentów podróży (*titre de voyage, travel document*), zastępujących paszporty i uprawniających do podróży zagranicznych. Państwo osiedlenia się może wydać uchodźcę naruszającego porządek publiczny lub działającego na szkodę państwa, do innego państwa, nie może jednak wydać go państwu, którego był obywatelem i do którego nie chce wrócić z uzasadnionej obawy przed prześladowaniem z powodów określonych w art. 1 konwencji. W końcu państwa-sygnatariusze konwencji zobowiązane są dążyć do asymilacji uchodźców i do ułatwień w kierunku ich naturalizacji, tzn. nadania obywatelstwa kraju osiedlenia się. Z chwilą naturalizacji dotychczasowy uchodźca traci status uchodźcy i przestaje nim być w rozumieniu konwencji. W przypadkach określonych przez ustawy państwa osiedlenia, w szczególności w przypadku działalności na szkodę państwa, naturalizacja może być odwołana i zainteresowany traci nabyte obywatelstwo. Tym różni się obywatelstwo nadane w trybie naturalizacji od nabytego od urodzenia.

W płaszczyźnie prawa międzynarodowego istnieje też szczególny organ powołany do sprawowania opieki nad uchodźcami.

Jest nim Wysoki Komisarz dla Uchodźców ONZ-etu z siedzibą w Genewie. Jego główna funkcja polega na strzeżeniu właściwego stosowania konwencji z 1951 przez państwa-sygnatariuszy oraz koordynowanie ich akcji. Wysoki Komisarz ma swych przedstawicieli w głównych stolicach państw Zachodu. O ile uwaga państw zachodnich w latach 50-tych koncentrowała się w znacznym stopniu na zagadnieniu uchodźców z krajów spod dominacji komunistycznej, o tyle w ostatnich latach zagadnienia te zeszły na dalszy plan i ustąpiły miejsca pierwszoplanowemu dziś zagadnieniu Palestyńczyków i uchodźców z Bliskiego Wschodu.

Konwencja o uchodźcach z dn. 28 lipca 1951 roku obowiązuje sygnując ją państwa — a jest ich 68 — jako norma prawa międzynarodowego. Skuteczność tego prawa zależy jednak od tego, w jaki sposób normy międzynarodowe będą stosowane a płynące z nich obowiązki wykonywane przez poszczególne państwa. Ten sam tekst prawa międzynarodowego może być bowiem rozmaicie przez poszczególne państwa interpretowany oraz z różnym stopniem liberalizmu stosowany. Ponadto każde państwo ma swój własny ustroj administracyjny, różniący się w szczegółach od ustroju administracyjnego sąsiednich państw jeśli chodzi o tryb postępowania, właściwość władz, możliwość odwołania się do instancji wyższych a zwłaszcza możliwość skierowania sprawy na drogę postępowania sądowo-administracyjnego (kontrola sądowa aktów administracyjnych przez sądownictwo administracyjne). Rola poszczególnego państwa w przyznaniu uchodźcy tzw. prawa azylu czyli statusu uchodźcy jest bardzo doniosła i decydująca. Jest to bowiem działalność prawnotwórcza wynikająca z uprawnień państwa do swobodnej oceny czy obawa osoby, ubiegającej się o status uchodźcy, przed ewentualnymi represjami w jej kraju ojczystym w razie powrotu do niego, jest uzasadniona czy też nie. Jak zaznaczyliśmy przy omawianiu art. 1 konwencji status uchodźcy może być nadany jedynie w przypadku uzasadnionej obawy przed prześladowaniem. Na charakter uchodźcy składają się więc dwa elementy: element subiektywny poczucia obawy u osoby zainteresowanej, wynikający z jej suwerennej osobistej decyzji, i element obiektywny kontroli czy ta obawa jest uzasadniona. W tym ostatnim przypadku decyzja leży wyłącznie w ręku państwa osiedlenia się. Jest to jego decyzja suwerenna podjęta przez jego właściwe władze na podstawie ich swobodnego uznania. Wypada obecnie kolejno omówić sytuację pod tym kątem widzenia na terenie najważniejszych państw Zachodu.

Zacznijmy od Francji. W interesującym nas zagadnieniu liberalizm Francji wyraża się w podejściu z dobrą wiarą do stanowiska zainteresowanej osoby o jej poczuciu obawy przed represjami w razie powrotu do kraju ojczystego. Przez wiele lat władze francuskie uznawały stanowisko zainteresowanego za miarodajne i szanowały je w całej pełni, nie wnikając bliżej czy jej poczucie zagrożenia represjami jest uzasadnione. Ostatnio jednak stanowisko władz we Francji uległo pewnemu usztywnie-

niu i podania o status uchodźcy poddawane są kontroli i coraz surowszej analizie. We Francji istnieje specjalny tzw. Francuski Urząd Opieki nad Uchodźcami i Bezpaństwowcami (*Office Français de Protection des Réfugiés et Apatrides*, w krócie OFPRA) podległy Ministrowi Spraw Zagranicznych. Podanie o przyznanie statusu uchodźcy należy złożyć do tego Urzędu, który wydaje zaświadczenie o złożeniu podania. Z tym zaświadczeniem zainteresowany udaje się do Prefektury (władza administracji ogólnej pierwszej instancji) z prośbą o wydanie mu dowodu osobistego. Każdy cudzoziemiec bowiem we Francji, o ile pozostaje tam ponad 3 miesiące, musi posiadać francuski dowód osobisty tzw. *carte d'identité d'étranger*. Prefektura wydaje zaświadczenie o złożeniu podania o dowód osobisty (tzw. *récepissé*), stanowiące tymczasowy dowód osobisty. Po pewnym czasie petent otrzymuje z OFPRA zaświadczenie że jest uchodźcą. Punkt ciężkości decyzji o przyznaniu statusu uchodźcy leży więc w OFPRA, który to Urząd przed wydaniem pierwszego zaświadczenia o złożeniu podania o status uchodźcy bada czy spełnione są wymogi określone w art. 1 konwencji. Od negatywnej decyzji Prefektury w przedmiocie wydania dowodu osobistego służy odwołanie do Ministra Spraw Wewnętrznych. W razie negatywnej decyzji Ministra w przedmiocie wydania dowodu osobistego jak również w razie negatywnej decyzji OFPRA w przedmiocie przyznania statusu uchodźcy służy skarga sądowo-administracyjna. Do wydania karty pracy, stwierdzającej prawo do pracy, właściwe są terenowe urzędy podległe Ministerstwu Pracy. W pierwszych trzech latach pobytu uchodźcy w kraju osiedlenia się karta pracy wymienia w zasadzie tylko jeden określony zawód do którego wykonywania posiadacz karty jest uprawniony (np. reprezentanta handlowego). Zawody wolne bronią się przed uchodźcami i wymagają dłuższego upływu czasu i nostryfikacji dyplomów połączonej ze studiami. Technicy mogą pracować na niższych szczeblach zawodowych (np. kreślarzy), medycy jako przedstawiciele firm farmaceutycznych. W razie przejściowego pobytu we Francji w celu dalszej emigracji poza Europę zainteresowany otrzymuje tymczasowy dowód osobisty bez prawa pracy. Żadnych obozów dla uchodźców we Francji nie ma, czym Francja różni się dodatnio od kilku innych państw Europy Zachodniej. Omówiliśmy przykład Francji nieco dokładniej z uwagi na ciężar gatunkowy tego kraju w sercach Polaków i na dużą w nim koncentrację uchodźców.

W Belgii istnieje postępowanie administracyjno-policyjne. W przedmiocie przyznania statusu uchodźcy władze orzekają w porozumieniu z delegatem Wysokiego Komisarza dla Uchodźców ONZ-etu, którego stanowisko ma zasadnicze znaczenie dla sprawy.

W N.R.F. istnieje w miejscowości Zirndorf pod Norymbergą oboz dla uchodźców. Tam też ma siedzibę Federalny Urząd dla Uchodźców (*Bundesamt für Flüchtlinge*). Na podstawie zaświadczenia o zgłoszeniu się w Zirndorfie uchodźca może dostać zezwolenie na pracę. Pobyt w obozie trwa kilka tygodni, jeżeli jednak

uchodźca dysponuje funduszami może po kilku dniach opuścić obóz. Tak długo jak trwa postępowanie o przyznanie statusu uchodźcy ten ostatni ma prawo mieszkać w miejscowości gdzie ma pracę, wszelkie zmiany miejsca pracy i zamieszkania mogą nastąpić jedynie za wiedzą Urzędu. Po kilku miesiącach ma miejsce rozprawa przed Urzędem w Zirndorfie, który wydaje decyzję w przedmiocie przyznania statusu uchodźcy. Przeciwnie negatywnej decyzji Urzędu przysługuje skarga sądowo-administracyjna, trzecią i ostatnią instancją jest *Bundesverwaltungsgericht* (Federalny Trybunał Administracyjny) w Berlinie Zachodnim. Do czasu utrzymania statusu uchodźcy i dokumentu podróży (*Reisepass*) zainteresowany ma prawo ubiegać się o niemiecki dokument osobisty dla cudzoziemców (*Fremdenpass*). Orzecznictwo Federalnego Urzędu dla Uchodźców i sądów administracyjnych jest rygorystyczne i negatywne decyzje są na porządku dziennym.

W Austrii istnieje obóz dla uchodźców w miejscowości Traiskirchen. W przedmiocie przyznania statusu uchodźcy istnieje postępowanie administracyjno-policyjne, scentralizowane dla całego kraju w Prezydium Policji we Wiedniu. Postępowanie władz cechuje liberalizm, postępowania sądowo-administracyjnego nie ma.

W Wielkiej Brytanii istnieje bardzo rygorystyczne nastawienie przy badaniu wymogów art. 1 konwencji. Osoby, przyjeżdżające na podstawie ważnego paszportu wystawionego przez władze swego kraju ojczystego, w zasadzie nie otrzymują statusu uchodźcy. Praktycznie otrzymują go niemal jedynie marynarze schodzący ze statku. W razie przyznania statusu uchodźcy istnieje efektywna opieka i pomoc państwa w znalezieniu miejsca pracy.

We Włoszech istnieje postępowanie administracyjno-policyjne w przedmiocie przyznania statutu uchodźcy. Nastawienie władz cechuje liberalizm z powodu niemożności znalezienia zatrudnienia i umieszczenia uchodźców na rynku pracy. Dla uchodźców istnieją 3 obozy: Padriciano koło Triestu (przejściowy, głównie dla uchodźców z Jugosławii) oraz Capua i Latina pod Rzymem. Warunki w nich są trudne, uchodźców jest wielu, czekanie na decyzję w obozie trwa kilka miesięcy. Pobyt z reguły trwa długo aż do chwili, gdy agencje charytatywne z poparciem Wysokiego Komisarza ONZ-etu znajdą dalsze możliwości emigracyjne.

Szwecję, Norwegię i Danię cechuje średniej miary liberalizm, głównie w Szwecji, której położenie geograficzne ułatwia przyjazd wielu uchodźców polskich, litewskich, łotewskich i estońskich. Podpisawszy Konwencję kraje te stosują jeszcze inny, przez nie ukuty, sposób udzielania azylu uchodźcom, którzy nie mają żadnego tytułu do azylu politycznego. Udzielają im bowiem tzw. azylu gospodarczego, polegającego na tym, że uchodźca dostaje prawo pobytu i prawo pracy oraz dokument osobisty dla cudzoziemców, dający prawo ubiegania się o naturalizację.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej do Konwencji nie przystąpiły, musiałyby przystąpienie do Konwencji przeprowadzić

przez ustawodawstwa stanowe wszystkich Stanów. Tym niemniej Stany Zjednoczone stosują zasady Konwencji w przypadkach wyjątkowych, gdy uchodźca znajdzie się na ich terenie nielegalnie, np. w skutek ucieczki ze statku. Natomiast zamiana wizy turystycznej lub studenckiej na stałą wizę imigracyjną jest na miejscu w Stanach Zjednoczonych absolutnie wykluczona. Petent musi wizę imigracyjną do Stanów uzyskać w Konsulacie Stanów Zjedn. poza ich granicami i dopiero wtedy może do Stanów przyjechać na stałe. Analogiczne zasady stosowane są w Kanadzie.

Przyznane uchodźcom dowody osobiste i tzw. dokumenty podróży uprawniają ich do podejmowania podróży do innych krajów zachodnich, przy czym większość krajów zachodnio-europejskich (poza np. Grecją, Hiszpanią i Portugalią) nie wymaga wiz wjazdowych w tych dokumentach.

Udzielaniem pomocy w transporcie do krajów emigracyjnych (Stany Zjednoczone, Kanada, Ameryka Południowa, Australia) zajmuje się obok Wysokiego Komisarza organizacja międzynarodowa ICEM (*International Committee for European Migration*). Obie te instytucje nie mają możliwości udzielania pomocy indywidualnie a jedynie poprzez organizacje charytatywne. Tych ostatnich jest kilkanaście, przy czym mają one bądź charakter wyznaniowy bądź narodowy (np. komitety polsko-amerykański, czechosłowacko-amerykański itp.). Są one finansowane częściowo przez rząd amerykański, częściowo ze zbiorów. Zadanie ich polega na opiekowaniu się uchodźcami od momentu złożenia przez nich podania o udzielenie im prawa azylu.

Na zakończenie przydstawimy w zwięzłym skrócie ogólne przyczyny wykluczające przyznanie statusu uchodźcy zwłaszcza tam, gdzie nie ma liberalnego podejścia władz. Jak już zaznaczyliśmy przyczyny natury ekonomicznej same w sobie nie stanowią przesłanki uzyskania statusu uchodźcy. To samo dotyczy szykan w miejscu pracy, nieawansowania czy też pracy na niższych stanowiskach mimo posiadania wyższych kwalifikacji. Przybycie na Zachód na podstawie paszportu kraju ojczystego w Anglii wyklucza w ogóle możliwość uzyskania statusu uchodźcy, w innych krajach nie jest przesłanką ułatwiającą uzyskanie go gdyż utrudnia prawdopodobnie twierdzenia o potencjalnych możliwościach prześladowania w przyszłości. Petent musi bowiem przekonać władze kraju zamierzonego osiedlenia się, że właśnie jemu grozi konkretnie prześladowanie, musi więc podać konkretne ku temu argumenty. Pole dla swobodnego uznania władz jest więc bardzo duże i wszystko zależy od ich dobrej woli i liberalnego podejścia. Interwencje Wysokiego Komisarza dla Uchodźców w kierunku ujednolicenia praktyki poszczególnych państw kończą się tam, gdzie istnieje droga postępowania sądowo-administracyjnego, kraje Zachodu odznaczają się bowiem pełną niezawisłością sądownictwa.

O ile omówienie negatywnych przesłanek wykluczających możliwość nabycia statusu uchodźcy nie nastroża trudności, o tyle trudno odpowiedzieć na pytanie, jakie przesłanki uzasadniają

przyznanie statusu uchodźcy, każda bowiem sprawa ma swój indywidualny aspekt. Ogólnie sprawę ujmując można powiedzieć, że w razie wykazania własnego konkretnego prześladowania w przeszłości, np. w razie wyroku skazującego w sprawie politycznej lub w razie wykazania jakichś ujemnych wypowiedzi politycznych na miejscu na Zachodzie pod adresem reżymu w kraju ojczystym, co już znalazło jakiś szerszy oddźwięk w pewnych kołach na Zachodzie i mogło dojść do wiadomości władz tego kraju — zachodzą wymogi z art. 1 konwencji. Warto w tym miejscu podkreślić, że w razie wyjazdu na Zachód wskazane jest złożyć podanie o status uchodźcy w pierwszym kraju zachodnim w którym się przebywa na podstawie wizy pobytowej, następny kraj może bowiem uznać się niekompetentnym i stanąć na stanowisku, iż obawa powrotu do kraju ojczystego winna była zaistnieć od pierwszej chwili znalezienia się na Zachodzie. Należy również podkreślić, iż wskazane jest złożenie podania o status uchodźcy najpóźniej przed końcem wygaśnięcia paszportu, przedłużenie go bowiem w konsulacie kraju ojczystego przemawia przeciwko istnieniu przesłanek z art. 1 konwencji. Ostatnio niektóre kraje Zachodu idą tak daleko, że szanse uwzględnienia mają tylko podania złożone natychmiast, najdalej nazajutrz po przyjeździe petenta. W ciągu ostatnich lat nastawienie władz Zachodu wobec proszących o przyznanie im statusu uchodźcy politycznego jest coraz bardziej rygorystyczne, na co wpływa z jednej strony duża liczba proszących o azyl, z drugiej strony trudności gospodarcze i bezrobocie w krajach przyszłego osiedlenia się. Liberalizm Zachodu w tych sprawach pozostaje bez zmian ale jest ściśle ograniczony w stosunku do osób, które spełniają warunki wymagane przez Konwencję do otrzymania statusu uchodźcy politycznego. Najbardziej negatywną przesłanką przemawiającą przeciw przyznaniu statusu uchodźcy jest brak wymogów z art. 1 Konwencji, wskazane więc jest by o azyl starały się jedynie osoby, które mają ku temu konkretne powody i mogą słuszność swych twierdzeń uprawdopodobnić wobec władz kraju w którym proszą o przyznanie azylu.

Stosunek państw Zachodu do zagadnienia uchodźców z Europy Środkowo-Wschodniej może wywołać różne krytyczne zastrzeżenia zwłaszcza w oczach rozczarowanych i rozczulonych osób, którym odmówiono przyznania statusu uchodźców lub które mają szczególnie ciężkie warunki materialne na Zachodzie. Liberalizm Zachodu, tak charakterystyczny dla jego kultury, przejawia się jednakże w tym, iż mimo odmowy przyznania statusu uchodźcy i związanych z tym ujemnych konsekwencji jak mniejsza opieka ze strony państwa, przymusowe prawo pobytu w określonej miejscowości, trudności z prawem pracy — żadne państwo zachodnie nie wydało cudzoziemca do jego kraju ojczystego, z którym zerwał, jeżeli powołuje się na przesłanki polityczne — wyjątek stanowią jedynie drastyczne przypadki niewłaściwej postawy tegoż cudzoziemca w stosunku do kraju osiedlenia się. Szacunek dla decyzji jednostki, która na to zasługuje, i jej postawy, jest cechą

dobrych obyczajów na Zachodzie. Natomiast osoby, nie mające danych do otrzymania azylu, oraz takie które nie mogą podać żadnych wiarygodnych powodów natury politycznej, dla których nie chcą wrócić do kraju swego pochodzenia, muszą się liczyć z tym, że mogą być po upływie okresu ważności wizy wydalone do kraju swego pochodzenia, chyba że uzyskają pracę bez statusu uchodźcy i związane z tym prawo pobytu. Pamiętać należy, że każdy kraj ma swoistą praktykę w tej dziedzinie i że każda sprawa ma swój indywidualny aspekt, ciężkie zaś warunki materialne na Zachodzie są górką ceną jaką płaci się za wolność polityczną. Kto dla jej osiągnięcia pozostał na Zachodzie nie powinien po latach jeździć w charakterze turysty do swego kraju ojczystego, może to bowiem pociągnąć za sobą odebranie statusu uchodźcy nie mówiąc już o tym, iż moralnie zainteresowany pozbawia sam siebie cechy emigranta politycznego. Należy w tym miejscu nadmienić, że z punktu widzenia prawa PRL uchodźca polityczny pozostaje nadal obywatelem polskim. Co więcej — z punktu widzenia prawa polskiego zachowuje on obywatelstwo polskie nawet w przypadku nabycia w drodze naturalizacji obywatelstwa innego państwa. Nie można rzec się jednostronnie obywatelstwa polskiego — zrzeczenie nabywa bowiem mocy prawnej jedynie w razie wyrażenia zgody na to przez Radę Państwa PRL.

Niektóre państwa pozaeuropejskie, zwłaszcza Dalekiego Wschodu, cechuje w stosunku do uchodźców brak należytego liberalizmu. Po upadku Wietnamu Południowego wędrowały po morzach Dalekiego Wschodu przepełnione uchodźcami barki-widma. Syjam, Filipiny, Hong-Kong i Japonia nie chciały ich przyjąć. Po zaopatrzeniu w żywność barki te musiały dalej pływać po morzu, dopóki los się nad nimi nie zlitował. Ta tragiczna gehenna uchodźców stanowi hańbę ludzkości, dowodząc absolutnej konieczności lepszego uregulowania zagadnienia uchodźców politycznych. W tym duchu zebrała się w styczniu i lutym bież. roku pod egidą ONZ-etu konferencja 85-ciu państw w Genewie. Humanitarna teza indywidualnego prawa uchodźcy politycznego do wolności w kraju przyszłego osiedlenia się stała się z tezą interesu suwerennego państwa, reprezentowaną przez blok wschodni i kraje trzeciego świata. Praktycznie konferencja nie dała żadnych wyników i problem nowego uregulowania problematyki uległ odroczeniu na czas nieoznaczony, zapewne zajmie się nim Zgromadzenie Ogólne ONZ-etu późną jesienią bież. roku.

Godzi się nadmienić, że Wysoki Komisarz dla Uchodźców ONZ-etu zwrócił się w lipcu 1976 roku z okazji 25-tej rocznicy zawarcia Konwencji z 28 lipca 1951 roku z apelem do rządów państw-sygnatariuszy Konwencji, w którym m.in. oświadczył co następuje:

„Konwencja z 1951 roku stała się z biegiem czasu uznaną podstawą traktowania uchodźców w wielu częściach świata w krajach gospodarczo i społecznie wysoko rozwiniętych. Istnieją jednak uzasadnione powody ku temu, by Konwencja znalazła jak naj-

szersze poparcie całej wspólnoty międzynarodowej, stanowi ona bowiem potwierdzenie podstawowych ogólnoludzkich zasad, które winny wszędzie i zawsze znaleźć zastosowanie. Konwencja wiąże wszystkich sygnatariuszy we wspólnym systemie międzynarodowo uznanych regulacji. Oczywiście jest rzeczą ważną, aby państwa, które do Konwencji przystąpiły, respektowały jej przepisy. Ponieważ ponoszę odpowiedzialność za nadzór nad stosowaniem postanowień Konwencji, jestem w pełni świadom tego, że stosowanie jej przepisów przez niektóre z państw sygnatariuszy pozostawia wiele do życzenia; jest to jednak winą odnośnych rządów a nie samej Konwencji".

Można jedynie wyrazić życzenie, by Wysokiemu Komisarzowi ONZ-etu, jako organowi koordynującemu stosowanie Konwencji przez ogół państw które ją podpisały, udało się jak najszybciej doprowadzić do jej powszechnego stosowania w duchu liberalizmu i pełnego respektowania praw uchodźców politycznych w krajach ich osiedlenia. Tylko pełna realizacja tych praw w skali światowej i całkowita integracja uchodźców w nowe społeczeństwo może spełnić ludzkie zadanie stworzenia uchodźcom normalnych warunków bytowania w wybranym przez nich kraju osiedlenia. W tej chwili jednakże jest to postulat w skali uniwersalnej daleki od osiągnięcia. Dopóki świat nie zdobędzie się na nowe uregulowanie problematyki uchodźczej podstawą prawną zagadnienia uchodźców pozostaje nadal Konwencja z 1951 roku.

Ludwik FREN DL

Wakacyjne prace studentów polskich w Szwecji

Szwedzki Urząd Imigracyjny w porozumieniu z Urzędem Pracy (AMS) postanowił zaprzestać wydawania generalnych zezwoleń pracy cudzoziemskim studentom w okresie letnim. Według *Dagens Nyheter* powodem tego zarządzenia są trudności powstające na szwedzkim rynku pracy dla młodzieży szwedzkiej. Poza tym Szwecja miała specjalne problemy ze studentami z Polski. Z 17 tysięcy studentów, przybyłych tu latem ubiegłego roku w celu znalezienia pracy wakacyjnej, ponad 9.000 było z Polski. Do tak wielkiego napływu studentów z Polski przyczyniło się zniesienie wiz między Polską a Szwecją. Dotychczas studenci mogli pracować w Szwecji w okresie od 15 maja do 15 października. Według informacji p. Björn Weibo z Urzędu Imigracyjnego, wielu młodych Polaków pozostało w Szwecji ponad ten okres i przekroczyło termin przewidziany w paszporcie polskim. Po wygaśnięciu zezwolenia polskiego na pobyt za granicą składali podania o azyl polityczny,

twierdząc że ryzykują w Polsce karę za przekroczenie okresu pobytu za granicą. „Władze polskie — ciągnął dalej p. Weibo — 'stuliły uszy' i twierdzą, że Szwecja powinna bardziej ograniczać zezwolenia na przyjazd i pobyt w Szwecji. AMS liczy się z koniecznością stworzenia tego lata specjalnych nadzwyczajnych prac dla młodzieży szwedzkiej celem zwalczania bezrobocia, a zatem nie byłoby sprawiedliwe stwarzanie konkurencji dla naszej szwedzkiej młodzieży". Studenci — o ile nie będą mogli wykazać się szwedzkim zezwoleniem na pracę, uzyskanym normalną drogą poprzez konsulaty szwedzkie — nie otrzymają zezwolenia na pobyt i pracę. O ile studenci ci nie będą w posiadaniu biletu powrotnego i pewnej sumy pieniędzy na pobyt w Szwecji — zostaną odesłani już od granicy. Według naszych informacji policja szwedzka już obecnie przeprowadza kontrole na lotniskach i punktach granicznych.

Władze szwedzkie tłumaczą ostatnie zastrzeżenia tym, że Szwecja jest jednym z nielicznych jeszcze krajów, stosującym tak liberalną politykę wobec cudzoziemców na rynku pracy. Tak np. studenci z krajów Wspólnoty Europejskiej mogli bez ograniczeń przyjeżdżać do Szwecji i szukać pracy w okresie wakacyjnym, podczas gdy studenci szwedzcy nie korzystali z tych samych ułatwień w krajach W.E. Urząd Imigracyjny nosi się także z zamiarem przedstawienia rządowi projektu rozporządzenia, kasującego dotychczasową nieograniczoną wolność dla obcych studentów zapisywania się na uniwersytety szwedzkie. Będą wprowadzone ograniczenia na niektórych wydziałach.

Norbert ŻABA

Rada Naczelna Koła A.K.

W dniu 5 marca br. odbyło się w Londynie plenarne zebranie Rady Naczelnej Koła A.K. Składa się ona z 37 członków.

Na porządku dziennym było sprawozdanie z działalności zarządu Koła i referat Andrzeja Pomiana na temat sytuacji w kraju po wydarzeniach w Radomiu i Ursusie w czerwcu 1976 roku.

Najważniejszym jednak problemem, który zaabsorbował uwagę Rady, było ponowne rozpatrzenie przez nią sprawy Okręgu Amerykańskiego Koła A.K. Od 25 lat istniał Okręg A.K. w Stanach Zjednoczonych, którego władze były w rękach Stronnictwa Narodowego, czyli dawnych członków NSZ i N.O.W. (Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowej Organizacji Wojskowej). W roku 1975 miało się odbyć walne zgromadzenie Okręgu, które miało dokonać wyboru nowych władz.

Prezesem Okręgu Amerykańskiego A.K. był dotąd Stanisław Rzetelski, aktywny działacz S.N., który, obawiając się utraty swej pozycji nie zwolywał walnego zjazdu organizacji, mimo nalegań jej członków. W końcu Zarząd Główny Koła A.K. w Londynie, stanowiący zarząd światowy, zwołał nadzwyczajne zgromadzenie Okręgu do Chicago w dniach 4-5 września 1976, tj. po rocznym wyczekiwaniu na decyzję prezesa Okręgu. Na zjazd ten wydelegowany został z Londynu prezes Zarządu Głównego Koła A.K., Michał Mandziara. Na zgromadzeniu wybrano nowe władze Okręgu z dr. Janem Morelewskim jako prezesem Zarządu Okręgu Amerykańskiego, ale na zgromadzenie

to, statutowo zwołane, nie zjawił się ustępujący Zarząd Okręgu z Stanisławem Rzetelskim na czele, który zjazd po prostu zbojkotował. Po zjeździe nie podporządkował się ani decyzjom zjazdu, ani instrukcjom Zarządu Głównego Koła A.K. w Londynie. Zakwestionował natomiast prawomocność zjazdu i odwołał się do władz głównych Koła A.K. w Londynie o unieważnienie nadzwyczajnego walnego zgromadzenia w Chicago i potwierdzenie jego dotychczasowej władzy w Okręgu. W następnym swym piśmie do władz głównych w Londynie zażądał rozwiązania Okręgu Amerykańskiego.

Rada A.K. na posiedzeniu w październiku 1976 na wniosek jej przewodniczącego, Tadeusza Żenczykowskiego, unieważniła walne zgromadzenie w Chicago, mimo udziału w nim prezesa zarządu głównego Koła A.K., M. Mandziara, a następnie rozwiązała Okręg Amerykański A.K.

Wobec takiej uchwały, dezawuuującej prezesa M. Mandziara, Zarząd Główny odmówił pełnienia dalszych swych funkcji, w związku z czym na następną kadencję wybrano na tym posiedzeniu Rady nowy Zarząd z prezesem Stanisławem Przebój-Stawickim na czele.

Te decyzje Rady, wywołały ostry sprzeciw wielu środowisk AK'owskich w Ameryce, Kanadzie, we Francji i w Anglii, które zażądały następnego posiedzenia Rady dla ponownego rozpatrzenia tej sprawy.

Rada Naczelna na posiedzeniu w dniu 5 marca 1977 roku stwierdziła, że poprzednie decyzje zapadły na skutek braku dostatecznych informacji z terenu amerykańskiego, wobec tego postanowiła unieważnić uprzednie uchwały Rady, uznać prawomocność walnego zgromadzenia Okręgu Amerykańskiego w Chicago i wybrane na nim władze, z dr. Janem Morelewskim jako prezesem. Ponadto postanowiła w dalszym ciągu utrzymać Okręg A.K. w Ameryce oraz powołać komisję Rady, która zbada całokształt sprawy.

P. Tadeusz Żenczykowski, odpowiedzialny za uprzednie decyzje Rady, sprowadził z USA St. Rzetelskiego i A. Pomiana wraz z dodatkowymi mandatami do głosowania (można bowiem na Radzie głosować na podstawie delegacji nieobecnych członków Rady). Niemniej grupa jego znalazła się w mniejszości.

Na zebraniu zdarzył się znamieny incydent. Oto p. Paweł Hęciak, jeden z wiceprzewodniczących Rady, oświadczył w swym przemówieniu, iż władze Stronnictwa Narodowego zażądały od niego, aby popierał sprawę St. Rzetelskiego i głosował zgodnie z nim i p. T. Żenczykowskim, w przeciwnym razie zostanie oddany pod sąd partyjny stronnictwa. Temu nakazowi p. Hęciak nie miał zamiaru się podporządkować, uważając go za niedopuszczalny, i oświadczył, że będzie głosował zgodnie ze swoim sumieniem i rozumieniem interesów Koła A.K.

P. Tadeusz Żenczykowski podał się do dymisji jako przewodniczący Rady, wobec czego pełnienie jego obowiązków podjęła p. Janina Konopacka, dotychczasowa wiceprzewodnicząca Rady. Również do dymisji podał się dotychczasowy Zarząd Główny Koła A.K., którego prezesem był p. St. Przebój-Stawicki.

Zarysy sojuszu pewnych działaczy A.K. ze Stronnictwem Narodowym objawiły się już na światowym zjeździe Koła A.K. w Londynie w maju 1974.

Kronika kulturalna

Wspomnienie o moim ojcu

Dla wszystkich innych pozostanie on Profesorem, czy autorem setek prac z historii literatury polskiej i podręczników, na których zdążyły już uczyć się pokolenia, dla mnie tylko — ojcem. Toteż gdy inni próbują i próbować będą ocenić jego dzieło i komentować imponującą bibliografię moim jest celem utrwalenie jego pamięci, jego niepowtarzalnego stylu, niezapomnianej sylwetki i dobrego uśmiechu, kilku choćby jego trudnych i radosnych chwil. Przywołać pamięcią i utrwalić takim jakim go znałem.

Nie chcę pisać jego biografii, ani tej olśniewającej, naukowej, ani tym bardziej prywatnej, ludzkiej. Zbyt wiele trudnych spraw trzeba by było poruszyć i odpowiedzieć na zbyt wiele niewyjaśnionych pytań. Nie czułbym się zresztą na siłach — spędziłem z nim razem zaledwie rok pod jednym dachem, zaledwie dziesięć lat mego dorosłego życia pod wspólnym warszawskim niebem. Pozostałe lat czterdzieści byliśmy zawsze daleko od siebie, widując się zaledwie po parę tygodni w roku, czasem zaś całymi latami nie mogąc się spotkać i tylko pisując do siebie wzajemnie, w pewnych okresach rzadziej, w pewnych często i gorąco. A może taki właśnie układ daje mi perspektywę konieczną dla przywołania jego postaci? Dla innych pozostanie w pamięci Profesorem, dla mnie przecież — ojcem.

Listów były tysiące, pamiętam je od najwcześniejszego dzieciństwa. Gdy przez cztery lata wykładał w Londynie literaturę polską pisywał do mnie, czteroletniego wówczas malca, niemal codziennie. Ale nie były to listy zwyczajne. Z każdej koperty wypadały dwie lub trzy karty z widokami miasta, a gdy matka skończyła czytanie dobrych i zawsze pogodnych słów pisanych jego niepowtarzalnym, drobnym ale czytelnym jak drukarska kur-

sywa pismem, skrzętnie chowałem karty do wielkiego pudła. I raz na parę dni rozkładałem je długimi rzędami „budując mój Londyn”, wędrowałem szerokimi bulwarami nad Tamizą, podziwiałem kolorowych gwardzistów i smutnie uśmiechniętego Księcia Walii w coraz to inny przybranego mundur. Uczyłem się tego miasta na pamięć, mając siedem czy osiem lat czułem się równie swobodnie pod kopułą św. Pawła jak w Hyde Parku, przed królewskim pałacem równie bezpiecznie jak na zapelnionych piętrowymi autobusami ulicach metropolii, w której nigdy jeszcze nie byłem. Toteż gdy później, po wielu, wielu latach istotnie znalazłem się w Londynie odczułem to jak powrót do bezpiecznego domu dzieciństwa. Obwożąc moich własnych synów po tak dobrze znanych zabytkach odnajdywałem znajome ulice i widoki, wracałem jak bezcenne dziedzictwo przekazane przeżyciami mego ojca. Dla moich synów wszystko tu było odkryciem, dla mnie powrotem do jego młodości.

A potem ojciec przeniósł się do Rygi, której smukłe wieże i odbite w chłodnym morzu kopuły nie potrafiły już rozpalic chłopięcej wyobraźni. Stanąwszy po wielu latach na przeciwnym brzegu Bałtyku próbowałem z perspektywy Helsinek przywołać wizję łotewskiej stolicy, ale była zbyt słaba, nie utrwalona pamięcią. Zresztą ojciec był już wtedy bliżej i częściej niż dawniej przyjeżdżał na święta i wakacje. Pasjonowałem się wtedy lotnictwem i zazdrościłem mu lotów trzymotorowym Fokkerem bardziej niż pobytu w chłodnym północnym mieście. Dopiero w tym okresie zaczęliśmy się lepiej poznawać. Spędzałem z nim prawie każde letnie a potem także i zimowe wakacje w Zakopanem, wspólnie przemierzaliśmy tatrzańskie ścieżki zgarbieni pod ciężarem plecaków czy przeczekujący nagły deszcz w zaciszu górskiej koliby. Ojciec nigdy nie uprawiał sportów i na moje pierwsze narciarskie, jak je nazywał, wyczyny patrzył najczęściej spod włochatej baranicy czy z okien pensjonatowej werandy. Ale latem wędrował, wędrował odważnie, uparcie i wytrwale, prowadził na Orlą Perć, na Rysy i na czeską stronę aż pod Hawrań i Murań, uczył znoszenia wysiłków i trudów, odkrywania nie tylko piękna Tatr ale szczęścia upartego dążenia do trudnego celu. Był w wyprawach tych równie staranny i metodyczny jak w swej pracy naukowej, nie znośił połowiczności czy niechlujstwa. Kiedyś, gdy gotując na postoju wodę wywróciliśmy wraz z siostrą spirytusową maszynkę, nie oszczędził nam jednego ze swych dosadnych powiedzeń: „Tacy z was kucharze — mruknął — jak z koziej dupy trąba”.

Lubił rubaszość i obficie czerpał ze swych ludoznawczych zbiorów, nigdy jednak nie był ordynarny, a jeśli użył mocnego słowa zawsze umiał złagodzić je humorystycznym kontekstem.

Raz słyszałem jak skłął zgola po żołniersku furmana, który w czymś-tam zawinił wioząc nas mglistym świtem do dziadków w podgórskim Bukowsku, byłem jednak zbyt mały, by ocenić kunszt wielominutowego przemówienia, na które pocziwy chłopiek zareagował pokornym zdjęciem czapki. Lepiej w pamięci zostały ojcowskie przyspiewki z czasów turystycznych wypraw, a niejedna piosenka z jego młodzieńczego repertuaru brzmi mi w uszach do dzisiaj, często dając najtrafniejszą odpowiedź na różne życiowe problemy. Gdy tuż po wojnie znalazłem się za drutami sowieckiego obozu i wraz z kolegami wspominać nam przyszło okupacyjne „wyczyny” naszej AK-owskiej gromady — a byli w niej zarówno bohaterowie prawdziwi jak i tacy, którzy bohaterami we własnej tylko zostać chcieli legendzie — ironicznym komentarzem powracała ojcowska przyspiewka:

*Ej, synku, lepiej było,
Ej, lepiej ci w chatupie,
A wszystkie te medale
Powieś se na... czole.*

Ale na razie śpiewki ojca rozbrzmiewały tylko w Wysokich Tatrach i przy kawiarnianym stoliku w zakopiańskim „Małym Gaju”, gdzie zacna kompania zbierała się na przedpołudniową kawę. Lizałem swoje lody i chłonałem opowieści gawędziarzy tak przednich jak Jan Stanisław Bystron, który nie zawahał się umieścić swej zniekształconej krzywym zwierciadłem fotografii na okładce swojego studium o komiżmie, czy ulubiony autor mego dzieciństwa Kornel Makuszyński; podziwiałem szlachetną siwiznę Konrada Górskiego i spokojną urodę Janiny Saloni, podkładałem lornetkę generałowi Kukielowi mocno w duchu zawiedziony, iż była to jedyna widoma oznaka jego wojskowości, uczyłem się od Juliusza Zborowskiego góralskiej gwary i powoli nasiąkałem tą niepowtarzalną atmosferą grupy ludzi, jak by się to dziś powiedziało, całkowicie zrelaksowanych, umiających cieszyć się życiem i wzajemnym swoim towarzystwem. Myślę, że spadek tych lat pozostanie we mnie na zawsze.

Brakło mi tej swobodnej atmosfery w domu Stanisława Kota, gdzie przemieszani za stołem przybysze z nizin i góralscy działacze ludowi żywo przypominali sceny z czytanego właśnie w szkole „Wesela”. Tylko ojciec mój nie dawał się wciągać w gorące dyskusje i zadziwiał towarzystwo ilością zjadanych knedli ze śliwkami (jako że pestek nie dawało się ukryć), jak zwykle nieco sceptyczny i sprawom polityki obojętny. Zdawało się, że spoglądał na sprawy te ze stanowiska historyka, który ocenę bieżących wydarzeń i działających postaci pozostawiał osądowi następnych

stuleci, zbyt wiele bowiem wzlotów i upadków przestudiował by pozwolić się wciągnąć emocjom bądź co bądź przemijającym. Raz tylko, gdy zimą trzydziestego ósmego roku przyniosłem w wyniku młodzieńczego rozpolitykowania pierwszą w życiu „dwóję” na licealnym świadectwie rzecz całą najpierw taktownie przez całe zimowe wakacje przemilczał, a dopiero żegnając się ze mną na warszawskim Dworcu Głównym zapytał na pozór obojętnie:

— Czy pamiętasz, kto był następcą Władysława IV-go?

Nie wiedziałem. Ucisnął mnie przy wsadzaniu do wagonu i spokojnie dodał:

— Myślę, że raczej warto interesować się tym właśnie, a nie pytaniem, kto będzie następcą Mościckiego...

Zaden z nas nie mógł wtedy przewidzieć, że w rok później, przy następnym naszym spotkaniu Dworzec Główny zamieni się w koszmarną ruinę, a sprawa następstwa po Mościckim zostanie rozstrzygnięta tak bezwzględnie i bez naszego w niej udziału.

W polityce bowiem ojciec mój był legalistą, tradycję tę wyniósłszy bodaj z austriackiej szkoły. I choć żywo zaangażowany być musiał w pracy POW, o czym zresztą mówić nie lubił, lata Pierwszej Wojny Światowej spędzone na dalekiej Syberii, pod „niezwalczonymi sztandarami” dywizji generała Czuma raz chyba na zawsze wyleczyły go z aktywnego zaangażowania w politykę. Zbyt wiele musiał tam widzieć, zbyt wiele gorzkich przejść rozczarowań. Z wojny tej przywiózł potężną skrzynię po artyleryjskich pociskach, przez wiele późniejszych lat służącą jako podręczny składzik węgla, swoje sceptycznie-drwiące piosenki i parę grubych zeszytów wspomnień, których opublikować nie chciał ze względu na ciągle jeszcze żyjących głównych bohaterów tamtych lat. I jeszcze jedno: solidną znajomość angielskiego nabytą w leśnej głuszy od Romana Dyboskiego, z którym, jak później napisał, bywał „na wozie i pod wozem”. Przywiózł też z Chin młodziutką żonę, zagnaną losami z Lublina do Charbina, a gdy po okrążeniu połowy świata osiadł w Lublinie i doczekał się syna, dał mi na chrzcie drugie imię na pamiątkę wiernego przyjaciela z czasów uniwersyteckich, autora właśnie wydanych „Siedmiu lat w Rosji i na Syberii”. W parę lat później pojawił się w mej dziecięcej bibliotece opasły tom „Przygód młodego żeglarsza” Marryata z serdeczną dedykacją wielkiego anglisty, a książka ta wraz z pełnym wydaniem pism Conrada, na którym ojciec doskonalił swój angielski, towarzyszyła mi wiernie aż do wojny, nowej wojny, mojego tym razem pokolenia. Gdy w czasie okupacji spotykaliśmy się z ojcem raz i drugi, wspominaliśmy te książki spalone na Sewerynowie w 39 roku i obiecywaliśmy

sobie zdobyć je po wojnie, odbudować mieszkanie i księgozbiór. Dziś to samo wydanie Conrada stoi na mojej półce w Columbus, Ohio — tyle, że nie ma już ani Dyboskiego, ani mego ojca, który mnie do Conrada zaprowadził.

„Dopóki statek nie na dnie — będę wam kucharzył...”. Ten motyw „Murzyna z załogi Narcyza” musiał dźwięczeć nie tylko w moich wspomnieniach dzieciństwa. Gdy w pierwszych latach okupacji ojcu memu parokrotnie proponowano możliwość wyjazdu z kraju, kontakty bowiem z Delegaturą Rządu miał stałe i mocne, przecząco kręcił głową i „kucharzył” po swojemu, najpierw małej grupce swych studentów a potem coraz szerzej się rozwijającej podziemnej polonistyce warszawskiej. Początkowo w gościnnych ścianach willi Dygatów na Langiewicza, potem w profesorskim domu na Brzozowej gromadził wszystkich tych Borowskich, Gajcych i Trzebińskich mojej generacji i wiódł ich przez zaczarowane strofy „Króla Ducha” dopóki dachu nad głową starczyło. Ale nigdy nie uważał się za bohatera. Kiedyś, już po wojnie, opowiadałem mu o spotkaniu w podmoskiewskim obozie z jakimś wysokim dygnitarzem warszawskiego Gestapo („sojusznicy” bowiem, jak ze złośliwą satysfakcją zwykli ich nazywać Reymont, nie zawahali się trzymać żołnierzy AK z najgorszą hitlerowską hołotą), który na widok mego polskiego munduru przechwalać się zaczął jak to na Brzozowej właśnie wypędzał mieszkańców z domów aby nie mogli z okien śledzić pogrzebowego korowodu Kutschery. Ojciec mój skwitował cały incydent krótkim: „A tak, pamiętam, ukradł wtedy Irenie najlepszą parę pończoch”. I to było bodaj wszystko co od niego o pięciu latach okupacji słyszałem.

Równie rzadko mówił o powstaniu, o tym, jak rannego przywieziono go do pękającej w szwach willi Antoniewiczów w Milanówku. Raz tylko, gdy później i nas z żoną dom ten najgościnniej przygarnął za jego zresztą wstawiennictwem, wszedłszy do naszego pokoju rozejrzał się i stwierdził, że jesienią 44-go leżało tu pokotem więcej przedstawicieli nauki polskiej niż potem miało się ich znaleźć pod iglicą Pałacu Kultury. I znów, to było chyba wszystko o całej powstańczej odysei. A potem jakoś się już o niej po prostu nie mówiło.

Mówiło się natomiast bardzo wiele o tym ile trzeba odrobić, odtworzyć, odbudować. Jesienią 1947 roku przechodziliśmy obok pomnika Kopernika, obsypani ceglanym pyłem i wapnem z murów Pałacu Staszica, którego odbudowie ojciec poświęcił całą swą niespożytą energię. Wskazując na potężną dziurę poniżej pleców wielkiego astronoma uśmiechnął się niewesoło:

— Oto symbol nauki polskiej. Nawet Kopernik chodzi w dziurawym ubraniu.

Był zaferowany i zmęczony, sprawy Towarzystwa Naukowego Warszawskiego nie szły dobrze, potrzebny był ktoś, kto energicznie i sprawnie pokierowałby robotą administracyjną i odciążył Sekretarza Generalnego od drobnych, codziennych kłopotów.

— Czy nie znasz kogoś takiego? — spytał. — Może któregoś z twych kolegów?

Obiecałem poszukać. Wracali właśnie z rosyjskich obozów starzy kompani partyzanckich szlaków, kręcili się po Warszawie rozglądając za jakimkolwiek zahaczeniem po ośmiu latach walki i niewoli. Na dalekiej Pradze, wśród płataniny kolejowych bocznic odszukałem Staszka Łokuciewskiego, dwumetrowego dryblasza, jak z zaciśniętymi szczękami szuflował węgiel. Ledwie się nieco obmył stanął przed moim ojcem i zameldował się z fasonem. Rozmowa nie trwała dłużej niż pięć minut i tak oto bohaterki kapitan „Mały” rozpoczął cywilne życie pod komendą mego ojca. Chciał pracować, był uczciwy, szanował dyscyplinę — czyż trzeba było innych rekomendacji?

Miał bowiem ojciec mój ogromne do ludzi zaufanie i umiał oceniać człowieka na pierwsze spojrzenie. Starał się pomagać każdemu, kto na pomoc zasługiwał, nie tylko asystentom i studentom, którzy najmniejszą nawet chęcią do pracy umieli się wykazać, ale również ludziom spoza uniwersyteckiego kręgu, drukarzom, woźnym, kierowcom, zdobywał dla nich mieszkania w najtrudniejszym powojennym okresie, zapewniał unrowskie „ciuchy” i dodatkowe zarobki. We wszystkich, z kimkolwiek się stykał cenił nade wszystko „dobrą robotę” i chyba conradowskie *well done* uważał za najwyższą pochwałę. Ale dobra robota znaczyła także robotę uczciwą, pozbawioną koniunkturalnych ukłonów w stronę takiej czy innej władzy, zwłaszcza w dziedzinie nauki. Nie znosił natomiast unikania odpowiedzialności, migania się i lenistwa. Tadeusz Borowski szybko rozstać się musiał z zaciszną przystanią biblioteki Korbutianum, gdy okazało się, że w innym kierunku; nie zagrzewały na studiach miejsca polonistki szukające szybkiego zamążpójścia; jeden po drugim odpadali asystenci. Potrafił też, gdy zechciał, okazać się bynajmniej nie słodki, a jego ulubione „stary bałwan” wyszczazane przez zaciśnięte zęby brzmiało wtedy zgola złowieszco. Długo krążyły i krążyć zapewne będą po Warszawie anegdota o jego wystąpieniach na naukowych zjazdach i konferencjach, gdy wzięwszy na kiel czyjaś niekompetencję czy nieuctwo — te bowiem uważał za grzechy główne — ironią i zgryźliwym żartem potrafił zniszczyć niefortunnego adwersarza na długie lata. Surowy wobec innych swej własnej pracy nałożył podobne rygory i nie ustępował łatwo, nawet pod najsilniejszym naciskiem.

Ta umiejętność utrzymania się „na własnym szanću”, jak nazwał ją Czesław Hernas w pięknym pośmiertnym esejumieszczonym w warszawskiej *Kulturze*, zjednała mu więcej przyjaciół niż wrogów zwłaszcza w okresie najniższego upadku polonistyki w latach 1949-55. Nie wiem, jakim cudem udało się ojcu namówić PIW na podjęcie pierwszego powojennego wydania „Historii literatury polskiej”, której cały pierwszy nakład spłonął we wrześniu 1939 roku. Faktem jest, że „druk ukończono w listopadzie 1953 roku”, jak głosi wydawnicza metryczka, i że 50 tysięcy egzemplarzy książki nieskażonej ogólnie wtedy panującym fałszem poszło między spragnionych uczciwego słowa czytelników. Na oficjalną reakcję nie trzeba było długo czekać, i to nie z byle-kąd, ale z samego KC partii. Rzekomo „miażdżąca” recenzja dwóch domorośłych literaturoznawców przyczyniła książkę więcej reklamy niż zrobić by to mogły suche pochwały. Ojciec po swoim kiwał głową i nie odpowiadał. „Teraz pewnie zrozumiesz — powiedział mi — znaczenie amerykańskiego terminu *best-seller*...”. Istotnie, książka szła w księgarniach jak bystra woda, nic nie mogło powstrzymać jej zasłużonej popularności, potwierdzonej następnymi wydaniem w latach późniejszych.

Była to przecież jedna tylko z niezliczonych potyczek z „bałwanami”, którzy w parę lat później z pokorą odwoływali swoje kalumnie. Nie miał do nich żalu, podobnie jak nie miał żalu do historii, która ślepo i bez wyboru zmiatała dobrych i złych, mądrych i głupich, wierzył bowiem, że tylko historia w ostatecznym rozrachunku potrafi dać właściwą i sprawiedliwą ocenę ich działalności. Nie było w tej postawie fatalizmu, jedynie optymistyczna wiara w zwycięstwo sprawiedliwości, choćby spóźnionej. Tym też tylko wytłumaczyć mogę jego niechęć do angażowania się w sprawy publiczne, nie związane bezpośrednio z pracą naukową. Wyniósłszy zapewne z młodzieńczych doświadczeń przeświadczenie, że wszelka władza pochodzi od Boga i próżno by się jej przeciwstawiać, w każdej sytuacji politycznej starał się znaleźć cechy pozytywne wierząc, że prędzej czy później historia wyrówna niesprawiedliwość i błędy. Gdy po marcowym pogrzebie Bieruta wpadłem na Wilczą by ogrzać się trochę po przymusowym wielogodzinnym marznieniu na trasie konduktu, poczęstował mnie kieliszkiem któregoś ze swych sławnych nalewek i spokojnie wysłuchał mego wybuchu oburzenia na barbarzyństwo azjatyckiej ceremonii. „A jednak — powiedział zwolna — to był wybitny człowiek. Odbudował Warszawę i tym jednym zrobił bodaj więcej, niż potrafimy to obecnie ocenić”. Po latach dopiero, gdy entuzjazm pierwszych lat odbudowy ustąpił pozbawionej wszelkiej nadziei szarzyźnie i borykaniu się w coraz to bardziej zacieśniającej się pętli kontroli wszelkich swobód, ojciec

mój nie zawahał się podpisać słynnego „listu 34-ch” i coraz głośniej wyrażać począł swoje wątpliwości. Sądzę, że tylko wiek powstrzymać go musiał od większej aktywności w tych sprawach pod koniec życia.

Ale wiek zdawał się nie dotykać go przez długie lata. Nieustannie zajęty, pełen energii i po coraz to nowe sięgający dziedziny w swych rozlicznych pracach, niewiele się zmieniał zewnętrznie. I raz tylko boleśnie zdałem sobie sprawę, że nie jest wiecznie młody. Kiedy to „złotą jesienią roku 1939 wlokło się piaszczystymi bezdrożami podlaskimi w kierunku na Lublin kilku wymizierowanych uczonych polskich”, jak pisał w jednym z nielicznych osobistych wspomnień ogłoszonych tuż po wojnie, szlak wędrowców zakończył się u drzwi domu mojej matki. Nad ranem zakołatał do drzwi wyrывая mnie z niespokojnego snu. I wtedy, gdy niespodziewanie pochylił się nade mną, tak dobrze znany i najbliższy, mimo że miałem już siedemnaście lat i niejedno w ciągu ostatnich tygodni widziałem, wybuchnąłem płaczem po raz pierwszy od długiego czasu, stał bowiem przede mną człowiek stary, zmieniony do niepoznania długą, siwą brodą... Ale nazajutrz już, gładko jak zwykle ogolony, siedział przy szpitalnym łóżku Kazimierza Piekarskiego i dobrotliwie pokpiwał z niefortunnego towarzysza wędrowki, okazało się bowiem, że u kresu marszu, na zaciemnionych ulicach Lublina uczony bibliograf złamał nogę wpadłszy do dołu, w którym leżał... niewypał lotniczej bomby. Epizod lubelski nie trwał długo i gdy tylko nadarzyła się pierwsza okazja ojciec pociągnął do Warszawy, gdzie wśród ruin dogorywały szczątki jego wieloletnich zbiorów i prac. Ale ani straty wrześniowe, ani powtórny cios sierpnia 44 nie odebrały mu otuchy ani nie pozbawiły młodzieńczej zaiste energii. Gdy w 1957 roku otrzymał ofertę gościnnych wykładów na Columbii sześćdziesięciopięcioletni wówczas podróżnik nie tylko przyjął zaproszenie jako jeden z pierwszych po-październikowych przedstawicieli kraju na amerykańskim uniwersytecie, ale swój roczny pobyt w Stanach wykorzystał najpełniej, oparłszy się aż na sienkiewiczowskim szlaku nad wybrzeżem Pacyfiku. „Nigdy jeszcze — pisał z Santa Barbara — nie obchodziłem urodzin tak uroczyście, witany salwami fajerwerków z obwieszonych lampionami statków”. Przepuszczam, że ten 4 lipca trwale i ze wzruszeniem zapamiętał.

A potem było jedno jeszcze rozstanie, tym razem na długie jedenaście lat, gdy mnie z kolei żegnał na Okęciu wyprawiając na amerykańskie szlaki. Nie udały mu się dwa następne planowane przyjazdy do Stanów, toteż spotkaliśmy się dopiero w 1970 roku w Paryżu, nie wiedząc, iż będzie to już ostatnie z długiej

serii spotkań i rozstań, z jakich składało się nasze poszarpane wojnami życie. Dolatywałem nad Paryż tuż po gwałtownej burzy i białe miasto ukazało mi się z nagłą pod granatową powłoką chmur, ujęte w przezroczysty łuk symbolicznej niemal tęczy, jakby zapowiadającej szczęśliwe dwa tygodnie pogodnej jesieni. Wtedy to zaproponował mi ojciec „podróż sentymentalną” śladami swej młodości, jechaliśmy więc przez Normandię i Bretanię, wśród strzelistych murów wyspy St. Michel dziwując się wspólnej wiodocześnie Polakom i Francuzom tradycji przysłowia o „opieprzaniu kogoś jak święty Michał diabła”, czy ze wzruszeniem odnajdując w St. Malo przytulny hotel, w którym w latach dwudziestych ojciec zwykł zatrzymywać się z Bystroniem i Borowym; wśród farmerskich poletek wyszukiwaliśmy kolumny czarnych menhirów i dzień każdy kończyliśmy przy chłodnym winie w przydrożnych restauracyjkach. A w drodze powrotnej zaproponowałem zwiedzenie cmentarza żołnierzy Dywizji Pancernej pod Falaise. Mieśliśmy już za sobą podobną wizytę w Montmorency, gdzie nagrobne napisy czytało się jak otwarte karty historii, raz po raz natrafiając na jakże dobrze znane nazwiska. Tu jednak, w Normandii, nazwiska mówiły niewiele, znacznie wymowniejsze były daty urodzin i zgonów, rzadko tylko odległe od siebie o więcej niż dwadzieścia parę lat. Trwało łagodne, wrześniowe popołudnie pogodnej jesieni, słońce zniżało się nad opustoszałym cmentarzem, w powietrzu było wielkie uspokojenie i cisza. I ten właśnie moment utrwaliło ostatnie zdjęcie, jakie ze spotkania tego przywiozłem: z lekka już zgarbiony, myślą zwrócony ku przeszłości, a może także ku nieuniknionej przyszłości, wędruje ojciec mój samotnie między grobami nieznanymi chłopców, którzy podobnie jak ich pradziadowie, jak on sam, całym swoim życiem i swą wytrwałą pracą wiernie służyli Ojczyźnie.

Jerzy R. KRZYŻANOWSKI

POLSKA ŚWIATOWA KOOPERACJA INTELEKTUALNA

Polonia zagraniczna łącznie z powojenną emigracją wyłoniła w ciągu ostatniego trzydziestolecia nową warstwę społeczną, której istnienie i rozwój mogą mieć duże znaczenie dla narodu polskiego. Tworzą ją dwa co najmniej pokolenia intelektualistów pracujących naukowo i zawodowo w różnych krajach. Wchodzą oni w skład różnych społeczeństw i biorą czynny udział w ich życiu ale równocześnie zachowują większe lub mniejsze po-

czucie polskiej przynależności etnicznej. Liczba ich sięga kilkunastu tysięcy a znaczna część zajmuje poważne miejsce w świecie nauki, sztuki i różnych zawodów zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglii, Francji, Australii, wymieniając przykładowo tylko najważniejsze.

Ta awangarda kulturalna polskiej diaspory nie powinna ulec z biegiem czasu zanikowi. Interes narodowy nakazuje zapewnienie jej możliwości dalszego rozwoju i większego zespolenia. Naturalne tendencje w tym kierunku już się objawiły w postaci różnych zjazdów i kongresów, w powstaniu polskich instytutów naukowych, fundacji kulturalnych, bibliotek i muzeów, w inicjowaniu konkursów, ankiet i wspólnych wystąpień na różnych terenach i z różnych okazji.

Wydaje się, że jest już pora na bardziej planowe rozważenie warunków w których ta nowa warstwa drogą naturalną i nie narzuconą mogłaby rozszerzać swą łączność, podejmować ewentualne zadania zespołowe, przyczyniać się do wzajemnej współpracy polskich instytucji naukowych i kulturalnych w świecie i formować tą drogą tradycje tego rodzaju na dalszą metę.

Celem zapoczątkowania tej akcji Polski Instytut Naukowy w Kanadzie, opierając się również na doświadczeniach z okazji 3-go Kongresu Naukowego odbytego w Montrealu w 1975 roku, powołał specjalną Komisję polskiej kooperacji intelektualnej w świecie.

W jej imieniu zwróciłem się do szeregu polskich intelektualistów w różnych częściach świata informując ich o naszej inicjatywie i prosząc o ewentualne uwagi i sugestie. Odpowiedzi nadeszły od około połowy adresatów z terenu Ameryki, Europy i Australii.

Wszyscy odnieśli się do projektu pozytywnie i z pełną aprobatą, wielu z entuzjazmem. Wszyscy też dorzucili ze swej strony wiele interesujących komentarzy i sugestii.

Wymieniam poniżej te zalecenia, które były zawarte w większości wypowiedzi i pokrywają się z założeniami naszej koncepcji a zarazem nadają się do rozważenia w pierwszej fazie:

1. Ustalenie współpracy istniejących za granicą polskich fundacji i instytucji naukowych i kulturalnych;
2. Stworzenie ewidencji polskich intelektualistów w poszczególnych krajach i przygotowanie „*Who is who*” nauki i kultury polskiej za granicą;
3. Wydawanie biuletynu informującego o życiu polskich instytucji za granicą, o pracach i osiągnięciach naukowców polskiego pochodzenia, o książkach i wydawnictwach ukazujących się na obczyźnie;
4. Koordynacja niektórych poczynąń wydawniczych, stworzenie funduszu wydawniczego;
5. Częstsze spotkania, kongresy i zjazdy;
6. Podatek na rzecz instytucji służących zachowaniu polskiego dziedzictwa duchowego.

Jeden z korespondentów proponuje zwołanie konferencji „Polskiej kooperacji intelektualnej w świecie” w maju 1978 roku współcześnie z projektowanym zjazdem Polonii. Inny wysuwa projekt nazwy „Polska Światowa Unia Intelektualna”.

Podając powyższe do wiadomości publicznej mam nadzieję, że temat ten zainteresuje wielu czytelników, którzy zechcą dorzucić swoje ewentualne uwagi i sugestie przysyłając je pod adresem Polskiego Instytutu Naukowego w Kanadzie: *The Polish Institute of Arts and Science in Canada, 3479 Peel Street, Montreal, P.Q. Canada H3A 1W7*”.

Tadeusz BRZEZIŃSKI

Książki

Wiersze St. Barańczaka - zamiast Przedmowy

Poniższy tekst miał być przedmową do tomiku wierszy Stanisława Barańczaka pt. „Ja wiem, że to niesłuszne”*. Ponieważ ze względów technicznych nie mogliśmy go zamieścić, publikujemy go w *Kulturze*.

Redakcja

Nie jestem krytykiem literackim. Jedynym tytułem do napisania tych kilku słów jest dla mnie przyjaźń z autorem, szacunek dla jego postawy i podziw dla jego wierszy. Może i to także, że należymy do tego samego pokolenia. Nie tylko w chronologicznym rozumieniu tego słowa (obaj urodziliśmy się w 1946 roku), ale i w sensie duchowym. Dla nas obu datą przełomową był rok 1968. Należymy — wedle sformułowania Barańczaka — do „pokolenia 68”.

Dla tego pokolenia — sędzę — wiersze Stanisława Barańczaka są czymś wyjątkowym. Są zapisem naszych kłamstw i wartości, rozterek i nadziei, pasji i cierpienia. Barańczak — śladem swych świetnych poprzedników: Miłosza, Herberta czy Woroszyńskiego, a także wraz z kolegami i rówieśnikami: Krynickim czy Zagajewskim — mówi o tym, co *najważniejsze*. O zwątpieniu i porażce, o konformizmie i strachu, ale także o niezwykłej godności ludzkiej i odwadze. Kim jest zatem ten człowiek, którego wiersze bierze Czytelnik do ręki?

Stanisław Barańczak jest byłym członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Wstąpił do partii na jesieni 1966 roku, w tym samym czasie, kiedy usunięto z niej prof. Leszka Kołakowskiego. Jak wielu z nas, miał wtedy poczucie, że „mimo wszystko” jest to jedyna droga, na której można czegoś dokonać; jedyne miejsce, z którego można zwalczać zło w naszym kraju. Chciał więc w małej choćby części zapełnić miejsce opróżnione

* Biblioteka Kultury, Tom 275, str. 64, kwiecień 1977.

po Kołakowskim, wyrównać front. Wydarzenia 1968 roku wykazały, że na tej drodze — politycznej, moralnej i intelektualnej — niewiele można wskórać. Po kilku latach Barańczak wystąpił z partii.

Produktem lekcji Marca i Sierpnia 1968 roku (niechaj przekłete będą te miesiące!) był tom esejów krytycznych pt. „Nieufni i zadufani” oraz tom wierszy „Dziennik poranny”. Doskonale pamiętam szok, jakiego doznałem po przeczytaniu tych książek. Pierwszy raz ujrzałem tekst, który wyszedł spod pióra kogoś z mojego pokolenia, tekst tłumaczący że literatura winna dawać świadectwo swemu czasowi i że jest odpowiedzialna za świat. Skończyła się epoka jałowego gładzenia tzw. „młodej literatury”; epoka, w której — poza eseistyką Tomasza Burka — nie było tekstów wartych autentycznego sporu. Wreszcie ktoś podjął centralne dla nas pytanie „jak żyć?”. W ciemnej studni — bo jakże inaczej określić epokę między Marcem a Grudniem — błysnęło światelko nadziei. Pomyślałem sobie wtedy, że może to wszystko, to więzienie i poniżenie, które stało się naszym udziałem, a zwłaszcza te sześć lat pobytu moich przyjaciół w najcięższych „zakładach karnych”; że może to wszystko, zatem, nie jest jedynie moralnym gestem, który robimy wyłącznie dla samych siebie i własnego sumienia. Że ma to sens głębszy, że coś autentycznego pomogliśmy ocalić. Bowiem „ci, którzy biją czołem, będą bić w twarz” — pisał Barańczak. I dalej: „ci, co nie patrzą w oczy, będą strzelać między oczy”.

Stanisław Barańczak zawsze patrzył w oczy. Patrzył w oczy wtedy, kiedy demaskował w swojej eseistyce ukryte mechanizmy duchowego zniewolenia, kiedy obsesyjnie i klarownie ujawniał rzeczywiste sensy formuł propagandowych, deformujących niepostrzeżenie nasze myśli, kiedy piętnował duchowy konformizm u jednych i totalitarno-nacjonalistyczny frazes u innych. Patrzył w oczy, gdy bronił najistotniejszych wartości polskiej literatury i konstruował autentyczne kryteria oceny jej wartości. Patrzył w oczy broniąc w swych wierszach godności i odwagi, prawdy i uczciwości.

Nie ma w tych wierszach tonu z patriotycznych oleodruków; jest raczej przenikliwa refleksja, gorzka zaduma i pełna determinacji decyzja oświecenia mroków naszego świata, by go ukazać w okrutnym świetle rzeczywistości. Nawet za cenę uczynienia pochodni z samego siebie. Ale to jest cena, którą musi płacić polska literatura, jeśli ma nadal egzystować. To jest cena, którą musimy płacić wszyscy, jeśli nie mamy spodzić.

W przeciwieństwie do większości intelektualistów i artystów żyjących w ustroju totalitarnym, Stanisław Barańczak wyciągnął ze swego pisarstwa wszystkie moralne konsekwencje. Jego nazwisko odnaleźć można pod najważniejszymi protestami polskiej inteligencji, a także wśród członków Komitetu Obrony Robotników, być może najważniejszej instytucji jaka powstała w Polsce po 1945 roku.

Zamieszczone w niniejszym tomie wiersze należy czytać uważ-

nie. Warto, czytając, pamiętać że Sejm PRL uchwalił nową Konstytucję oraz że „trzej królowie”, którzy przyszli w odwiedziny do Leszka Dymarskiego, to po prostu trzej oficerowie Służby Bezpieczeństwa. Świat tych wierszy, to świat, w którym żyjemy *naprawdę*.

Rolę epilogu do tego tomu winien pełnić tekst wyroku Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu skazujący Stanisława Barańczaka na rok więzienia z zawieszeniem za próbę przekupienia urzędnika państwowego. Odpowiedzialne czynniki nie popisały się tym razem szczególną imaginacją; nie zadbały nawet o zachowanie pozorów.

W tzw. prasie kapitalistycznej czytamy ostatnio, że w Polsce panuje względny liberalizm. To prawda. Stanisław Barańczak, poeta, krytyk i historyk literatury, członek Komitetu Obrony Robotników i laureat nagród literackich, chluba polskiej literatury i chluba mojego pokolenia, nie został skazany ani za szpiegostwo na rzecz Japonii, ani za próbę przyłączenia Azerbejdżanu do Filipin; nawet nie za zgwałcenie nieletniej. Jedynie za próbę dania łapówki, do czego ten najuczciwszy z ludzi jest po prostu fizycznie niezdolny. Oto miara liberalizmu.

Cóż tu jeszcze napisać o poecie i przyjacielu? Może to tylko, że kiedy myślę iż nic się nie da więcej zrobić, kiedy świat jest już zupełnie pogrążony w czerni i beznadziei, kiedy gest solidarności zdaje się być tożsamy z samozagładą, to sięgam po ciemnotki tomiki Barańczaka — i czytam.

Albowiem — jak powiada Zbigniew Herbert za Henrykiem Elzenbergiem — „wartość sprawy nie tkwi w szansach jej zwycięstwa, ale w niej samej”.

Dziękuję Ci, Staszku!

Adam MICHNIK

Marzec 1977 r.

Saga ludzi cierpiących

(O PROZIE W. MAKSIMOWA)

Czwarty tom *Kratkoj literaturnoj enciklopedii*, 1967 r., (hasła Łakutin-Muranowo) zawiera o Maksymowie garść następujących informacji:

Maksimow, Władimir Emel'janowicz (ur. 9. XII. 1932) jest rosyjskim pisarzem sowieckim, który wychowywał się w poprawczych domach dziecka, ukończył szkołę zawodową i zdobył zawód murarza; debiutował zbiorem wierszy i poematów pt. *Pokolenie na czatach* (Pokolenie na warcie, 1956); w 1961 r. ukazała się

opowieść *My obżywiamy ziemię* (My zaludniamy ziemię), a w rok później — *Żiw człowiek* (Człowiek żyje), która doczekała się licznych przekładów na języki obce; dalsze utwory to *Dusja i nas pjatiero* (Dusia i nas pięcioro), *Iskuszenije* (Pokusa), *Szagi k gori zontu* (Kroki w stronę horyzontu).

Lata dzielące nas od ukazania się wspomnianego hasła przyniosły tyle zmian zarówno w sytuacji osobistej pisarza jak i jego twórczości, że z pewnością w ewentualnej reedycji encyklopedii nazwisko jego by się nie znalazło. Przede wszystkim z „rosyjskiego pisarza sowieckiego” Maksimow stał się pisarzem rosyjskim żyjącym na emigracji. W czerwcu 1973 roku, po zorganizowanej „dyskusji” (czytaj: nagonce) nad powieścią *Sem' dnej tworenija* (Siedem dni stworzenia), Maksimow usunięty został ze Związku Pisarzy Sowieckich i w lutym 1974 roku — dokładnie w rok po wydaleniu A. Sołżenicyna — zmuszony do opuszczenia kraju. Ponadto, w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych opublikowane zostały na Zachodzie trzy powieści, które różnią się dosyć istotnie od jego, nazwijmy to — sowieckiego — okresu twórczości. Są to wymienione już wyżej *Siedem dni stworzenia* (1971), *Karantin* (Kwarantanna, 1973) oraz *Proszczanie iz nieotkuda* (Pożegnanie z nikąd, 1974).

Począwszy od 1974 roku Maksimow jest redaktorem naczelnym jednego z najbardziej interesujących czasopism rosyjskich — *Kontinent*.

W wywiadzie udzielonym swemu niemieckiemu wydawcy, Maksimow wspomniął, że obok Leonowa i Dostojewskiego za patrona literackiego swej twórczości uznaje także Gorkiego. Istotnie, kiedy czyta się wczesną prozę autora *Kwarantanny*, odwołanie się do Gorkiego staje się oczywiste, a nawet niezbędne dla zrozumienia inności czy nowości „uniwersytetów” przez jakie przeszedł zarówno autor jak i jego bohaterowie. Literatura jest ustawicznym powtarzaniem tematów, ale też i nieustannym ich odnawianiem, które dokonuje się pod wpływem tego co się potocznie nazywa rzeczywistością. Pod tym względem Maksimow jest przykładem dosyć pouczającym. Świat jego opowieści zaludniony jest włóczęgami, ludźmi w nieustannym ruchu, którzy przed czymś uciekają, którzy czegoś poszukują lub obawiają się. Wiktor Suchanow, narrator opowieści *My zaludniamy ziemię*, jest byłym wychowankiem poprawczego domu dziecka przebywającym gdzieś na dalekiej północy; Sereżka Carew (*Człowiek żyje*) opuszcza dom po aresztowaniu ojca, przebywa w Gruzji, uprawia kontrabandę, w czasie wojny dostaje się do niewoli, odbywa karę więzienia, ucieka, aby zostać znalezionym gdzieś w tajdze u kresu wytrzymałości; Sawa, z *Kroków w stronę horyzontu*, (w późniejszym wydaniu tytuł zmieniony na *Balladę o Sawie*) przedziera się przez niezmierzone obszary tundry, aby dotrzeć do morza — dla Maksimowa zawsze symbolu wolności — i uciec za granicę. Kiedy bohater cel swój prawie osiąga, dochodzi do wniosku, że ojczyzny swojej opuścić nie może i jego wysiłek okazuje się daremny. Przykład tej postaci jest zresztą wymowny: wędrowki są

jakąś bezsensowną utratą energii, gdyż nie prowadzą do zasadniczej zmiany sytuacji bohaterów. Ludzie ci, ściśnięci żelazną obręczą państwowych zakazów i ograniczeń, nieustannie się szamocą, aby z tego obłędnego kręgu się wydostać i w tej szamotaninie przypominają sytuację osaczonych zwierząt, które kierują się instynktem samozachowawczym. Choć brzmi to paradoksalnie, w tym szamotaniu leży jednak ich szansa zachowania resztek godności i wolności ludzkiej. Jeśli się oni czegoś obawiają, to właśnie sytuacji, w której wypadnie im pożegnać się z tą „uprzywilejowaną” pozycją ludzi w pewnym sensie niezależnych. Dlatego z taką pomysłowością i energią bohaterowie bronią swego zawieszenia w próżni. Utrata tej pozycji oznacza więzienie, zesłanie lub w najlepszym wypadku dom poprawczy. Powrót do podległego surowym regułom społeczeństwa nie wchodzi w rachubę jako poważna alternatywa. Pozostaje więc jedno — wędrowka (w literaturze polskiej temat ten z dużym powodzeniem podejmuje Edward Stachura). Nie jest to zresztą jedyna cecha tych postaci. Szukają one także potwierdzenia własnej osobowości, autentyczności przeżyć, wyraźnie zaznaczonej tożsamości czyli tego, co w języku angielskim określa się precyzyjnym słowem *identity*. Czy Maksimowowi zawsze udaje się tę cechę z powodzeniem wydobyć, to inna sprawa, ale nie ulega wątpliwości, że jego włóczędzy swą prostolinijnością wyrażają niezgodę na istniejącą rzeczywistość. Maksimow to pisarz, powiedziałbym, zadziorny: nic go tak nie oburza jak potulna uległość. „Potrzebny mi jest człowiek — powiada Sergej Carew z opowieści *Człowiek żyje* — dla którego nie ma nic świętego jeśli już nie na ziemi, to przynajmniej w granicach tego państwa”. Dochodzimy tu do sedna zarówno podobieństwa jak i różnicy między Gorkim a Maksimowem i ich protagonistami. Pierwszy wędrował z ciekawości, z chęci poznania, drugi zaś z konieczności. U autora *Na dnię* lumpowie są produktem żywiołowego biegu życia; rodzi ich istniejący rozróż między bogactwem i nędzą. U Maksimowa wędrowcy są rezultatem precyzyjnie przemyślanego i zorganizowanego systemu opresji, w którym najmniejszy odruch nieposłuszeństwa wobec dyktatury kwalifikuje nieposłusznego jako *politycznie podejrzanego*. Amalrikowskie *nieżelanne puteszestwie w Sybir* może więc równie dobrze obejmować i tę kategorię ludzi, choć na Sybir dostają się oni własnymi środkami, a nie pod eskortą „enkawudystów”. Ustrój ten *musi* produkować wrogów i nie bez kozery prawie wszyscy wędrowcy Maksimowa to ludzie z „przestępczą” przeszłością, tacy np., którym przytrafiło się kiedyś dostać do niewoli (Tichon, Sergej Carew, Skornjakow), być w więzieniu lub domu poprawczym. To oni właśnie — jak sugeruje ironiczny trochę tytuł opowiadania — „zaludniają ziemię”.

W swej wczesnej prozie Maksimow nie wykracza poza dozwolone granice krytyki. Reprezentuje falę prozy rosyjskiej z końca lat pięćdziesiątych i początku lat sześćdziesiątych, znanej z podejmowania tematyki, jak to określała krytyka sowiecka, bardziej „kontrowersyjnej”. Od momentu wystąpienia Sołżenicyna nie

dało się także ukrywać faktu istnienia obozów koncentracyjnych. Zwalając wszystko na karb „okresu błędów i wypaczeń” i „kultu jednostki” pozwolono literaturze ową „kontrowersyjną” tematykę kontynuować, ale i zakreślono pewne granice, których przekroczenia pióro cenzora tolerować nie mogło. Kiedy pisarz przekracza dozwolony rubikon i z umiarkowanego krytyka społeczeństwa staje się niebezpiecznym wywrotowcem? Dzieje się to każdorazowo, gdy jakieś dzieło kwestionuje podstawy ideologiczne panującego reżymu i postuluje nowe wartości moralne, filozoficzne, społeczne lub polityczne. Ideologia w tym społeczeństwie jest fasadą, spełnia rolę mitu. Można weni nie wierzyć, ale trzeba go kultywować, bo jest środkiem rządzenia. Niezależnie od tego jaką stroną tej ideologii autor ośmieli się podważyć — podniesienie na nią ręki jest równe świętokradztwu. Kiedy B. Pasternak w *Doktorze Żiwago* przewartościował znaczenie rewolucji jako środka rozwiązywania problemów społecznych i ukazał jej ślepotę, niszczącą siłę, przypłacić to musiał wyrzeczeniem się nagrody Nobla.

U Maksimowa pełny rozrachunek z rzeczywistością sowiecką łączy się z akceptacją religii jako siły odradzającej człowieka moralnie i z przejściem do rozległych form epickich¹: trzy główne powieści wydane na Zachodzie liczą grubo ponad trzysta stron każda. W *Siedmiu dniach stworzenia* stary komunista Piotr Laszkow uświadamia sobie, że jego życie było puste, pozbawione głębszego sensu bo poświęcone złudnej sprawie, i szuka wyjścia z tego w powrocie do Boga. Zatrzymamy się tu nieco dłużej nad dwoma ostatnimi powieściami Maksimowa tj. *Pożegnaniem z nikąd* i *Kwarantanną*. *Pożegnanie z nikąd* jest powieścią autobiograficzną, najbardziej intymnym zwierzeniem Samsonowa-Maksimowa, a jej tytuł, podobnie jak *Siedem dni stworzenia*, posiada podtekst religijny. „— Wiesz — tłumaczy Ljola głównemu bohaterowi powieści Władowi Samsonowowi — ziemia to tylko stacja naszej przesiadki. Nam jeszcze lecieć i lecieć, zanim dobierzemy się do miejsca przeznaczenia. Dla nas każdy przystanek to nowe życie w nowej powłoce. Tutaj, na przykład, jesteś człowiekiem, na innej planecie staniesz się rośliną lub nawet kamieniem. Nasza śmierć — to tylko pożegnanie z kolejnym przystankiem, nic więcej. To, że tak powiem, pożegnanie z nikąd. Szkoda tylko, że dostaliśmy się teraz do takiej nieprzytulnej poczekalni”. Życie jest więc dążeniem ku Bogu. Istnieje tu niewątpliwa analogia między tą kosmiczną reinkarnacją wyznaną przez Ljola a drogą Samsonowa. Samsonow nigdzie nie zagrzewa miejsca: jego ziemski los jest również „pożegnaniem z nikąd” i niezupełnie jeszcze jasno sprecyzowanym marzeniem o ideale. Życie Samsonowa to ewolucja od opowiadań i wierszy pisanych „jak w gazecie” do samodzielnego widzenia świata, od

donosicielstwa do jawnej pogardy dla partyjnego kacyka, wyrażonej krótkim i trudno przetłumaczalnym słowem *mraz!* Jest to przejście od złudzeń do poszukiwania prawdy, od ideologicznego zamroczenia do ujawnienia cynizmu i pogardy wobec człowieka. W powieści tej przewijają się epizody i wątki z wcześniejszych opowiadań, ale zaostrza się wyraźnie ich sposób widzenia i oceny. Maksimow jest tu bardziej bezkompromisowy a więc i przenikliwszy w ujawnianiu schorzeń społecznych. Wszystko tu poddane zostaje krytycznemu przewartościowaniu. Domy poprawcze oparte na osławionej metodzie wychowawczej Makarenki, to w gruncie rzeczy siedlisko pederastów i chuliganów; sąd jest małą komedią o smutnym zakończeniu; prawo do pracy — fikcją, jeśli w kieszeni ma się dowód osobisty stwierdzający kolizję z prawem „przodującego państwa socjalistycznego”. Ale chyba najbardziej wstrząsającą jest końcowa partia tej powieści o przygodach Samsonowa jako początkującego literata. Kiedy władze chcą się wykazać popieraniem samorodnej twórczości artystycznej, kiedy potrzebny im jest „kołchozowy pisarz” — wówczas sprowadzają do Krasnodaru wciąż jeszcze „zielonego” Samsonowa. Wszystko odbywa się zgodnie ze znaną sowiecką metodą: wybraniec otrzymuje bieliznę, koszulę, ubranie, palto, buty (z cholewami, oczywiście), no i bezpłatny przejazd do Krasnodaru. Tutaj właśnie otwiera się przed Samsonowem istna dżungla cynicznych machinacji i powiazań. Kiedy Samsonow, człowiek opętany pasją pisarską, spełnił rolę pokazowego obrazka — daje mu się kopniaka czyli radzi się, aby wrócił do kołchozu i zajął się pożyteczną pracą. „Teraz Wład z goryczą musiał się przyznać, że był im potrzebny wyłącznie w charakterze ideologicznej rodzyнки dla referatów sprawozdawczych”. Potwierdziło się ostatecznie wcześniejsze odkrycie Samsonowa, że w jego życiu artystycznym pojawił się wróg — partia. Nad tym obrazem deprawacji, cynizmu, ludzkiego cierpienia i zubożenia unoszą się opary wody — wszystko „zalewa się” tutaj alkoholem: sukces, niepowodzenie, melancholię, tęsknotę za jaśniejszym jutrem.

W *Kwarantannie* ruchliwy świat Maksimowa zostaje nagle zatrzymany. Czytelnik jest tu skonfrontowany z sytuacją umowną: pociąg wiozący wczasowiczów znad morza do stolicy zatrzymuje się w połowie drogi z powodu cholery, jaka wybuchła w Odessie i jego pasażerowie muszą przejść kwarantannę. Wszystko tu jest niecodzienne i symboliczne. Wspomniałem już, że morze u Maksimowa kojarzy się z wolnością. Ruch pociągu od morza w głąb lądu można więc tłumaczyć jako odejście od wolności zaś kwarantannę jako miniaturowy i alegoryczny obraz cierpiącej i uwięzionej Rosji. Ludzie zarażeni bakcylem wolnomyślicielstwa, a takimi są właśnie pasażerowie pociągu odbywającego kwarantannę, muszą być trzymani w odosobnieniu. Powieść składa się z dialogów, monologów, podsłuchanych strzępów rozmów i rozmyślań uczestników kwarantanny i daje mikroskopijny przekrój Rosji, przekrój poplątanych i tragicznych losów jej ludzi, zwykłych obywateli reprezentujących wielonarodową

1. G. Lukács przewidywał, że prawdziwy rozrachunek ze stalinizmem przyniesie w Rosji odrodzenie wielkich form epickich. Zob. jego *Solzhenitsyn*, Translated from the German by W. David. London, Merlin Press, 1970, 88 p.

mozaikę rozległego imperium. Każdy z uczestników kwarantanny reprezentuje jakąś ideę, jakiś moralny, społeczny czy też polityczny aspekt życia tego imperium; odkrywa przed słuchaczami dzieje swego cierpienia lub też wypowiada własną ocenę historii i współczesności. Zjawia się tu co chwila wszechobecna i boska niemal postać Rosjanina Iwana Iwanowicza Iwanowa, Gruzina Żora Żgenti, Żyd Gerszenzon, estoński komunista katowany przez Ormianina „enkawudystę” Geworkjana, Maria — współczesne wcielenie Marii Magdaleny. Wtrącona opowieść ojca Tigrana pt. „Przeobrażenie cichego seminarzysty” przedstawia Stalina, jako ambitnego, lecz spokojnego młodzieńca, którego religijna gorliwość wynosi na szczyty władzy i usprawiedliwia morderstwo milionów. Jego przeciwieństwem i zarazem uosobieniem tego co było najlepsze w starej Rosji jest admirał — Aleksander Wasiljewicz Kołczak — naszkicowany w krótkim monologu żony Anny. Tragedia przeplata się tu z ironią, symbole z konkretnymi realiami, marzenia z surową rzeczywistością. Nad całością góruje trochę melancholijny i współczujący ton narratora. Fragmentaryczność tej powieści scala wątek rodziny Chramowów (ros. chram — świątynia). Jej ciągłość — to trwałość samej Rosji. Takim właśnie niezliczonym Chramowym zawdzięcza ona swoje istnienie i potęgę. Przodkowie męskiej linii rodu służyli państwu, cerkwi lub rewolucji. Ostatni z rodu — Borys Chramow, główna postać *Kwarantanny*, nie żywi tych ambicji. Jego troską jest jego własne człowieczeństwo, które odnajduje w pojednaniu i miłości do Marii. Ich ucieczka z pociągu posiada również wymowę symboliczną. Serwilizm swych przodków wobec potęgi władzy w imię budowania „wiekowych świątyń” i „sławy Rusi” osądza Borys Chramow jako „obłądną krzywą degeneracji rodziny Chramowów”, która prowadzi w ostatecznym rachunku do łagrów, szpitali dla umysłowo chorych i przytułków. Borys staje więc wobec zasadniczego pytania: jeśli człowiek rodzi się wolny, to dlaczego samodzielnie nie dokonuje wyboru? Dzieje się tak dlatego, że człowiekowi łatwo jest odwoływać się do istniejących okoliczności i w ten sposób usprawiedliwiać własne, tchórzliwe niewolnictwo. Brak mu odwagi samodzielnego decydowania. Stąd rozsiane po całej książce Maksimowa elementy polemiki z koncepcją determinizmu, który zdejmuję z człowieka odpowiedzialność za podejmowane decyzje i usprawiedliwia jego czyny. „Rewolucję robi ochrana” — tłumaczy śledczy rewolucjonista Walentemu Chramowowi, dziadkowi Borysa; „cichy seminarzysta” wyniesiony został na dyktatora nie koniecznością rewolucji, lecz wpojona mu wiara, że jeśli człowiekowi nie wystarczyło krwi Zbawiciela, to powinien się obmyć w swej własnej. Choć brzmi to wręcz niewiarygodnie, „cichy seminarzysta” czerpie swą inspirację ze źródła najbardziej niespodziewanego — Chrześcijaństwa.

Jak przezwyciężyć determinizm i tym samym przywrócić człowiekowi jego godność? Uwierzyć we własną nieśmiertelność. Wiara w nieśmiertelność własnej duszy, sugeruje Iwan Iwanowicz, nie może być zabezpieczona ani autorytetem państwa, ani pokwi-

towaniem od Boga. Jest to pierwszy i zasadniczy wybór człowieka, który pozwala mu odzyskać własną niezależność.

Jest rzeczą zrozumiałą, że po latach płaskiego materializmu i wypranego z głębszych treści realizmu literatura rosyjska zwraca się w swym dążeniu do odnowienia ku wartościom metafizycznym. Chodzi teraz o pytanie co nowego wnosi tu Maksimow? Literatura rosyjska zawsze oscylowała między „ideologiczną” religijnością a radykalizmem społecznym, co znalazło swój najjaskrawszy wyraz w dziewiętnastowiecznym podziale na Słowianofilów i „Zapadników”. Wspólne obu tym strumeniom myśli rosyjskiej było tak typowe dla wielu pisarzy rosyjskich *bogoiskatelstwo* czy *bogostroitelstwo*, tzn. poszukiwanie wyższych interesów, którym musi być podporządkowana jednostka. A więc chodziło zawsze o tworzenie *systemów* jako układów odniesienia dla postępowania ludzkiego. Jednostka była oceniana przez pryzmat tych systemów. Poszukiwanie wartości odbywało się jak gdyby poza człowiekiem, a wartość tego ostatniego oceniano o tyle o ile realizował on programowy czy narzucony wzorzec postępowania. Wydaje się, że odwołanie się do Boga posiada u Maksimowa zupełnie inny charakter. Jego zwrot ku Bogu odbywa się w imię *praw jednostki*, jako niezależnego i wolnego indywiduum, a więc jest to odwołanie się do Boga w imię *odrzućenia systemów*. Jednostka sama musi mieć poczucie własnej wolności zanim przystąpi do budowania jakiegoś systemu mającego prowadzić do krainy wolności. Słowo Bóg kojarzy się u Maksimowa z miłością i przede wszystkim wolnością. Wystąpienie Maksimowa, to wołanie, nazwijmy to, „głosu trzeciego” o prawo do bycia sobą, o prawo jednostki do niezależnej egzystencji i samodzielnego bytu. Przeczytać ten głos Maksimowa — to nie dostrzec jego zasadniczej myśli, orędzia, jakie próbuje on przekazać współczesnemu czytelnikowi rosyjskiemu. W połączeniu z przejmującym współczuciem dla ludzkiego cierpienia, wspomniana cecha pisarstwa Maksimowa stawia go w rzędzie kontynuatorów najlepszych tradycji literatury rosyjskiej.

Edward MOŻEJKO

Spokojne muzyki

1. Czajkowski

W „Trzech zimach” Czesława Miłosza jest wiersz bez tytułu, zaczynający się od zdania: „Ty silna noc”; w drugiej strofie wariant: „Ty jesteś noc”; i jeszcze jest tam drugi wiersz zaty-

tułowany „Wieczorem wiatr” (w jakimś sensie zresztą kluczowy dla tej poezji), zaczynający się od zdania: „Wieczorem wiatr” właśnie. Kiedy pierwszy raz to czytałem trzydzieści lat temu z górą, miałem osobliwe odczucie, nazywane przez Francuzów *déjà vu*. Dzisiaj wiem, że było to raczej *déjà écouté*, gdyż dopuszczalne wydaje się, że zdania te można odczytać i w takiej postaci rytmicznej: *úvuu—*. I trzeba lekko tylko dostosować modulację głosu, aby się przekonać, że jest to werbalna replika wejścia orkiestry w znanym koncercie fortepianowym Piotra Czajkowskiego. Czajkowskiego zaś daje się rozumieć jako późnego romantyka z tęsknotami za klasyczną formą wyrazu; umarł osiem lat przed początkiem XX-go wieku. Cztery lata później umarł Johannes Brahms, który bywa z Czajkowskim słusznie czy nieśłusznie koligaony. Przypuszczalnie koligacja ta, rzeczywista lub wmówiona, wywołuje we mnie wrażenie, że muzyka Rosjanina Czajkowskiego jest wobec rosyjskości jak gdyby egzotyczna.

Zdania „Ty silna noc” i „Wieczorem wiatr” mogą być wyłożone jako wejście Czesława Miłosza do poezji polskiej. Nie wiem czy Miłosz, kiedy je napisał, znał koncert Czajkowskiego i nie jest to zresztą ważne. Ważne jest, że przez skojarzenia, jakie budzi, wywołuje lub wywoływać się zdaje niejaki poczucie egzotyki. To samo poczucie wywołują często stosowane jamby, rzadkie raczej w poezji polskiej. Z Czajkowskim Miłosza łączy jeszcze okoliczność, że Miłosza, poetę na wskroś przecież współczesnego, ale nie tracącego romantycznego rodowodu (post-post romantyzm? — tak, zapewne istnieje coś takiego w sztuce naszego stulecia), ciągnie ku klasycznym formom wyrazu. Widać to już po sposobie, jakim włada ironią.

2. Ironia

Linde w swoim słowniku wyjaśnia, że ironia jest to „sposób wyrażenia myśli swojej przeciwnymi słowy”. Choć tom G-L słownika ukazał się w roku 1855, przyjąć chyba należy, że redagowany był jeszcze w duchu Oświecenia, w duchu osiemnastowiecznego racjonalizmu i że podana w nim definicja ironii odpowiada tamtej, w istocie wtedy już minionej epoce. Później przysła ironia romantyczna, spokrewniona z drwiną i z patosem, uwznioślająca przedmiot i poniżająca go zarazem. U Norwida funkcja ironii sprowadzała się do efektu dystansująco-kontrastowego; aż wreszcie Tomasz Mann powiada pod wpływem lektur Schopenhauera, że ironia wywodzi się z funkcji pośredniczenia, godzenia sprzeczności i skrajności. Otóż Miłosz używa ironii (rzadko na ogół się nią zresztą posługuje; głównemu nurtowi jego poezji jest mało przydatna) w rozumieniu Lindego, tzn. jako „sposób wyrażenia myśli swojej przeciwnymi słowy”. Inaczej powiedziawszy, udaje się ironicznym zdaniom Miłosza przetłumaczyć na nieironiczne bez obawy o zatrącenie sensu. W cyklu poetyckim

„Dziecię Europy” operację taką można łatwo przeprowadzić już na pierwszej strofie:

*My, którym słodycz dnia przenika do płuc
I widzimy gałęzie rozkwitające w maju,
Jesteśmy lepsi od tych, co zginęli.*

W wersji nieironicznej strofa ta wyglądałaby, powiedzmy, tak:

*My, którym gorycz nocy przenika do płuc
I widzimy gałęzie bezlistne na jesień,
Jesteśmy gorsi od tych, co zginęli.*

Wersja ta według sensu odpowiada oryginałowi; poetycko oczywiście nie.

3. Ut pictura poesis?

„Traktat poetycki” zaczyna się od postulatu:

*Mowa rodzinna niechaj będzie prosta.
Ażebym każdy, kto usłyszy słowo
Widział jabłonie, rzekę, zakręt drogi,
tak jak się widzi w letniej błyskawicy.*

*Nie może jednak mowa być obrazem
I niczym więcej.*

Potem wykład toczy się dalej, ale o innym rozumowaniu, jakiego można byłoby się spodziewać po pierwszych wersach. Mowa jest o tym, co mowę wabi, a są to rzeczy nastrojowe, nazwane co prawda, ale określone miękko: „niejasny zamiar” powiada poeta, aby zakończyć stwierdzeniem, że mimo iż „walki, gdzie stawką jest życie / Toczą się w prozie”, to jednak „więcej waży jedna dobra strofa / Niż ciężar wielu pracowitych stronic”. Czytelnik jest zdumiony i zapytuje: po co w takim razie obraz? — Bo jeśli mowa nie może być samym tylko obrazem, choć obraz stanowi jej podstawę czy punkt wyjścia, to w takim razie alternatywą najbardziej się narzucającą byłby postulat, żeby obraz pełnił funkcję służebną wobec jakiejś jakości nadrzędnej. Tymczasem nic z tego; jaka jest funkcja obrazu, czytelnik się nie dowiaduje; czyżby ta funkcja była resztą, która jest milczeniem? — „Moja muzyka zmierza do całkowitej ciszy” — powiedział Anton Webern. Nie myślę, żeby takie były założenia Miłosza, chociaż kto wie?

Spróbujmy to zagmatwanie — bo u Miłosza jest to gmatwa-nina, przynajmniej jeśli się bada samą tylko jego poezję — zracjonalizować. Zostawmy przy tym „List do Pizonów” na stronie, bo zawsze mi się zdawało, że Horacy zamiast problem roz-

jaśnić, zaciemnił go tylko przez srogie rygory. Staroświecki, jaki jestem, wracam do Kanta, powtarzając jego definicję: sztuka jest swobodną grą władz poznawczych; w czym wtóruje mu Schiller powiadając, że sztuka jest swobodą ukazywania się postaci. Przy czym, choć może to wydać się paradoksem, Kant, zgodnie z duchem swojej epoki determinista, stwierdza jednak, że sztuka jest niezdeteminowana. Robi więc dla sztuki wyjątek, przeciwstawiając ją zdeterminowanej pracy naukowej i tym samym zaprzecza mniemaniu, jakoby sztuka była szczególnym sposobem poznania. Sztuka jest „swobodną grą” uprzednio poznany elementami świata; to, co poznane, stanowi surowiec.

Jest zawsze grą na śmierć i życie. I tu Kant, a może tylko moja subiektywna jego interpretacja, pomaga nam zrozumieć tok wyводу poetyckiego Miłosza. Pojmuję to tak: obraz jest dla Miłosza nie celem, lecz elementem gry poetyckiej; inne elementy wcale nie muszą wyłaniać się z obrazu na zasadzie wynikania, a to znaczy: Miłosz nie myśli obrazami, choćby nie wiem jak przy tym się teoretycznie upierał; jest poetą nie obrazów, lecz sygnałów, którymi swobodnie rzecz swoją rozgrywa. Uważa wprawdzie, że w prozie toczy się „walka, gdzie stawką jest życie”, ale nie widzi (nie chce widzieć?), że sam w dobrej strofie walkę tę wiezie.

I tu pora na:

4. Toposy

Topos katastrofy. W bardzo pięknym szkicu krytycznym o „Ocaleniu”, zamieszczonym w numerze 5 *Twórczości* z 1946 roku. Kazimierz Wyka stwierdził, że katastrofizm (przedwojenny) Miłosza wykazuje łączność z mitami eschatologicznymi, gdzie „element katastrofy jest elementem oczyszczającym”¹. W ostatnim swoim poemacie „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada” Miłosz zwierza się (mniejsza z tym, czy prawdziwie; późne życzenie nadania nowego kształtu własnej młodości też przynależy do poezji):

*Pamiętasz swój podręcznik Historii Kościoła?
Nawet kolor stronicy, zapach korytarzy.
Zaiste, wcześniej byłeś gnostyk, marcjonista,
Sekretny zjadacz trucizn manichejskich.*

Tu pada właśnie słowo, którego Wyka nie wypowiedział: gnoza. Bodaj u C. G. Junga wyczytałem, że u pchrześcijańskich gnostyków powstała koncepcja o samoskażeniu się Boga przez akt

1. Nieco później, w numerze 2/1947 *Kuźnicy*, Ryszard Matuszewski ostro zaatakował „Ocalenie” Miłosza, zarzucając mu postawę niehumanistyczną, która miała się wyrażać w tym, że po przedwojennej fazie katastroficznej nastąpiła po wojnie u poety faza mitu arkaadyjskiego.

stwórczy; w koncepcji tej zbawienie miało być aktem oczyszczenia stworzonej, która, oczyszczona, może już wtedy wrócić do Stworzyciela, aby zmasać Jego skazę. Prześledźmy, czy tak się u Miłosza dzieje, jak się ten topos zaczyna, rozwija i kończy.

Wielokrotnie cytowany w związku z przedwojennym katastrofizmem Miłosza wiersz „Wieczorem wiatr”, po ukazaniu grozy niszczenia, kończy się zwrotem „i twardo śpimy, z łbem zgietym na pięść”. Otóż ten łeb zgiety na pięść to nic innego, jak „Myśliciel” Rodina; „Myśliciel” zaś Rodina to nikt inny, jak tylko Szatan nad wrotami „Bramy piekieł”. Wiersz pisany jest w liczbie mnogiej pierwszej osoby („my”) i w czasie przeszłym; a więc napisany został po katastrofie, po której „my” (wszyscy ludzie?) staliśmy się szatanami. Manicheizm? Owszem, ale z iskrą nadziei, bo przecież nie tylko „dźwigaliśmy broń”, ale i „pchaliśmy pługi”.

Osiemnastowieczne w sposobie ironii (nie tylko o ironię w tym wierszu chodzi; ironia jest tutaj techniką), cytowane już „Dzieci Europy”, napisane 12 lat po „Wieczorem wiatr” i w rok po szkicu Wyki o „Ocaleniu”, kończy się wersem:

Wkraczamy ostrożnie w erę wyzwolonego ognia.

Wers ten, nie wyrwany z kontekstu, oznacza oczywiście wejście w ogień niszczycielski; ale wyrwany z kontekstu (zastrzegam: wiersza jedynie, nie całego Miłoszowego dzieła) może znaczyć wejście w ogień oczyszczający. Zasadne to czy niezasadne, ale mam prawo tak dwuznacznie odczytywać — ten jeden wers bowiem mogę wziąć za motto. Śledząc topos katastrofy u Miłosza zdanie to może stanowić łącznik między wczesnymi jego sformułowaniami a późnymi. Zresztą w szerszym kontekście jest to paralela do zakończenia „Traktatu moralnego”:

*Idźmy w pokoju, ludzie prości.
Przed nami jest*

— „Jądro ciemności”.

To rok później i coraz bliżej diagnozy Wyki, postawionej jakby na wyrost. Znamienne przy tym, że o ile przed wojną katastrofa była dla Miłosza katastrofą cywilizacji, wiodącą do bram piekielnych, o tyle tuż po wojnie, nie tracąc swych związków z eschatologią, była katastrofą w sferze polityki, wiodącą w ogień i ciemność, co jak wiadomo jest wymienne. I dopiero trzydzieści lat po powstaniu „Wieczorem wiatr” zjawia się znowu, tym razem już nie pod figurą, piekło; w wersji Swedenborgowskiej, ale piekło. Chodzi o wiersz „Po drugiej stronie”. Cytat ze Swedenborga, służący za motto, powiadamia czytelnika, że „niektóre piekła mają wygląd domów i miast zrujnowanych przez ogień [...]”. Miłosz wybiera ten drugi rodzaj piekła; zamiast

ognia i ciemności mamy obraz aksamitnej zasłony przy przejściu na „drugą stronę”, w piekle ruder zaś mamy świat pozorów:

*A grali w niby-karty i był zapach niby-kapusty,
I niby-wódka, niby-brud i niby-czas.*

Tutaj też, jak w „Wieczorem wiatr”, rzecz toczy się w czasie przeszłym i w pierwszej osobie, liczba wszakże jest pojedyncza. Ma to, jak sądzę, o tyle znaczenie, że bohater liryczny nie ukrywa się już za zbiorowością czy w zbiorowości. Jego śmiertelne przerażenie: „kiedy obsuwałem się rycząc: aaa aa.” jest jego własnym przerażeniem i on to we własnej osobie przechodzi z obszarów życia w obszary pozoru.

Mija jeszcze dwanaście lat i topos dobiega kresu; jednocześnie zaś przedmiot traktowany — koncepcja gnozy pochrześcijańskiej — staje się klarowny. Oto trzy ostatnie wersy poematu „Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada”, będące zarazem ostatnimi wersami książki²:

*Nagle umilknie warsztat demiurga. Nie do wyobrażenia cisza.
I forma pojedynczego ziarna wróci w chwale.
Sądzony byłem za rozpacz, bo nie mogłem tego zrozumieć.*

Stworzonosc wraca do Stwórcy, sama oczyszczona i oczyszczająca. Nie ma już „niejasnego zamiaru”. Osoba jest pierwsza, czas natomiast i przyszły i przeszły: według potrzeby. Odpadła cywilizacja, odpadła polityka: katastrofa wiedzie ku katharsis; metafizycznej.

Na zakończenie uwag o toposie katastrofy należy chyba powiedzieć, że motyw końca świata do niego u Miłosza nie przynależy. „Piosenka o końcu świata” z „Ocalenia” mówi o idylliczności tego przewidywanego momentu. Część 11-ta poematu „Miasto bez imienia” traktuje o sędzie ostatecznym, który okazuje się kiermaszem. Swawolny kontrapunkt do katastrofy?

Topos krajobrazu. Miłosz jest bezwątpienia poetą krajobrazu, a poezja jego zarazem całkowitym zaprzeczeniem poezji ogrodów. Jest także zupełnie różny w tym od Przybosia, który czysto oddzielał krajobraz miejski od wiejskiego, naturę od kultury. U Miłosza zaś wszystko to zawężone jest w sposób, powiedziałbym, oczywisty. Całe otoczenie człowieka — ten wielki topos, w którym mieszczą się wszelkie inne, nawet topos katastrofy — jest krajobrazem. I znów trzeba się powołać na „Wieczorem wiatr”; w tym młodzieńczym wierszu zawartych jest *in nucleo* wiele składników, które późniejszy Miłosz potem rozwinię i przemieni. Jest tam więc „ogień w kominie” (kultura), „pies” — oswojony (kultura), „motory trójśmigłych statków”

2. Czesław Miłosz, *Utwory poetyckie — Poems*, Michigan Slavic Publications — Ann Arbor, 1976. Str. 401 i 1 nlb. Przedmowa w języku angielskim Alexandra M. Schenkera.

(kultura), „złoty krzyż, „jedwabny sztandar”, „hełmy”, „pługi” i „bronie” (wszystko kultura); oraz: „chmura”, „stada gwiazd”, „jabłonie”, „owoce”, „jarzębina” (wszystko natura). I w tym zmieszonym, różnorodnym krajobrazie umiejscowiona jest, niby w łożysku, katastrofa wiodąca do wrót piekielnych (Czajkowski — Rodin).

Kilkanaście lat później powstaje wiersz „Do Tadeusza Różewicza, poety”. Przytoczę drugą strofę gdzie w osobliwym ruchu i zarazem w kontraście natura i kultura wiodą ze sobą dysputę:

*Chwała stronie świata, która wydaje poetę!
Wież o tym biegnie po wodach przybrzeżnych,
Gdzie na tafli we mgłach śpiąc pływają mewy
I dalej, tam gdzie wznoszą się i opadają okręty.
Wież o tym biegnie pod góskim księżycem
I ukazuje poetę za stołem
W zimnym pokoju, w małym znanym mieście,
Kiedy zegar na wieży wybija godzinę.*

A to wszystko po to, aby w następnej strofie powiedzieć: „On ma dom w igle sosny, / W eksplozji gwiazd i wnętrzu ludzkiej dłoni. / Zegar nie mierzy jego pieśni”. Igła sosny i dłoń ludzka, a tuż obok wytwór przemysłowy: zegar; tak wygląda krajobraz poety, który może pisać o katastrofie i nie o katastrofie, i o nie-katastrofie.

Albo, pisząc, podchodzi do gnozy:

*Cztery są baszty, na wschód, zachód, północ i południe.
Kiedy wchodzisz w bramę, to jak gdyby na ciebie czekali.
Kraj naokoło zielonych wzgórz, rozległy,
Błękitno-zielonych wzgórz, pod same obłoki.*

Ten anachroniczny krajobraz o stopniowaniu: stara twierdza — ogród — wzgórze — obłoki jest właśnie łożyskiem, w którym spoczywa takie oto wyznanie:

*Należę jednak do tych, którzy wierzą w apokatastasis³
Słowo to przyobiecuje ruch odwrotny
Niż ten, co zastygł w katastasis
I pojawia się w Aktach Apostolskich, 3, 21.*

Topos polityki. Pojawia się właściwie dopiero po wojnie, ma zrazu natężenie dość duże, traktowany jest z gniewną ironią („Dziecię Europy”, „Traktat moralny”), aby potem stopniowo zanikać, jak gdyby wsiąkał w piasek. Może być również nazwany toposem pogardy, nie tyle wobec polityki, czyli mimo

3. *Apokatastasis* (ustanowienie na powrót) wyrażenie Origenesa, oznaczające powrót stworzonosci do Boga. Za nieprawowierność tego poglądu Origenes został wygnany z Aleksandrii, później zaś, w roku 590 nauka jego została za cesarza Justyniana potępiona oficjalnie.

wszystko abstrakcji, co wobec polityków, czyli bądź co bądź konkretnie. Z wiersza „Do Jonatana Swifta”:

*Xiążę, dziękuję, zwykle błądzi,
Choć za nim racja jest i siła.
Pszytyczek ze sławy go wytrąci
I w piekło kartoteki zsyła.*

Z „Traktatu moralnego”:

*Unikaj tych, co w swoim gronie,
Pograwszy w polityczne konie,
Gdy na kominie ogień trzaska
Wołają: lud, a szepczą: miazga,
Wołają: naród, szepczą: gie.*

Z wiersza „Rady”:

*Człowiekowi potrafiono dać do zrozumienia,
Że jeżeli żyje, to tylko z łaski potężnych.
Niech więc zajmie się piciem kawy i łowieniem motyli.
Kto kocha Rzecz Pospolitą, będzie miał dłoń uciętą.*

Myślę, że te trzy cytaty wystarczą. Topos polityki (topos pogardy) pod koniec tomu jakby się już nie ukazuje. Kto w swej poezji zmierza ku gnozie, dla tego polityka nie może być wartości.

5. Kosmos

W mojej mowie inauguracyjnej na uroczystościach otwarcia targów książki we Frankfurcie w roku 1967 przedstawiłem pogląd, że dla artysty każda zastana rzeczywistość jest chaosem, z którego musi on ukształtować kosmos. Zapewne tak jest i z Miłoszem, wiednie czy bezwiednie. Jednakże raz bodaj jeden tylko poeta tknął się chaosu, używszy zaś tego rzeczownika natychmiast się cofnął. Wiele mówiący jest również tytuł wiersza, w którym rzecz się odbywa: „Przywołanie do porządku”. Cytat:

*Jaki chaos
Dostawał miarę odtąd-dotąd.
Jaki abyssus
Był widziany i przemilczany.*

Jedno ze zdań poprzedzających ten fragment brzmi: „Ale komu jak komu, tobie nie wypada”. Nie wypada krzyczeć, że ludzkość jest szalona, w domyśle: że jest chaosem. Dla Miłosza chaos jest nieprzedstawialny. Wydaje się, że w czasach nowszych dwaj tylko artyści z powodzeniem zaatakowali ten temat frontalnie:

Haydn we wstępie do oratorium „Stworzenie świata” dał muzyczną artykulację chaosu przedustawnego, oraz Leonardo, który stworzył wizję optyczną chaosu finalnego w grafice „Koniec świata” w postaci szalejących wirów wodnych. Obaj użyli środków ostrych, zgiekliwych i zgrzytliwych, jakich Miłosz nigdy by nie użył; dla niego bowiem i przedustawność, i finał są ładem; pomiędzy nimi zakłócenia i stąd potrzeba oczyszczającej katastrofy przed finałem. Ale i tutaj stosowane są nie gwałtowne, lecz „spokojne muzyki”. Dlatego wiersz jego biegnie raczej regularnie, dźwiękowo harmonijnie; jeśli nawet zdarzają się przerzutnie, to są one łagodne wobec toku werbalnego. Dlatego „wejście” Miłosza odbywa się nie zgrzytliwym rozwarciem skłębionych i mrocznych obszarów, rozjaśniających się dopiero jaskrawym zawołaniem „Licht”, jak u Haydna, lecz miarowo patetycznym rytmem „Ty silna noc”, który odczytuje *úvu u* — jak u Czajkowskiego.

Witold WIRPSZA

Krajowe nowości wydawnicze

HISTORIA POLSKI

Jerzy ŁOJEK: *Upadek Konstytucji 3 Maja*. Studium historyczne. Wrocław, 1976, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo P.A.N., 8°, str. 321 (2), 16 faks. (P.A.N., Instytut Badań Literackich).

W zadziwiająco niskim nakładzie 2300 egzemplarzy i ze skrótami wydane zostało wreszcie dzieło historyczne podstawowej wartości dla historii rozbiorów, dotyczące przebiegu wydarzeń w ciągu 15 miesięcy 1791-2 roku — od uchwalenia Konstytucji 3 Maja do akcesu Stanisława Augusta do Konfederacji Targowickiej (23. VII. 1792). Ten niezmiernie ważny okres opracowania był przed Łojkiem przez Władysława Smoleńskiego w „Ostatnim roku Sejmu Wielkiego” (1896), ale w oparciu o znacznie skromniejszą bazę materiałową.

W przeciwieństwie do poglądów kilku krajowych historyków zajmujących się zbliżoną tematyką, Łojek sądzi surowo Stanisława Augusta. Kwestionuje bezpodstawność żalów Króla skarżącego się parokrotnie, że nie uczynić nie mógł, mając związane ręce. Stwierdza i udowadnia, że „król miał w ciągu 14 miesięcy po dniu uchwalenia Ustawy Rządowej [3 maja] w obu tych dziedzinach [tj. obrony narodowej i spraw zagranicznych] kompetencje wyłączone i ogromne. Z nikim się tymi kompetencjami nie dzielił, sprawy dotyczące obu tych dziedzin polityki załatwiał sam, nie informując o najważniejszych problemach Rzeczypospolitej ani sejmowi ani Straży Praw”. Z drugiej strony z wywodów Łojki wynika, iż Król nie miał jasnego rozeznania sytuacji a złudzenia towarzyszyły mu wiernie nawet po akcesie do Targowicy. W tydzień po tej złowieszczej decyzji pisał: „Byle imperatorowa chciała, to w jednym momencie i jednogłośnie alians z Moskwą stanie, daj Boże

tylko, aby traktat Moskwy z Berlinem doszedł" [do skutku]. Wierzył, że kapitulując przed „życzeniem” Katarzyny wyrażonym w liście z 2/3 lipca 1792 ratuje Polskę „przed drugim rozbiorem i przed całkowitym wyniszczeniem”. Niewątpliwą osobliwością sytuacji jest, że złudzenia królewskie podzielali w Lipsku niektórzy emigranci, np. Kołłątaj. Zdaniem Łojka opuścili oni Kraj przedwcześnie w momencie, gdy koła wojskowe snuć zaczęły plany kontynuowania wojny wbrew woli Króla. O temperaturze wzburzenia w kołach oficerskich świadczy wymownie list ks. Józefa do królewskiego wuja z 25 lipca, pisany pod wrażeniem pogłosek o przystąpieniu Króla do Targowicy („...podłość znizenia się aż do zdrajców Ojczyzny byłaby grobem naszym”). Do planowanego w kołach wojskowych porwania króla nie doszło — „pozostała jedynie legenda — pisze Łojek — która od stu kilkudziesięciu lat nie znajduje pełnego wyjaśnienia wskutek szczupłości zachowanych źródeł”.

Aneksom do wywodów Łojka są podobizny najważniejszych i najbardziej wymownych dokumentów np. wspomnianego wyżej listu Katarzyny do „Monsieur mon frère”, zapewniającego poparcie dla „la plus saine partie de la Nation Polonoise”. Z fotografii autografu listu Króla do marszałka sejmowego Stanisława Małachowskiego 2 maja 1792, w przededniu rocznicy uchwalenia Konstytucji wynika, iż Stanisław August liczył się poważnie z zamachem na jego życie („Gdybym miał wierzyć odgłosom y przestrogom, miałbym Dzień iutrzeyszy za ostatni życia mego”), tłumaczył ze swego postępowania i troszczył, niejako równoległe, o przyszłość „Narodu” (nie Rzplitej) i o uregulowanie swoich olbrzymich długów. W tej ostatniej sprawie pisze, co następuje: „proszę obracać [...] żeby długi moje zostały opłacone. Sposób do tego wiadomy jest najlepiej JMXiedzu Kołłątajowi Podkanclerzemu, y JMPanu [Tomaszowi] Ostrowskiemu Podskarbiemu Nadwornemu Koronemu. Ten sposób znajduje się w dobrowolnej ofierze Żydów, którzy y Skarb publiczny zasilił chęcią daną daleko znaczniejszą nad tę, która od Nich dotąd wchodziła do Skarbu, a oraz moje długi wszystkie opłacić są gotowi, byle Rzeczpospolita dozwoliła im takowych rozrządzeń w Ich Narodzie wewnętrznych, które szkodzić Polskiemu Narodowi nie mogą”. W zakończeniu tego ważnego i wymownego listu, pisanego nerwowym pismem, różną wielkością liter, Król prosi o darowanie kary swoim ewentualnym zabójcom... Łojek nie kwestionuje szczerości wynurzeń Stanisława Augusta, stwierdza jednak ich rozbieżność z postępami.

Jest zagadką dlaczego „studium historyczne” Łojka, oparte o źródła archiwalne i ogromną literaturę przedmiotu, ukazało się pod firmą Instytutu Badań Literackich (któremu się to chwali), a nie Instytutu Historii i czym tłumaczy się pominięcie napisanego przez autora obszernego wstępu sytuacji międzynarodowej w okresie konfliktu tzw. Potrójnej Koalicji (Wielkiej Brytanii, Prus i Holandii) z Rosją i wiszącej w powietrzu wojny europejskiej, o czym informuje w przedmowie.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

Nadesłane nowości wydawnicze

WASIUTYŃSKI (Wojciech). *Źródła niepodległości*. Str. 178. (Wyd. Instytut Romana Dmowskiego, Londyn, 1977).

RAKOWSKI (Janusz). *Eugeniusz Kwiatkowski*. Szkic biograficzny młodych lat na tle ruchu niepodległościowego ZETU i ZARZEWIA 1886-1920. Str. 47. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1977).

JEROFIEJEW (Wieniedikt). *Moskwa-Pietuski*. Tłumaczyli z rosyjskiego Nina Karsov i Szymon Szechter. Słowo wstępne napisał i przypisy opracował Nikita Stawisky. Str. 137 i 5 nlb. (Wyd. Kontra, Londyn, 1976).

KIELEWICZ (Jan). *Płytko i głęboko*. Fraszki. Str. 69 i 1 nlb. (Wyd. Biblioteka „Głosu Polskiego”, Buenos Aires, 1977).

Twentieth-Century Polish Avant-Garde Drama. (Plays, Scenarios, Critical Documents. (Stanisław Ignacy Witkiewicz, Andrzej Trzebiński, Konstanty Ildefons Gałczyński, Jerzy Atanasjew, Sławomir Mrożek, Tadeusz Różewicz). Redakcja i wprowadzenie Daniel Gerould. Str. 287 i 1 nlb. Przekład Daniel Gerould przy współpracy Eleanor Gerould. (Wyd. Cornell University Press, Ithaca and London, 1977; cena £.11.25).

GRABOWSKA (Joanna). *Leona Bykowskiego koncepcja księgoznawstwa i bibliotekarstwa*. Wydanie drugie. Str. 89 i 1 nlb. (powielacz). (Praca magisterska wykonana pod kierunkiem doc. dr. Krzysztofa Migonia; Wrocław, 1974).

JELEN (Christian), UNGER (Leopold). *Le grand retour*. Préface de Golda Meir. Str. 348 i 2 nlb. (Wyd. Albin Michel, Paryż, 1977).

THIMONIER (Henry). *La-bas*. Roman. Str. 230 i 2 nlb. (Wyd. Les Presses, Ascoux, 1975).

KURCZABA (Alex S.). *German-Polish Literary Relations: A Review*. (Nadbitka z *Germano Slavica* II, Spring 1976, str. 37-41, University of Waterloo, Canada).

KUNSTMANN (Heinrich). *Stanisław Ignacy Witkiewicz (Witkacy) im Briefwechsel mit dem deutschen Philosophen Hans Cornelius*. (Nadbitka z *Zeitschrift für slavische Philologie*, Band XXXIX, Heft I, Carl Winter — Universitätsverlag, Heidelberg, 1976, str. 60-156).

Mitteilungen Nr. 13. Str. 160. (Wyd. Arbeits- und Förderungsgemeinschaft der Ukrainischen Wissenschaften e. V., München, 1976).

Dzwony. Nr 1 (100), 1977 r. Trymisyjacznyk ukr. chrystijanskoji literaturnoji tworczosti. (Wyd. Filozoficznyj-humanistychnyj fakultet UKU, Rzym, 1977).

Monumenta Ucraine Historica. Tom XIV. Str. 143 i 1 nlb. (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Rzym, 1977).

DMYTRYK (Ivan). *U lisach Lemkowszczyzny*. Spomyny vojaka UPA. Str. 303 i 1 nlb. (Wyd. „Suczasnist”, Monachium, 1976).

HORBATSCH (Kateryna). *Mij slid na wodi*. Poezji. Str. 46 i 2 nlb. (Wyd. „Suczasnist”, Monachium, 1976).

SEMENENKO (Oleksander). *Charkiv, Charkiv...* Str. 239 i 1 nlb. (Wyd. „Suczasnist”, Monachium, 1976).

Chronika taborowych budniw. Str. 142 i 2 nlb. (Wyd. „Suczasnist”, Monachium, 1976).

Wołyn i Polissia — nimecka okupacja. Knyha persza z anhlijskym rezjume. Str. 255 i 1 nlb. (Wyd. Litopys UPA, Volume I, Toronto, Ont., 1976).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

20-2-77

W Warszawie rozpoczęto remont jedynej pozostałej synagogi (przy ul. Twardej 6).

3-3-77

W Warszawie zmarła, w wieku lat 84, prof. Zofia Szmydtowa, historyk literatury polskiej, redaktor naczelny *Rocznika Literackiego*.

16-3-77

Rada Naczelna t-wa „Polonia” wybrała Tadeusza W. Młynszaka na prezesa towarzystwa, na miejsce zmarłego Wincentego Kraśki. P. Młynszak jest zastępcą przewodniczącego Rady Państwa i przewodniczącym KC Stronnictwa Demokratycznego.

17-3-77

Nowym opatem Benedyktynów w Tyńcu został O. Kazimierz Janicki, na miejsce opata O. Placyda Galińskiego.

22-3-77

Szkoła letnia kultury i języka polskiego Instytutu Badań Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego organizuje w bież. roku kursy dla 600 osób. Na kursach tych będą się kształcić m.in. stypendyści nowojorskiej Fundacji Kościuszkowskiej i Fundacji Reymonta z Kanady, jak również studenci z Międzynarodowego Instytutu J. Hopkina w Bolonii, Uniwersytetu w St. Andrew w Szkocji i Wisconsin w USA.

25-3-77

Prasa francuska podaje, że wydawnictwa PRL przewidują wydanie w ciągu 1977 roku 50 książek pisarzy francuskich, m.in. Barbey d'Aureville, Hervé Bazin, Roger Caillois, Patrick Cauvin, Blaise Cendrars, Denis Diderot, Théophile Gautier, Joseph Gobineau, André Malraux, Octave Mirbeau, Jean-Jacques Rousseau i Vercors. Informację tę *Le Monde* zatytułował „Bon pour la Pologne”. Natomiast prasa krajowa podaje, że we Francji w latach 1973-1975 ukazało się tylko 8 tytułów siedmiu polskich autorów, w tym trzech żyjących. ■ W Moskwie Mosfilm w kooperacji z polskim zespołem przygotowuje film z życia i działalności Feliksa Dzierżyńskiego.

27-3-77

Polska zawarła z Holandią 10-letni kontrakt na dostawę węgla koksującego. ■ Biskupi katolicycy Słowacji, mimo nacisku władz, odmówili potępienia „Karty 77”. ■ Krakowskie *Życie Literackie* podaje, że w latach 1945-1974 w krajach nie socjalistycznych wystawiono około 200 sztuk polskich autorów, z tego m.in. po 11 we Francji i we Włoszech, 10 w Wielkiej Brytanii i jedną w USA. Natomiast w tym samym czasie odbyło się w PRL 1.200 premier francuskich, 800 angielskich, 450 amerykańskich, 250 włoskich, 71 austriackich, 48 duńskich, 32 szwedzkich, 30 belgijskich.

31-3-77

Tegoroczne nagrody PEN-Clubu za przekłady otrzymali: Jerzy Ficowski (za całokształt pracy przekładowej w dziedzinie poezji), Kalina Wojciechowska za przekłady prozy anglosaskiej i hiszpańskiej. Nagrodę za tłumaczenia literatury polskiej przyznano Błazne Dymitrowej (Bułgaria) za całość jej

pracy, ze szczególnym uwzględnieniem przekładu „Pana Tadeusza”. Nagrodę Fundacji Roberta Gravesa za zbiór wierszy otrzymał Witold Dąbrowski, autor zbioru „Arrasowanie” (1976). ■ Na scenie bułgarskiego teatru im. Iwana Wazowa wystawiono „Emigrantów” Mrożka w przekładzie Ginki Pejowej. Spośród 35 teatrów bułgarskich 32 zgłosiły zamiar wystawiania sztuk polskich klasycznych i współczesnych.

1-4-77

W stoczni gdańskiej im. Lenina odbyła się uroczystość przekazania do eksploatacji 500-nego statku, zbudowanego dla ZSSR. Tym statkiem jest chłodniowiec „Profesor Popow”.

3-4-77

Z inicjatywy Polskiej Izby Handlu Zagranicznego oraz nie wymienionych przedsiębiorstw polonijnych utworzono polsko-polonijną Izbę Przemysłowo-Handlową z siedzibą w Warszawie. Pierwsze walne zgromadzenie tej Izby ma się odbyć w czerwcu br. w okresie Międzynarodowych Targów Poznańskich.

6-4-77

W Katowicach odbyło się uroczyste otwarcie wystawy sowieckiej nauki i techniki. Jak zaznaczył I-szy sekretarz KW partii w Katowicach, Z. Grudzień, „Dziś jak Polska długa i szeroka, wszędzie wznoszą się trwałe pomniki polskoradzieckiej przyjaźni, setki nowych zakładów zbudowanych przy pomocy ludzi radzieckich, dziesiątki tysięcy nowoczesnych maszyn i urządzeń. Są to najpiękniejsze symbole naszych czasów”. ■ Górnictwo PRL ustanowiło rekord wydobycia węgla, mianowicie dzienne wydobycie przekroczyło 600 tysięcy ton.

18-4-77

Na Ukrainie rozpoczęły się Dni Literatury Polskiej, które będą trwały do 25. 4. br. Głównym akcentem będzie wystawa polskich książek, obejmująca blisko 2.000 tytułów. Wystawa będzie miała miejsce w Kijowie, Charkowie oraz we Lwowie.

ZACHÓD — EMIGRACJA

8-2-77

Prasa izraelska podaje, że Konsul generalny Polski w Londynie, W. Rybicki oświadczył podczas spotkania z przywódcami brytyjskiej sekcji Światowej Federacji Żydów Polskich, że Polska w zasadzie uznaje słuszność roszczeń jej byłych żydowskich obywateli i władze w Warszawie pragną rozwiązać tę sprawę. Spotkanie Rybickiego z przedstawicielami Oddziału Światowej Federacji Żydów Polskich w Wielkiej Brytanii odbyło się w gmachu ambasady polskiej w Londynie. Przedstawiciele Żydów Polskich w Wielkiej Brytanii przekazali ambasadorowi Polski w Londynie, rok temu, memorandum w sprawie roszczeń żydowskich.

15-3-77

Jury konkursu na utwór teatralny (rozpisanego przez Związek Artystów Scen Polskich za granicą) w związku z 30-leciem działalności Teatru Polskiego w Londynie, postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody, druga nagroda została przyznana p. Janinie Kościakowskiej za sztukę „Sny nocy letnich”. Ponadto jury wyróżniło komedię Ewy Emil „Prometeusz schowany”.

24-3-77

Internationales Kurzgeschichten — Colloquium in Arnsberg/Neheim-Hüsten nagrodę w wysokości DM 3.000, przeznaczoną na wyróżnienie krótkiej prozy, przyznało Markowi Nowakowskiemu. Władze PRL odmówiły wydania paszportu M. Nowakowskiemu.

25-3-77

W Londynie w POSK-u odbył się wieczór autorski Bronisława Przyłuskiego.

28-3-77

Zmarł w Londynie Aleksander Zawisza, b. radca Ambasady RP w Rzymie. Wieloletni premier rządu polskiego na emigracji.

30-3-77

Partyzanci kurdyjscy w Iraku zwolnili 4 polskich techników, porwanych w grudniu 1976 roku. Według oświadczenia przywódców partyzantów decyzja ta została podjęta ze względów humanitarnych.

31-3-77

Na wydziale historii uniwersytetu Paris I — Pantheon-Sorbonne pod kierunkiem prof. Antonina Snejdarka praca magisterska „Debaty poprzedzające zmiany konstytucji PRL — w prasie polskiej i zachodniej” oraz pod — kierunkiem dr Céline Francelle-Gervais — referat seminaryjny „Październik polski — jego specyfika, źródła intelektualne i jego zasięg polityczny” ■ Londyński Komitet Obywatelski Zbiórki na Pomoc dla Ofiar Wypadków Czerwcowych w Polsce zebrał do tej chwili sumę £. 17.172.

1-4-77

Radio France wprowadza z powrotem audycje przeznaczone dla Europy Wschodniej. Audycje będą w języku polskim, rosyjskim, rumuńskim i serbo-kroackim — zajmą one 15 godzin dziennie. Koszt tych nowych audycji ma wynieść 5 milionów franków. Na razie audycje są w stadium eksperymentalnym. Są prowadzone w języku francuskim, który w tych krajach jest albo bardzo słabo albo wcale nieznany. Efekt tych audycji jest chyba obliczony na zasadzie metody dr. Coué. ■ W Lailly-en-Val (Francja) zmarł, w wieku 80 lat, gen. bryg. Jan Kruszewski. Był on ostatnim dowódcą Korpusu Ochrony Pogranicza.

5-4-77

Klub Taniej Książki w Sztokholmie zorganizował spotkanie z Adamem Michnikiem.

6-4-77

W Galerie Lambert w Paryżu została otwarta wystawa „Héritiers et contestataires du romantisme polonais”, która będzie otwarta do 28. 5. br. Wystawione są prace: Brzozowskiego, Czapskiego, Gaja, Gielniaka, Gierowskiego, Hasióra, Józefowicza, Kruczka, Lebensteina, Makowskiego, Musiałowicza, Nowosielskiego, Pietscha i Rózgi, oraz rzeźby Wandy Ładniewskiej.

7-4-77

Prof. Leszkowi Kołakowskiemu przyznano tegoroczną nagrodę pokoju niemieckiego księgarstwa — *Friedenspreis des deutschen Buchhandellers*. Nagroda zostanie wręczona w październiku br. na uroczystej sesji w czasie Międzynarodowych Targów Książki we Frankfurcie. Nagrodę tę w ub. roku otrzymał Max Frisch. Uchodzi ona za drugą nagrodę po Noblu, i wynosi DM 10.000.

11-4-77

Zmarł w Londynie, w wieku lat 82, gen. Ludomir A. Rayski. W okresie przedwojennym dowódcą Polskiego Lotnictwa; w czasie drugiej wojny światowej pilot bombowy i transportowy w Afryce Centralnej, a w roku 1943 delegat Polskich Sił Lotniczych na rejon Bliskiego Wschodu.

14-4-77

Towarzystwo Przyjaciół Kultury w Sztokholmie zorganizowało wieczór, na którym mgr. Wiesław Kosoń, st. asystent Instytutu Nauk Społecznych przy Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, wygłosił odczyt pt. „O religii i religijności w Polsce”.

26-4-77

Staraniem francuskiego PEN Clubu odbył się odczyt A. Michnika pt. „Les courants laïques et chrétiens en Pologne d'aujourd'hui”.

3-5-77

W Londynie odbyło się uroczyste otwarcie Biblioteki Polskiej w nowym gmachu POSK-u. ■ Rozgłośnia polska Radia Wolna Europa obchodzi 25-lecie swego istnienia. Program Rozgłośni Polskiej składa się z dzienników radiowych nadawanych co godzinę, komentarzy politycznych, przeglądów prasy, audycji specjalnie przeznaczonych dla robotników, rolników i młodzieży, pogadanek religijnych, gospodarczych i kulturalnych, recenzji literackich, kącików poezji oraz audycji popularno-technicznych, sportowych, rozrywkowych i muzycznych. Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa nadaje swe audycje 19 godzin na dobę na falach średnich — 417 metrów — i w ośmiu pasmach fal krótkich — 13, 16, 19, 25, 31, 41, 49, 80 metrów, za pomocą nadajników o mocy od 10 do 250 kilowatów, znajdujących się w Niemczech Zachodnich i w Portugalii. Radio Wolna Europa i Radio Swoboda (nadające do ZSSR) wchodzi w skład amerykańskiej instytucji RFE/RL Inc. z siedzibą w Waszyngtonie, na której czele stoi Sig Mickelson, były Prezes Columbia Broadcasting Service News. Nadzór nad obu rozgłośniami sprawuje Zarząd Międzynarodowej Radiofonii, mianowany przez Prezydenta Stanów Zjednoczonych. Prezydent Carter zwrócił się ostatnio do Kongresu Stanów Zjednoczonych o przyznanie funduszy na poważne wzmocnienie siły nadawczej obu radiostacji.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

John Gronouski został mianowany dyrektorem urzędu audycji radiowych dla zagranicy (*Board for International Broadcasting*), który kontroluje audycje Radia Free Europe i Radia Liberty. Gronouski był w 1963 r. ministrem Poczty, w 1965 r. — ambasadorem USA w Polsce, a w 1969 r. profesorem nauk politycznych na uniwersytecie Texas. ■ 15. 3. br. odbyło się 34-te doroczne zebranie Rady Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce. Rada wybrała zarząd Instytutu Józefa na rok 1977 w składzie: Prezes — prof. Wacław Jędrzejewicz, wiceprezesa — dr Anna Mars i Tadeusz Pawłowicz, sekretarz — prof. Tadeusz Świętochowski, skarbnik — Wiesław Domaniewski, dyrektor Instytutu — Michał Budny. ■ Ekipa telewizji PRL, pod kierownictwem Andrzeja Hiczewskiego nakręciła 17 filmów dokumentalnych, ilustrujących życie Polonii amerykańskiej. ■ 26. 3. br. Związek Przyjaźni Narodów Europy Środkowo-Wschodniej zorganizował doroczny bankiet z udziałem około 300 osób. Byli reprezentowani: Czesi, Słowacy, Serbowie, Słoweńcy, Ukraińcy, Polacy i Litwini. Przemówienie wygłosił Andrej Grigorenko (syn

generała). ■ Północno-amerykańskie Studium Spraw Polskich w Chicago w lutym br. zredagowało apel do rządu Stanów Zjednoczonych i Kanady w sprawie sytuacji w Polsce. Apel ten został rozesłany również do 400 uczonych, publicystów i ośrodków naukowych w USA i Kanadzie. Również w lutym Studium rozesłało 800 egzemplarzy nowego wydania w języku angielskim „Polish Trade Unions and the Right to Strike”. W okresie 9 miesięcy od chwili utworzenia Studium wydano i rozesłano 6.302 egzemplarzy opracowań informacyjno-politycznych w języku polskim i angielskim liczących w sumie 52.500 stron. Składka członkowska roczna Studium wynosi 100 dolarów. Aplikacje członkowskie należy wysyłać do sekretarza Studium dr. Jana Morelewskiego (10121 So. Clifton Park, Chicago, Ill. 60642, a czeaki wystawiać na STUDIUM c/o Polcyn. ■ Przed pół rokiem został zawiązany pod patronatem Kardynała Jana Króla komitet dla ratowania amerykańskiej Częstochowy, której zadłużenie na skutek lekkomyślnej gospodarki przekroczyło sumę 5 milionów dolarów. Do dnia 1. 3. br. zebrano 2,6 milionów dolarów. Zbiórka będzie trwała jeszcze przez dalsze dwa i pół roku.

KRONIKA KANADYJSKA

W Ottawie powstał Komitet Obrony Robotników Polskich pod przewodnictwem p. K. Namieśniowskiego. ■ Po przeszło 20 latach pracy na stanowisku redaktora naczelnego *Związkowca* Benedykt Heydenkorn ustąpił z zajmowanego stanowiska. Zamierza się on poświęcić pracy naukowej. Władze Związku Polaków w Kanadzie, których własnością jest *Związkowiec*, postanowiły chwilowo nie mianować nikogo na stanowisko redaktora naczelnego, a jedynie wyznaczyć jako editora i co-editora pp. Rozwadowskiego i Słodkowskiego. ■ Z powodu mającego nastąpić powrotu do Polski Zygmunta Rusinka, redaktora *Głosu Polskiego*, objęcie tego stanowiska zaproponowano p. Romanowi Buczkowi, historykowi z Londynu. ■ W ramach publicznych odczytów Polskiego Instytutu Naukowego w Montrealu, Witold Babiński wygłosił prelekcję na temat „Sprawy litewskie i ukraińskie wczoraj i dziś”, a Tadeusz Romer odczyt pt. „Złudzenia brytyjskie co do planów ZSSR w toku drugiej wojny światowej”. ■ Rząd prowincji Quebec powołał własną komisję doradczą do spraw etnicznych. Skład jej nie spotkał się z życzliwym przyjęciem przez oficjalnych rzeczników grup etnicznych. Minister imigracji zapowiedział, że postulaty grup etnicznych i ich potrzeby będą rozpatrzone. ■ Pod hasłem „Wspomnienia z Polski” obchodzono w kwietniu „Miesiąc Polski” w Bibliotece Publicznej dzielnicy Parkdale w Toronto, zamieszkałej przez poważną ilość Polaków. Bogaty program obejmował występy folklorystyczne wokalne-taneczne, widowiska, recytacje, występy muzyczne, spotkania dyskusyjne. Niezależnie od tego przygotowywano wystawę książek polskich. ■ Jak wynika ze sprawozdania finansowego, przedstawionego na walnym zjeździe członków w marcu br., Kasa Kredytowo-Pożyczkowa przy parafiach św. Stanisława i św. Kazimierza w Toronto stała się jeszcze zamożniejsza. Stan majątkowy wyniósł Dol. 47.464.962, co oznacza wzrost o Dol. 6.389.523 w stosunku do 1975 roku. Ilość członków wzrosła w 1976 o 639 tj. do liczby 16.084. W roku sprawozdawczym 1976 udzielono pożyczek na sumę Dol. 18.346.442. Jest to największa i najzamożniejsza instytucja finansowa Polonii Kanadyjskiej. ■ 5 marca br. w Toronto, na dorocznym zebraniu kuratorów i członków Zarządu Funduszu Wieczystego Millenium złożył sprawozdanie p. Teodor Barankiewicz, prezes Funduszu, referując działalność za rok sprawozdawczy. Podkreślił on, że kapitał na dzień 31. 10. 1976 r. wyniósł Dol. 674.231, co oznacza wzrost o Dol. 47.346

w stosunku do okresu poprzedniego. W 1975/76 przyznano indywidualne dotacje 30 osobom na ogólną sumę Dol. 7.000, a 42 organizacje otrzymały Dol. 47.537. Dotacje indywidualne były przeciętnie w wysokości Dol. 250, nie przekraczając Dol. 500, podczas gdy dotacje dla organizacji były różnej wysokości: np. Harcerstwo otrzymało Dol. 10.000, Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy — Dol. 5.000, a najwięcej Kongres Polonii Kanadyjskiej. ■ Na dorocznym Zjeździe Kanadyjskiego Zrzeszenia Sławistów (*Canadian Association of Slavists*), który odbędzie się w Fredericton, prowincja New Brunswick w dniach 13-16 czerwca br., będzie miała miejsce sesja poświęcona Polsce. Prof. Gabriel Fischer, przewodniczący sekcji programowej Zjazdu, powierzył zorganizowanie i przewodnictwo sesji polskiej prof. Aleksandrowi Matejce. Wygłoszone zostaną następujące referaty: „Patterns of stratification in socialist Poland” — Sten Telleback, socjolog (Uniwersytet w Lund, Szwecja); „The Polish case of modernization” — Aleksander Matejko, socjolog (University of Alberta, Kanada); „Writers and literature in contemporary Poland” — Edward Możejko (Wydział Literatury Porównawczej, University of Alberta, Kanada). ■ Prezes największego koła S.P.K. w Kanadzie (Koło nr 20 w Toronto) został wybrany Bohdan Ejch, inżynier, który odbył służbę wojskową w lotnictwie. ■ Przedmiotem naukowej konferencji zorganizowanej w dniach 11-12 marca br. przez Wydział Nauk Politycznych York University w Toronto, był nacjonalizm mniejszości narodowych. Jedna sesja poświęcona była państwom komunistycznym, inna państwom na drodze do rozwoju. W czasie pierwszej sesji o ukraińskim nacjonalizmie w ZSSR mówił T. Kis z Ottawy, a o słowackim w Czechosłowacji — S. J. Kirschbaum z Toronto. ■ Zarząd Główny KPK skierował apel do Polonii z wezwaniem dostarczania ścisłych informacji, stwierdzających nieprzestrzeganie przez PRL postanowień konferencji w Helsinkach. Idzie między innymi o odmowę wydawania paszportów członkom rodzin osób zamieszkałych w Kanadzie, szkyany, represje itp.

B. H.

CZESŁAW MIŁOSZ W TORONTO

Polonia w Toronto spotkała się po raz pierwszy z Czesławem Miłoszem. Przybył on na zaproszenie Wydziału Slawistycznego University of Toronto z inicjatywy dr. Louisa Iribarne, profesora literatury polskiej na tym wydziale. Prof. Iribarne przybył do Toronto z USA na gościnne wykłady po tragicznym zgonie prof. Danuty Bienkowskiej i w wyniku solidarnej akcji Polonii — która zabezpieczyła dotacjami częściowe pokrycie wydatków na katedrę polonistyki — pozostał na stałe. Prof. Iribarne jest niezwykle cennym nabytkiem dla uniwersytetu i — nie wahamy się powiedzieć — dla Polonii, mimo iż nie jest Polakiem czy choćby pochodzenia polskiego. Obok znajomości literatury, historii i problematyki polskiej jest entuzjastą polskiej kultury, jej gorącym ordynikiem i propagatorem. Programu swej pracy na wydziale nie ograniczył jedynie do studentów. Przewiduje bowiem wykłady publiczne, zarówno w języku angielskim jak i polskim, dostępne dla wszystkich. Prelegentami mają być osoby spoza Wydziału Slawistycznego University of Toronto. Pierwszym gościem był Czesław Miłosz, pisarz, poeta, eseista i profesor literatury w University of California w Berkeley. W czwartek 24 marca wygłosił prelekcję a następnego dnia spotkał się wpieryw ze studentami polonistyki, a następnie w godzinach popołudniowych czytał swoje wiersze.

Wielka sala wykładowa w jednym z gmachów uniwersyteckich wypełniła się do ostatniego miejsca, tak iż trzeba było dla spóźnionych dostawiać krzesła, inni musieli stać. Na sali znajdował się przekrój Polonii zarówno pod względem wieku jak i czasu zamieszkania w Kanadzie czy więzów organizacyjnych. Uderzała duża ilość młodzieży, która zresztą stanowiła przytła-

czającą większość także następnego dnia, kiedy Miłosz i prof. Iribarne czytali wiersze. Ten ostatni oczywiście wiersze Miłosza, ale w języku angielskim.

Prelegenta przedstawił publiczności prof. Iribarne w zwięzłym przemówieniu w języku angielskim i polskim podkreślając z dumą, iż jest jednym z wychowanków Miłosza. Mówił że prelegent zyskał na kontynencie amerykańskim sławę i uznanie najpierw jako autor „Zniewolonego umysłu”, ale obecnie jest szeroko znany i ceniony jako wybitny poeta, nie tylko zresztą jako poeta polski. Tworzy wprawdzie po polsku, ale wybitni krytycy amerykańscy uważają go za jednego z czołowych poetów na świecie.

I tak np. Kenneth Rexroth pisze m.in.: „*But it is on his poetry that his reputation stands. It has crossed the borders of exile and gained him the respect and admiration of his colleagues in Poland and it has crossed the borders of language and stands in translation as amongst the very small body of truly important poetry being written in English and French today*”.*

Prelekcja pt. „Poeta między Wschodem a Zachodem” — wywołała żywy oddźwięk i była szeroko komentowana i poza salą wykładową. Miłosz zastrzegł się na wstępie iż wywody jego mają czysto personalny charakter a więc nie będzie usiłował formułować jakichś ogólnych tez. Nie będziemy w tym miejscu streszczać jego wywodów, już chociażby dlatego, iż byłoby to z wielką dla nich szkodą. Ograniczymy się jedynie do zanotowania, że mówił o roli literatury, właściwie tylko poezji, w życiu, o języku, o poetyckim odbiorze rzeczywistości i jej transformacji. Po prostu usłyszeliśmy nowy znakomity i głęboki esej. Wiele osób jednak miało żal, że Miłosz nie ustawił problematyki na płaszczyźnie politycznej.

Publiczność na zakończenie wieczoru zgotowała prelegentowi owację.

Wydział Slawistyczny podejmował następnie Miłosza oraz zaproszonych gości w Faculty Club (Klub profesorów uniwersytetu). Gości witał p.o. przewodniczącego Wydziału prof. Thomson w towarzystwie mgr Hanny Markowicz, wykładającej język polski, i pani Iribarne. Obecni byli profesorowie Peter Brock, historyk, autor m.in. kilku prac o emigracji polskiej w Wielkiej Brytanii w XIX wieku, monografii o Bolesławie Wyslouchu itp., George Łuckij, profesor literatury ukraińskiej, Bohdan Budurowycz, profesor kultury słowiańskiej a wśród gości byli profesorowie Zbigniew Folejewski, przybyły z Ottawy, Florian Śmieja z London, Ont. i Iwona Grabowska z York University. Wśród gości polonijnych znajdowali się m.in. prezesi Zarządu Głównego oraz Okręgu Toronto KPK pp. Gertler i Burski, przewodniczący Funduszu Wieczystego Barankiewicz, Fundacji im. Mickiewicza Krajewski, dyrektor Kan.-Pol. Instytutu Badawczego Kogler, sędzia Trybunału Obywatelskiego pani Ungar.

Poetyckie popołudnie 25 marca wypadło wręcz znakomicie. Niespodzianką była frekwencja. Trudno było oczekiwać, by w powszechni dzień o 4-tej popołudniu przybyło na uniwersytet tak wiele osób dla wysłuchania recytacji poezji. A jednak stało się inaczej. Prof. Iribarne zagał zebranie i oddał głos Miłoszowi, który zakomunikował obecnym że będzie czytał teksty polskie swoich wierszy a prof. Iribarne tłumaczenie angielskie. Nie dotrzymał jednak słowa: sam poeta czytał również kilka wierszy w języku angielskim. Zresztą czytał bardzo dobrze, w tym znakomity wiersz napisany po angielsku. Po przeszło godzinnej sesji obecni długo oklaskiwali poetę.

Nie będzie chyba przesady gdy stwierdzimy, iż wizyta Czesława Miłosza stanowiła wielkie wydarzenie w życiu kulturalnym Polonii w Toronto.

* Na poezji opiera się jego pozycja. Przekroczyła ona granice wygnania i zdobyła dlań szacunek i podziw kolegów w Polsce. Poezja jego przekroczyła też granice języka i w przekładach znalazła się wśród bardzo małej i prawdziwie ważnej poezji współczesnej języka angielskiego i francuskiego.

B. H.

KONFERENCJA NAUKOWA O PROBLEMACH POLSKO-UKRAIŃSKICH

Jak już podawaliśmy, konferencja poświęcona zagadnieniom polsko-ukraińskim odbędzie się na uniwersytecie McMaster w Hamilton, Ont. w dniach 20-22 października br. Organizuje ją prof. Peter Poticznyj, z wydziału Nauk Politycznych tej uczelni który zorganizował już kilka podobnych konferencji naukowych.

Prelegentami będą zarówno uczeni polscy jak i ukraińscy. Celem konferencji ma być nie tylko czysto akademicka dysputa nad poszczególnymi aspektami dziejów obu narodów, ale konfrontacja stanowisk, znalezienie i ustalenie źródeł konfliktów, oraz współpracy, wzajemnych odnośzeń i wpływów.

Program przewiduje prace w kilku sesjach, dwie dyskusje „okrągłego stołu” oraz główne przemówienie bankietowe.

W sesji historycznej, której przewodniczyć będzie prof. Peter Brock, świetny historyk, znawca dziejów polskiej emigracji XIX wieku oraz polskiego ruchu ludowego, wygłoszą referaty: Andrzej Korboński, profesor Columbia University; Aleksander Gella, profesor uniwersytetu w Buffalo; Iwan Rudnycki, profesor uniwersytetu Alberta. Oto tytuły ich referatów: Korboński — „Czy unia polsko-litewska była macochą dla Rusinów i Kozaczyzny?”; Gella — „Społeczny podkład narodowych konfliktów. Położenie ukraińskiej inteligencji w Polsce”; Rudnycki — „Stosunki polsko-ukraińskie brzemieniem historii”.

Na sesji poświęconej stosunkom kulturalnym prof. George Grabowicz wygłosi odczyt pt. „Historia polsko-ukraińskich stosunków literackich i kulturalnych i ich perspektywy”. W tej sesji przewiduje się referat Józefa Łobodowskiego na temat wpływów polskich na literaturę ukraińską.

Przewodniczy sesji prof. George Łuckij z uniwersytetu Toronto.

Na sesji zagadnień ekonomicznych i komunikacyjnych prelekcje wygłoszą: prof. W. Hołubnyczyj — „Stosunki gospodarcze między Polską a Ukrainą w okresie 1956-1976”; prof. Jerzy Mond — „Problematyka ukraińska w Polsce po 1945 roku”; prof. Roman Szporlak — „Prasa i jej rola na wzajemne ukształtowanie się stosunków polsko-ukraińskich”; prof. Wasyl Markuś — „Sytuacja religijna Ukraińców w Polsce i Polaków na Ukrainie”. Prof. Bohdan Bociurkiw, który będzie przewodniczył, ma zabrać głos i ustosunkować się do wypowiedzi na temat sytuacji religijnej na Ukrainie.

Na sesji politycznej wygłoszą referaty: prof. A. Bromke — „Ukraina i Polska w wykluwającej się nowej Europie”; prof. Jarosław Pełenickij — „Ukraina i Polska od carskiego imperium do sowieckiej Rosji. Perspektywy na przyszłość”; Bohdan Osadczuk — „Stosunki polsko-ukraińskie w okresie międzywojennym”; Borys Lewickij — „Polityczne i kulturalne stosunki polsko-ukraińskie w latach 1970”.

Sesji historiograficznej przewodniczyć będzie prof. Jerzy Wojciechowski a referaty wygłoszą: prof. Roman Selczanek — „Ukraina XIX i XX w. w polskiej historiografii; John Basarab — „Powojenne badania problematyki ukraińskiej w Polsce w latach 1945-1975; Józef Lewandowski — „Wojna światowa i konflikt polsko-ukraiński”; Eugen Sztendera — „Poszukiwanie porozumienia polsko-ukraińskiego w podziemiu 1945-1947”.

Na głównego mówcę bankietowego zaproszono prof. Leszka Kołakowskiego, ale brak jeszcze jego odpowiedzi.

Dyskusje okrągłego stołu odbędą się pod przewodnictwem profesorów Igora Szewczenki — Ukraińca z Harvard University i Bohdana Ławruka, Polaka z McGill University w Montrealu.

Listy do Redakcji

Fryburg, Szwajcaria, marzec 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W Polsce wychodzi od pewnego czasu (powielane) czasopismo pt. *Ancora*, organ grupy tzw. „postępowych katolików”. Samo istnienie takich grup nie jest niczym nowym w świecie katolickim — istnieją dwie okoliczności, wskutek których akcja *Ancora* nabiera złowrogiej oryginalności. Z jednej strony, Kościół Polski żyje w trudnych warunkach, tak dalece, że wszelkie próby pośpiesznego wprowadzania nowinek — a tym bardziej podrywania autorytetu jego przywódców — są w Polsce bardzo niebezpieczne. Świadczy o tym choćby fakt, że takie próby były stale i energicznie popierane przez władze komunistyczne. Tym tłumaczy się i powolność z jaką wprowadzane są w Polsce reformy soborowe i praktyczne nieistnienie poważnych ruchów „postępowych”. Skądinąd uderza, że *Ancora* insynuuje po francusku długi szereg niesprawiedliwych, nieraz wprost oszczerczych zarzutów przeciw episkopatowi polskiemu. W jakim celu? Trudno się oprzeć wrażeniu, że chodzi o skompromitowanie go w oczach zachodnich katolików i o pozabawienie przez to wierzących w Polsce poparcia moralnego, którym się dotąd u współwyznawców na Zachodzie cieszyli.

W świetle tych faktów wypada uznać akcję grupy *Ancora* za nową próbę dywersji na rzecz Moskwy przeciw Wierze w Polsce, a tym samym przeciw Polsce samej. Nie znaczy to, oczywiście, by wszyscy biorący udział w akcji byli płatnymi zdrajcami, jak to bywało w innych wypadkach, ale, obiektywnie, współpracują oni w dziele niszczenia.

Racz Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy wysokiego szacunku i ukłony,

J. M. BOCHEŃSKI

Wellington, Nowa Zelandia, 31 marca 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Wybór wspomnień i informacji Ks. Władysława Bukowińskiego, jakie ukazywały się w *Kulturze* w miesiącu listopadzie, odświeżyły moje wspomnienia o tym niezwykle szlachetnym człowieku i duchownym.

Ks. Bukowiński znany nam był w Łucku jako przyjaciel i powiernik młodzieży. Moje spotkanie się z nim nastąpiło w niezwykłych okolicznościach w roku 1941 w więzieniu łuckim. Było to na parę dni przed Wielkanocą, nas trzech młodzików, członków Z.W.Z. znalazło się w karcercie, który znajdował się na parterze pod klatką schodową. Nie pamiętam już po ilu to dniach (mieliśmy być w karcercie 10 dni) usłyszeliśmy kroki „celi” schodzą-

cej z pierwszego piętra w drodze do łaźni. Nie wiem dlaczego, ale zatrzymali się przed głównymi drzwiami, przy karcercie, który miał ściany 2-3 metrów grubości (więzienie łuckie było w poklasztorzym budynku). Jeden z kolegów zasłonił sobą „judasza”, a ja wdrapawszy się na ramiona drugiego kumpla, wyjrzałem małym, zakratowanym okienkiem wychodzącym na klatkę schodową i zapytałem szeptem — czy jest ktoś z Łucka. Na to ksiądz Bukowiński podszedł bliżej i wtedy dopiero poznałem go — tak bardzo był zmieniony. W takiej pozycji i sytuacji nie można było nawet myśleć o jakiejś rozmowie — a więc pytam, czy może nas wypowiedać. „Naturalnie, mój synu” — odpowiedział. Wypowiadajcie się w myśli, a jak skończycie, zastukajcie w ścianę, a ja was rozgrzeszę i odstukam”.

Zsunąłem się z ramion kolegi i we trójkę, krążąc jeden za drugim (karcerc mógł mieć jakieś 4×2 metry), spowiadaaliśmy się w tym kamiennym konfesjonale. Po porozumieniu się wzrokiem, że skończyliśmy, zastukałem w ścianę, po chwili ks. Bukowiński odstukał.

Do dnia dzisiejszego pamiętam jak nasze wtedy samopoczucie kolosalnie na lepsze się zmieniło. Jakaś nowa wiara i pewność siebie w nas wstąpiła.

Nie spotkałem już więcej tego człowieka, ale nie było więźnia, obojętnie na narodowość czy wyznanie, który by nie wyrażał się z największym uznaniem i podziwem o tym, na wskroś zacnym, człowieku, którego ani więzienie, ani groźba sroższej kary za uprawianie praktyk religijnych (a sowioci szczególnie księży prześladowali) nie załamały — pozostał do końca prawym człowiekiem i wiernym swemu powołaniu.

My, którzyśmy Go poznali — zachowamy Go w pamięci jako uosobienie dobra i szlachetności na zawsze

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

Tadeusz CHOROS

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z notatką w dziale „Wydarzenia miesiąca” zamieszczoną na stronie 151 w marcowym (3/354) numerze *Kultury* zgłaszam następujące wyjaśnienie:

Po pierwsze: prawdą jest, że się w *Nowym Dzienniku* nowojorskim ukazał mój list w numerze z 7 grudnia 1976. Był napisany na marginesie edytoriału zamieszczonego w sobotnim wydaniu tego samego dziennika pod datą 16/17 października.

Po drugie: nie jest prawdą, jakoby się podobny lub taki sam list lub artykuł ukazał na łamach *Gwiazdy Polarnej*.

Po trzecie: dzieje i zagadnienia polonijne interesowały mnie od wielu lat, a pisać o nich zacząłem mniej więcej 5 lat temu, gdy się jako tako wzyłem w tutejsze środowisko. Przebywam w Stanach Zjednoczonych od wiosny 1960 roku.

Nie napisałem na te tematy żadnej książki, bo nie widzę rynku zbytu na polskie książki w obecnych warunkach. Nie stworzyłem też żadnej swojej teorii czy syntezy. Sprawy parafii i szkolnictwa ukazywałem czytelnikom *Gwiazdy Polarnej* i *Duszpasterza Polskiego Zagranicą* nie tyle tak, jak ja je widzę, ile jak o nich pisali ludzie zwiedzający Amerykę w różnych latach.

Sto lat temu był tu Sygurd Wiśniowski, jego prace na temat Ameryki z końca pierwszego stulecia USA opracowała Marion M. Coleman, w informacyjnej recenzji wspominałem, co on napisał o ówczesnych Polakach w USA. Pisał raczej ujemnie. Potem przyszła kolej na uwagi o książkach Duniowskiego (1893), Ciemnińskiego (1896), Osady (1911), Szawleskiego

(1924) i Kłosa (1929, na temat podróży z roku 1926). Omawiając dzieje Nazaretanek zwróciłem uwagę na położenie szkół polonijnych zwłaszcza w okresie wielkiego kryzysu z lat 1929-1941, a w książce ks. Malaka o założyciele siostr-nauczycielek znanych jako Kunegundki znalazłem dużo wiadomości na temat kryzysowych lat 1893-96.

W *Duszpasterzu* zamieszczałem raczej krótkie „migawki”, zwracałem w nich uwagę na wielkie przemiany jakimi jest wstrząsana w ostatnich 20-tu latach cała Ameryka. Otrzymałem wyrazy uznania przede wszystkim za krótki artykuł pod tytułem *Trzy smutne zjawiska*, jakimi są: dobrowolna wyprowadzka Polaków z dawnych skupisk w wielkich miastach, napływ innej ludności potęgowany przez spekulantów realnościami nazywanymi tu *block-busters* czyli „burzyciele dzielnic” i wreszcie przez politykę banków, odma-wiających pożyczek na budowę i naprawę domów w niektórych dzielnicach (*redlining*).

Jedyny nieco dłuższy, ale też pobieżny i nieco chaotyczny, bo dwa razy uzupełniany na odległość, artykuł o parafiach polonijnych ukazał się nie gdzie indziej tylko w *Kulturze* (w numerze 11/326 w 1974 roku). Poda-łem tam te same liczby statystyczne tak za rok 1959 na podstawie skrupu-latnej statystyki, sporządzonej przez ks. Peszkowskiego, profesora w Orchard Lake. Ponieważ w roku 1973 ukazała się nowa praca, socjologiczna, *The Polish Americans*, więc uzupełniłem dane statystyczne wynikami poważnej ankiety przeprowadzonej przez autorkę, *prof. Teresę Polzin*. Dla uniknięcia niejasności wyjaśniam tutaj, że rozesłała ona kwestionariusz do 1.012 parafii, które jej zdaniem mogły być polskie. Otrzymała tylko 707 odpowiedzi, w tym 161 zawiadomień o treści „nasza parafia nie zalicza się do polskich”. Ostatecznie więc zebrala odpowiedzi od 546 proboszczów, a tylko dokładniejsza analiza wykazała, że nie więcej niż 310 parafii zastrzegło na miano polskich, bo w wielu nie utrzymał się już ani polski język ani zwyczaje. Po szczegóły odsyłam do wspomnianej tu książki. Każdy wie, że podobne prace socjologiczne nigdy nie dają stu-procentowych wyników.



Jest teraz moda na prace socjologiczne i ukazało się już kilka opracowań książkowych i jeszcze więcej artykułów, jak np. w specjalnym numerze *The Polish Review* (Nr 3, 1976). W jednym wydawnictwie książkowym (*Polish-American Community Life*, by Irwin T. Sanders and Ewa T. Moraw-ska) znalazłem zaskakujące spostrzeżenie: chociaż opracowano socjologicznie wiele zagadnień polonijnych, to sprawa szkół i parafii jest nadal prawie nietknięta. Może więc wnet ruszy w teren cała ekipa tych modnych badaczy i przedstawi nam pełny obraz zarówno historyczny jak i współczesny.

Ja w każdym razie nie chcę uchodzić ani za człowieka obojętnego ani za alarmistę, załamującego ręce nad „katastrofalnym zanikiem” parafii. Nie z takim nastawieniem pisałem artykuł dla *Kultury* trzy lata temu i nie z takim nastawieniem pisałem list zamieszczony w *Nowym Dzienniku*. Trzymam się od lat zasady wygłoszonej przez Spinozę: „*non flere, non ridere sed intellegere*” co się da w wolnym przekładzie oddać słowami: bierz wszyst-ko na rozum, a nie raz z bezmyślnym śmiechem a drugi raz płacziwie.

Z wyrazami czci i pozdrowieniem,

Ks. Wojciech SOJKA, C.M.

SPROSTOWANIE

Do notatki o Bibliotece Polskiej w Paryżu w poprzednim numerze *Kultury* wkradła się omyłka. Zapis p. z Sumowskich Biskup dla Biblioteki wynosi nie 20.000 fr. lecz 200.000 fr., co niniejszym prostujemy.

Dokumenty

Tradycja niepodległościowa i jej wrogowie

Oficjalna propaganda PRL jest narodowa i patriotyczna. Pełno w niej „polskości” odmienianej na wszystkie sposoby i zapew-nień o suwerennym bycie naszego państwa.

Występuje w niej często potrójne hasło: „Ojczyzna — naród — państwo”, które jest jak gdyby równaniem, utożsamiającym ojczyznę z Polską Rzeczypospolitą Ludową, państwem rządzonym przez partię i związanym z ZSRR. Narodem zaś jest ogół oby-wateli, godzących się z charakterem tego państwa. Tacy obywa-tele to „patrioci”, czyli „patriotyzm” to nic innego, jak akceptacja PRL jako jedynego wcielenia ojczyzny i posłuszeństwa wobec jej władz.

Wszystkie te trzy pojęcia — ojczyzny, narodu i państwa — są więc zawężane i okaleczone.

Co natomiast oznacza owa „suwerenność”? Mówi się o niej tak często, jak gdyby jej ktoś zagrażał, i z taką wdzięcznością, jak gdyby była darem. Kto jej zagraża, kto nią nas obdarował? Kto ją gwarantuje? Oficjalnie zagrażają jej tajemniczy imperia-liści — najczęściej „rewizjoniści” z RFN; dał ją nam zaś i gwaran-tuje tylko ZSRR. Naprawdę jednak suwerenność ta zdana jest na łaskę i niełaskę samego jej dawcy i gwaranta, który już dwu-krotnie, w roku 1956 na Węgrzech i 1968 w Czechosłowacji, okazał w praktyce, jak pojmuje niezależność swoich sojuszników. Radziecki pogląd na tę sprawę wyłożył, nie owijając w bawełnę, Leonid Breżniew w noszącej jego imię doktrynie „ograniczonej suwerenności”, zwanej też oględniej zasadą „proletariackiego inter-nacjonalizmu”.

Związek Radziecki, a za nim aparat propagandy w PRL, nie pomijają żadnej okazji, aby upomnieć się o prawo do samostano-wienia i niepodległości krajów Afryki czy Azji. Ale widocznie

to, co się należy Murzynom lub Indonezyjczykom — nie należy się europejskim sąsiadom ZSRR. Nikt nie ma prawa, wołają z Moskwy, wtrącać się w wewnętrzne sprawy Ugandy — nawet wtedy, kiedy jej oszalały dyktator, otwarty wielbiciel Hitlera, morduje dziesiątki tysięcy ludzi. Ale żaden kraj należący do Układu Warszawskiego nie śmie zmienić rządu bez aprobaty radzieckiego ambasadora, a kiedy Węgry chciały zostać neutralne — rozjechano je radzieckimi czołgami.

Właściwy sens patriotycznej propagandy i zapewnień o suwerenności PRL jest więc taki: Polska w obecnych warunkach dopóty będzie suwerenna, dopóki rządzi nią ekipa, do której ZSRR ma zaufanie. Kto pragnie dla Polski suwerenności, bodaj ograniczonej, musi poddać się tym, którzy ją ochraniają za cenę ustępstw, upokorzeń, papuziego potakiwania we wszystkich sprawach polityki międzynarodowej i gigantycznych kosztów współpracy wojskowej, milcząc zarazem o setkach tysięcy Polaków przymusowo rusyfikowanych w kraju „wielkiego przyjaciela”. Kto słucha proradzieckiego rządu jest patriotą; reszta to wichrzyciele i zdrajcy.

Podobnymi argumentami posługiwali się uczestnicy Konfederacji Targowickiej. Odrzucając Konstytucję 3 Maja i poddając się pod opiekę Rosji twierdzili, że tym sposobem ratują wolność kraju. Rządcy Królestwa Kongresowego powstałego w 1815 roku pod berłem cara sądzą z kolei, że lepiej cieszyć się ograniczoną autonomią, niż stracić ją w wyniku powstania, do którego dążyli zwolennicy pełnej niepodległości. To samo prawie mówili przeciwnicy ruchu powstańczego w roku 1863, chociaż z dawnej autonomii nic już wówczas prawie nie zostało. W roku 1905 i podczas pierwszej wojny światowej przywódcy Narodowej Demokracji głosili konieczność wyrzeczenia się mrzonek o „absolutnej niepodległości”, pogodzenia się z istniejącym układem sił i starania o autonomię w ramach cesarstwa rosyjskiego. Atakowali wówczas niepodległościowe hasła Polskiej Partii Socjalistycznej za rzekomą zdradę polskich interesów narodowych, wszczynanie rewolucji pod wpływem międzynarodowego żydostwa (albo niemieckiego kapitału), za awanturniczą politykę, narażającą naród polski na gniew Rosji. Podobne głosy usłyszeć można i dziś.

Ci, którzy tak myślą, twierdzą, że historia zawsze przyznawała im rację. W wyniku Insurekcji Kościuszkowskiej Polska rzeczywiście została pokrajana kordonami na części, a jej mieszkańcy poddani trzem różnym systemom wynarodowienia i ucisku, z których rosyjski był najłagodniejszy. Powstanie Listopadowe przyniosło zniesienie autonomii a Styczniowe zmieniło zabór rosyjski w najrozszybszy. Niepodległość odzyskana wbrew Rosji po pierwszej wojnie światowej okazała się złudą, która trwała póty, aż Rosja

po rewolucyjnych wstrząsach nie podniosła się znowu do rangi mocarstwa.

Czy nam się więc opłacała walka o niepodległość, czy nie?

To prawda, że ponieśliśmy ogromne straty w ludziach i majątkach, i że olbrzymie zyski zebrali na powstaniach zaborcy. Jednakże dzięki konspiracji, powstaniom i ruchowi oporu na wszystkich polach i we wszelkich formach jesteśmy dziś narodem — to znaczy poczuwamy się do ciągłych związków historycznych, i mamy tradycję — czyli niewyczerpany skarbiec wspomnień i wzorów. Dzięki owej walce jesteśmy nadal zdolni do stawiania sobie zbiorowych celów przekraczających nasze dzisiejsze możliwości. Dumni z przeszłości, potrafimy wyobrazić sobie przyszłość. Mając historię, możemy mieć nadzieję. Do tego bilansu dodajmy to, cośmy w sensie materialnym i duchowym zyskali w ciągu dwudziestu lat niepodległości, w Drugiej Rzeczypospolitej między pierwszą a drugą wojną światową, w tym młodym i przedwcześnie zamordowanym państwie, które było tworem myśli i działalności niepodległościowej. Przypomnijmy sobie następnie, jaką rolę odegrała tradycja niepodległościowa w czasie okupacji hitlerowskiej i radzieckiej, jak wzory spiskowe, powstańcze i rewolucyjne pomogły zorganizować ruch oporu, i przetrwać z godnością jedną z najcięższych prób historycznych. A jakże ta tradycja jest obecna w naszym życiu po dziś dzień! Nie tylko wzbudza w kraju ruch opozycyjny, lecz wpływała i wpływa na postawę wielu przywódców komunistycznych, kształtuje postawę Kościoła katolickiego, wzbudza i ożywia społeczeństwo, ilekroć dojdzie do jej jawnego pogwałcenia — jak np. w sprawie zakazu wystawiania „Dziadów” Mickiewicza w Warszawie w roku 1968.

Niepodległość jako przeszłość, szansa i nadzieja jest tlenem, który utrzymuje w nas życie. Bez myśli i pamięci o niej dawno stałibyśmy się apatyczną masą bez twarzy, woli i charakteru.

Czy jest tylko mrzonką?

Wszystkich przeciwników wyzwolenia spod opieki, dominacji, protekcji czy „bratniego sojuszu” z Cesarstwem Rosyjskim czy ZSRR, wszystkich, którzy przez historyczną scenę przesunęli się w ciągu dwustu lat, od targowiczów do twórców PKWN, od skrajnej prawicy do skrajnej lewicy, łączą trzy przeświadczenia: pierwsze, że potęgą Rosji jest niezmierzona i niewyczerpana; drugie, iż Rosja nie zagraża Polsce wynarodowieniem, jak Niemcy, natomiast współpraca z nią przynosi korzyści gospodarcze; trzecie, iż Polska samodzielnie już istnieć nie może.

Te trzy przeświadczenia, te trzy przesłanki są błędne.

1. Imperium rosyjskie, dawne i nowe, potęgę swoją zawdzięcza zaborom. Imperium to gnębi inne narody, zatruwając jednocześnie sam naród rosyjski, który nigdy nie miał na dłużej danych

szans swobodnego rozwoju. Dziś z krajami tzw. wspólnoty socjalistycznej łączy ZSRR związki podobne do tych, które dawne metropolie łączyły z koloniami. Za pomocą rubla jako jedynej waluty rozrachunkowej, swoich surowców, których zakupy narzuca, wojsk wszędzie rozlokowanych oraz potężnej sieci jawnych i ukrytych zauszników radziecka Moskwa włada ostatnim na świecie imperium kolonialnym, którego siłą jest słabość podbitych. Jej potęga trwać będzie dopóty, dopóki Ukraińcy, Litwini, Gruzini, Polacy, Węgrzy, Czesi i wszyscy, którzy jej ulegają, wierzyć w nią będą jako w niezmierzoną i wieczną. Jej trwałość także zależy od uległości pobitych, bez których nie potrafiłaby się utrzymać.

2. Niebezpieczeństwo wynarodowienia od zachodu ma przesłonić niebezpieczeństwo wynarodowienia od wschodu. W różnych okresach jedno lub drugie brało górę; niemieckie zwłaszcza w wiekach XII-XIII i na przełomie XIX-go i XX-go stulecia. Natomiast po rewolucji 1917 roku główne straty poniosła polskość na wschodzie — w milionach „zlikwidowanych”, deportowanych, rozproszonych i zrusyfikowanych Polaków, zamieszkujących dawne tereny Rzeczypospolitej. Gospodarcze związki z Rosją były korzystne dla ziem polskich zaboru rosyjskiego w okresie, kiedy każdy zabór żył z konieczności odrębnym, wyizolowanymi barierami celnymi życiem gospodarczym. W roku 1918 okazało się jednak, że ziemie zaboru rosyjskiego są ekonomicznie i cywilizacyjnie najbardziej zacofane. Dziś korzyści ze związków z ZSRR są wątpliwe. Narzuca się nam w ramach RWPG rozwój lub pniechanie poszczególnych gałęzi przemysłu w zależności od potrzeb mocarstwa zacofanego w rozwoju gospodarczym. Uniemożliwia się nam samodzielność ekonomiczną — a nowoczesną technologię musimy zdobywać za dewizy, którymi nam ZSRR za eksport nie płaci.

3. Twierdzenie o niemożliwej rzekomo w dzisiejszym świecie niepodległości małych czy średnich państw jest jawnie fałszywe. Nikt go nie wysuwa wobec państw skandynawskich, które wszystkie razem mają mniej ludności, niż Polska. Nikt niczym nie groził Grecji — krajowi znacznie uboższemu od Polski, o mniej niż 1/3 naszej ludności — kiedy zdecydowała się wycofać wojska spod dowództwa Paktu Atlantyckiego; ani Islandii, chociaż ma tylu mieszkańców, co Lublin.

Ale zadajmy pytanie inne: czy może jakkolwiek naród, duży czy mały, obejść się bez myśli o niepodległości i dążeń do niepodległości? Ta myśl i te dążenia stanowią jedyną trwałą, choć często głęboko ukrytą, więź narodową oraz istotę pojęcia ojczyzny. Naszą ojczyzną nie jest PRL, podobnie jak nie było nią napoleońskie Księstwo Warszawskie, czy kongresowe Królestwo Polskie. Naszą

ojczyzną jest Polska, która zmienia granice, ustroje, krajobraz, liczbę i skład swojej ludności, sojusze, zależności, okupantów, rodzaj zajęć, charakter, nawet nazwę — a pozostaje niezmienna w tym tylko, że Polacy chcą, aby była. W naszych pragnieniach i aspiracjach istnieje i będzie istnieć póki działać będziemy na rzecz jej bytu, i łączyć się myślą i pracą w jej imię. Ojczyzną naszą nie jest takie czy inne terytorium, które nam wyznaczy przemoc, albo które nam przypadnie drogą targów, lecz każdy skrawek ziemi, gdzie dokonywał się i dokonuje polski los. Ojczyzną naszą jest historia, każdy jej epizod, każdy żywot poszczególny, w którym odbiły się jej koleje, każda myśl, każda idea, czy to zwycięska, czy przegrana. Ojczyzna to więcej niż państwo. Raz zrodzona w historii i raz uświadomiona jako wartość, nie umrze, dopóki ma kto do niej zwracać się myślą i uczuciem, i wyrażać ją w swojej mowie. Państwo jest tylko jedną z jej realizacji — podlegającą koniunkturom, z natury rzeczy kaleką, skazaną z góry na zmiany. Można ustanowić byt państwowy żelazny, podległy, niewolniczy nawet — nie wytrwa długo, jeśli żyje pojęcie ojczyzny, o której nie można myśleć inaczej, jak o wolnej, bo jest wolnością samą. Państwo to koniunktura polityczna. Ojczyzna to niepodległość.

W ciągu kilkunastu lat naszego stulecia rozpadły się imperia Francji i Anglii; w poprzednim stuleciu, równie błyskawicznie, przestało istnieć imperium królów Hiszpanii. Pozostawione same sobie kontynenty Azji, Afryki, Ameryki Łacińskiej — czyli 2/3 świata — ogarnęła gorączka wolności, gorączka szukania i tworzenia ojczyzn. Nawet w ustabilizowanych krajach Europy Zachodniej zbudziły się prastare dążenia i aspiracje Basków, Bretonów, Katalończyków, Walijczyków, Szkotów, nie mówiąc już o nieugiętych Irlandczykach. I oni dążą do ojczyzny to jest do życia na swój sposób, w swoim własnym języku, stylu, wierze, w myśl własnych ambicji i tradycji. Wszyscy dążą do wolności wyboru ustrojów, sojuszków wojskowych i wspólnot gospodarczych, a dążenia te razem tworzą wielkie napięcie, z którego wyłonią się nowe układy polityczne, nowe stosunki między państwami i narodami, nowe sposoby rządzenia, nowe rodzaje demokracji i nowe myśli o wolności.

Przywódcy ZSRR i ich lojalni wielkorządcy chcą się, że właśnie „wspólnota socjalistyczna” stworzyła taki system stosunków międzynarodowych, z którego zniknęły przemoc, wyzysk i narzucanie form życia i kultury.

Nieprawda! Jak pod słowem „patriotyzm” ukrywa się lojalizm, a pod słowem „ojczyzna” ukrywa się państwo „ludowe”, jak ze słowem „suwerenność” wiąże się w domysle wyznaczanie jej zakresu przez ZSRR — tak pod całą frazeologią narodową,

ZESPÓŁ PROBLEMOWY POLSKIEGO
POROZUMIENIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO

DO SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO

W dniu 10 grudnia 1948 roku Zgromadzenie Ogólne ONZ uchwaliło Powszechną Deklarację Praw Człowieka. Dokument ten skodyfikował najistotniejsze postulaty w dziedzinie obrony swobody i godności jednostki. Deklaracja uczyniła respektowanie podstawowych wolności człowieka, jednym z nieodłącznych elementów współczesnego i przyszłego, tworzącego się ładu światowego.

Wyrazem utrwalenia się tej zasady w międzynarodowej społeczności było uchwalenie w dniu 16 grudnia 1966 roku przez Zgromadzenie Ogólne ONZ Międzynarodowych Paktów Człowieka, które mają charakter norm prawa międzynarodowego, obowiązującego rządy państw, które Pakty ratyfikowały. Weszły one w życie na początku 1976 roku, po ratyfikowaniu ich przez wymaganą liczbę 35 państw, zaś w PRL obowiązują od dnia 3 marca 1977 roku, tj. od chwili ratyfikacji.

Z głębokim zadowoleniem przyjmując fakt ratyfikacji Paktów Praw Człowieka przez Radę Państwa PRL, stwierdzamy, iż odpowiada on najgłębszym życzeniom całego społeczeństwa polskiego. Do najcenniejszych i zawsze żywych tradycji narodu polskiego należy nadawanie najwyższej rangi prawom człowieka i obywatela, godności jednostki, wolności i wzajemnej tolerancji. Fundamentalne zasady, na przestrzeni stuleci znajdujące wyraz w takich aktach, jak *Neminem captivabimus*, *Nihil novi*, Konfederacja Warszawska, Konstytucja 3 Maja oraz w hasła „za wolność naszą i waszą” od wielu już pokoleń stanowią nieusuwalną część naszej narodowej świadomości i są powszechnie uznawane za niezbędny czynnik naszego życia społecznego. Dlatego, wraz ze społecznością świata stwierdzamy, że prawa człowieka i obywatela są niewzruszalne, niezbywalne i nie można się ich zrzec. Nie może być prawdziwie wolnym naród, którego członkowie rezygnują z korzystania i z obrony swoich praw — jak tego dowiodły doświadczenia historyczne także Polski i Polaków.

Dlatego my, niżej podpisani, biorąc pod uwagę, że:

— wielowiekowe poszanowanie i żądanie respektowania praw i godności człowieka należy do najcenniejszych tradycji i dorobku kultury polskiej,

— określone w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka i w Międzynarodowych Paktach Praw Człowieka podstawowe gwarancje wolności i godności jednostki ludzkiej uznawane są dziś powszechnie za jedno z najistotniejszych osiągnięć naszej cywilizacji,

— Akt Końcowy Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, podpisany w dn. 31 lipca 1976 roku w Helsinkach, zobowiązuje wszystkie państwa będące sygnatariuszami do postępowania zgodnie z celami i zasadami Karty Narodów Zjednoczonych i z Powszechną Deklaracją Praw Człowieka, podnosząc poszanowanie określonych w niej praw i wolności jednostki do rangi rządzącej stosunkami międzynarodowymi na naszym kontynencie,

— Konstytucja PRL również deklaruje przyznanie wszystkim obywatelom swobod zawartych także w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, takich jak wolność przekonań, wypowiedzi, druku, zgromadzeń i manifestacji oraz zrzeszania się, a praktyczna realizacja tych norm konstytucyjnych stała się niezbędna nie tylko dla duchowego życia narodu, lecz stanowi nieodzowny warunek należytego rozwoju gospodarki i kultury narodowej.

Postanawiamy wspólnie podjąć solidarne działania, aby:

1. przestrzegać i dbać o przestrzeganie wszystkich praw człowieka i obywatela oraz jego godności,

2. ujawniać wobec opinii publicznej i sygnalizować właściwym organom fakty łamania prawa i wolności człowieka oraz udzielać, w miarę naszych możliwości, pomocy i ochrony ofiarom,

3. propagować w społeczeństwie i postulować wobec władz państwowych zmiany w obowiązującym ustawodawstwie oraz przepisach wykonawczych, zmierzające do realnego i nieprzerwanego zagwarantowania praw i wolności określonych w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka oraz Międzynarodowych Paktach Praw Człowieka,

4. propagować potrzebę przystąpienia do Międzynarodowych Paktów Praw Człowieka, wraz z tzw. protokołem opcyjnym, wszystkich państw europejskich dla stworzenia wspólnej prawnopolitycznej płaszczyzny rozwoju procesów rzeczywistego odprężenia i porozumienia w Europie,

5. współpracować z wszelkimi organizacjami międzynarodowymi broniącymi praw człowieka, a zwłaszcza z Komisją Praw Człowieka przy ONZ, by idea wolności zatriumfowała w świecie.

Nie tworzymy organizacji ani stowarzyszenia. Inicjatywę naszą dyktuje pilna potrzeba społeczna. W Polsce powstał już silny prąd społeczny — **RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA**. Zwracamy się do wszystkich ludzi w Polsce o moralne poparcie, o współdziałanie i pomoc, zwłaszcza w uzyskiwaniu niezbędnych dla naszej działalności informacji o naruszaniu praw człowieka i obywatela, o podejmowanie i rozwijanie podobnych inicjatyw we wszystkich środowiskach społecznych, zawodowych i religijnych, o przyłączanie się do naszego RUCHU oraz występowanie w obronie praw człowieka wszędzie tam, gdzie są one naruszane.

Prawa człowieka i obywatela, godność jednostki tylko wówczas mogą być zachowane, gdy przestrzegać ich będą wszyscy i gdy wszyscy czynnym działaniem domagać się będą ich respektowania.

Spisano 25 marca 1977 r.

1. *Gen. Mieczysław Boruta-Spiechowicz*, najstarszy rangą żołnierz II-giej Rzeczypospolitej, żyjący w Kraju, Zakopane, ul. Szymanowskiego 16.
2. *Andrzej Czuma*, prawnik, b. więzień polityczny, Włochy k/Warszawy, Jagny 11, tel. 237591.
3. *Karol Głogowski*, prawnik, organizator i przewodniczący Związku Młodych Demokratów 1956-1957, Łódź, Sanocka 24 m. 61, tel. 462-10.
4. *Kazimierz Janusz*, inżynier, b. więzień polityczny, Warszawa, Czerniakowska 34 m. 120.
5. *Stefan Kaczorowski*, prawnik, b. działacz Chrześcijańskiej Demokracji i Polski Podziemnej, Łódź, Bednarska 9 m. 114, tel. 452-20.
6. *Leszek Moczulski*, publicysta, historyk, Warszawa, ul. Jaracza 3 m. 23, tel. 26 26 39.
7. *Marek Myszkievicz Niesiołowski*, inż. mechanik, b. więzień polityczny, Łódź, ul. Armii Czerwonej 7 m. 2.
8. *Antoni Pajdak*, prawnik, b. działacz PPS i WRN, jeden z przywódców Polski Podziemnej, Warszawa, ul. Śliska 10 m. 76.
9. *Zbigniew Sekulski*, socjolog, działacz społeczny, Łódź, ul. Sporna 16.
10. *Zbigniew Siemiński*, polonista, działacz społeczny, Łódź, ul. Łanowa 113 m. 5.

11. *Bogumił Studziński*, prawnik, działacz społeczny, Zalesie Górne k/W-wy, ul. Złocistych Łanów 27, tel. 56 53 16.
12. *Ks. Bogdan Papiernik*, Łódź, ul. Św. Antoniego 4.
13. *Piotr Typiak*, b. działacz ruchu ludowego i Polski Podziemnej, Warszawa, ul. Łowicka 55, tel. 49 03 86.
14. *Ks. Ludwik Wiśniewski*, dominikanin, Lublin, ul. Złota 9, tel. 289 80.
15. *Adam Wojciechowski*, prawnik, członek Amnesty International, Warszawa, ul. Ordynacka 10/12, m. 18, tel. 26 95 11.
16. *Andrzej Woźnicki*, chemik, b. więzień polityczny, Łódź, ul. Rydzowa 17.
17. *Ks. Jan Zieja*, b. kapelan WP i Szarych Szeregów AK, Warszawa, ul. Dobra 59 m. 13.
18. *Wojciech Ziemiński*, dziennikarz, działacz społeczny, Warszawa, Sady Żoliborskie 7a m. 21, tel. 33 05 46.



U PROGU

Luty 1977

Nr 5

ZNAK SIŁY

Wydaje się, że wzajemne stosunki władzy i społeczeństwa zaczynają w Polsce zmieniać swój dotychczasowy charakter. Partia nareszcie publicznie odpowiedziała głosowi społecznemu, chociaż nie wyrażał się on masowymi strajkami, demonstracjami i rozruchami. A przecież do tej pory jedynie w tak krawcowych wypadkach odpowiadała i modyfikowała politykę.

Kiedy rozwiały się nadzieje związane z Październikową odnową, przedstawiciele uczciwie myślącej inteligencji wysłali do Władysława Gomułki tzw. „List 34” potępiając cenzurę, której działalność hamowała i hamuje rozwój polskiej nauki i kultury. Potem były: „List otwarty do partii” Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego, „List 18” w sprawie wyroków wydanych na członków organizacji „Ruch”, „List 15” w obronie praw Polonii w ZSRR, memoriał 59, etc. etc.

Ukształtował się w latach 1956-1975 pewien wzorzec działalności opozycyjnej, który można by nazwać „epistolarnym”. Władza jednakże nie odpowiadała przez te lata na adresowane do niej petycje i protesty. Społeczeństwo dowiadywało się o nich z Radia Wolna Europa czy z łamów prasy emigracyjnej lub zachodniej. W kraju panowało natomiast milczenie. O błędnych i szkodzących narodowi polskiemu poczynaniach rządu mówiono tylko w gronie najbliższych osób. Oficjalnie zaś nikt o niczym nie wiedział, a raczej: nie powinien wiedzieć.

Sytuacja zmieniła się radykalnie w drugiej połowie roku 1976. Ferment zainicjowały znowu wystąpienia robotników. Ich następstwem było utwo-

zenie Komitetu Obrony Robotników i czynne wystąpienie już w lipcu (KOR powstał we wrześniu 1976) Episkopatu Kościoła Katolickiego wyrażające wolę narodu.

Kościół Katolicki i Komitet Obrony Robotników skierowali swoje głosy już nie tylko do władzy, która ma przecież trzydziestoletnie doświadczenie przemilczania wszystkiego co bolesne, lecz przede wszystkim do społeczeństwa. I ono właśnie pośpieszyło z pomocą materialną opresjonowanym i pokrzywdzonym po zajęciach czerwcowych robotnikom. Oburzone i wstrząśnięte biciem i torturowaniem tych, którzy wystąpili w obronie swego prawa, zażądało w masowych listach i petycjach zbadania nadużyć władzy i ujawnienia ustaleń.

Partia trzymająca się kurczowo mitu swojej wszechwładzy i więzi ze społeczeństwem musiała pod naporem faktów przerwać milczenie. Słowami prokuratora generalnego PRL, artykułami Michała Misiernego i Mariana Kuszelewskiego zamieszczonymi w *Trybunie Ludu* nr nr 297 z 1976 i 14 z 1977 r.). Naturalnie najwyższy w kraju rzecznik oskarżenia usiłował odeprzeć zarzuty skierowane wobec łamiących praworządność funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa. A wspomnieni redaktorzy *Trybuny Ludu* próbowali podważyć w oczach opinii publicznej autorytet moralny protestujących. A jednak okazało się, że wspólne formy społecznego działania, o ile są szerokie tak jak właśnie teraz, zmuszają partię do zmiany postawy ugruntowanej trzydziestoletnią tradycją. Te formy wspólnego społecznego działania obnażają słabość partii.

Ta prawda poczyną się rodzić w świadomości społeczeństwa. Trzeba więc organizować wystąpienia w obronie praw obywatelskich. Chwila jest sposobna. A nikt nas w tym nie zastąpi. Każdy Polak i Polka jest współtwórcą własnego i narodowego losu.

Powszechne protesty — ujmowane w formie petycji skierowanych do władz — słowem presja społeczeństwa na władze, muszą ukształtować masowy RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce. A on z kolei może przywrócić narodowi utraconą suwerenność.

W SIDŁACH KRYZYSU GOSPODARCZEGO

W górnictwie ilość wydobycia węgla uzależniona jest od tego, czy kolej zdoła odebrać zgromadzony na powierzchni surowiec. Nasilają się więc kłopoty z zaopatrzeniem w węgiel i to zarówno wśród odbiorców indywidualnych (niemało rodzin jeszcze w grudniu nie miało opału) jak i przemysłowych. A prasa nie informuje o tych zjawiskach.

Coraz też bardziej komplikuje się problem licencji. W minionych pięciu latach Polska zakupiła ogromną ilość licencji na Zachodzie. Pewnej ich części nie zdążono wdrożyć we właściwym terminie, stąd grozi utracenie uprawnień wynikających z nabycia owych licencji. Na domiar części z nich zakupiono niewłaściwie: po pierwsze — w kraju brak odpowiednich surowców; po drugie — wskutek nieuczciwości kompetentnych pracowników handlu zagranicznego zapłacono za wysoką cenę; po trzecie — licencje nabyto u niewłaściwego kontrahenta. Oprócz nieuczciwości zadecydowały tu względy polityczne, które w PRL zawsze są nadrzędne wobec gospodarczych. Tak więc wzrost zakupów licencji, technologii i urządzeń na Zachodzie wcale nie świadczy o rozwoju i samodzielności naszej gospodarki. Podobne tendencje wykazuje ZSRR, a wraz z nim wszystkie kraje dzierżone przez niego. I tam też występuje nieumiejętność prawidłowego wykorzystania licencyjnych transakcji.

EKSPLOATOWANI PRZEZ ZSRR

Związek Radziecki zmusił nas także do uczestnictwa w budowie odcinków rurociągów orenburskiego i połockiego. Musieliśmy więc za otrzymane z RFN odszkodowania i kredyt w wysokości ponad 2 mld. marek zakupić maszyny, wszelkiego rodzaju urządzenia i przede wszystkim rury o wielkich przekrojach. Kapitał, moce produkcyjne i siły robocze, któreśmy zaangażowali w rurociąg orenburski, wystarczyłyby do zbudowania w ciągu trzech lat mieszkań dla 700 tysięcy osób, a zatem do likwidacji głodu mieszkaniowego, powiedzmy w Warszawie i Łodzi.

NOWA FORMA RUSYFIKACJI?

W minionym roku po raz pierwszy objęto eliminacjami tzw. konkursu piosenki radzieckiej dzieci. Dotychczas do konkursu mogła przystępować młodzież od 16 roku życia. Teraz rozpiętość wieku została znacznie poszerzona: powstały dwie kategorie — od wieku przedszkolnego do 16 lat i od 16 wzwyż.

W OBRONIE PRAW POLSKIEJ MNIEJSZOŚCI W ZSRR

28 grudnia 1976 roku Jan Plater rozpoczął w Moskwie głódówkę protestując w ten sposób przeciwko dyskryminacyjnej polityce władzy ZSRR wobec Polaków zamieszkałych na terenach ZSRR. Polska mniejszość narodowa nie ma w tym państwie żadnych praw do tworzenia jakichkolwiek (nawet towarzyskich) ugrupowań ani też do uprawiania kultu religijnego.

Jan Plater, uczestnik kampanii wrześniowej 1939, odznaczony Virtuti Militari, mieszkał w Karagandzie (Kazachstan). Rozwinął ożywioną działalność propagowania kultury polskiej wśród wielkich grup Polaków zamieszkujących Kazachstan, działał legalnie w ramach Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, a jednak mimo to praca jego napotykała na coraz większe trudności, a on sam podlegał najprzeróżniejszym formom dyskryminacji. Na przełomie 1975/76, przebywając w Polsce, Jan Plater oświadczył przyjaciółom, że w wypadku dalszego pogarszania się tej sytuacji przedłoży najwyższym władzom radzieckim memoriał, powołując się na podpisaną przez Związek Radziecki w Helsinkach uchwałę w sprawie podstawowych praw Polaków i osób pochodzenia polskiego, obywateli ZSRR.

Po wyjeździe Platara z Polski doszły wieści, że spalono zostało jego mieszkanie z cenną biblioteką i pamiątkami polskimi. On sam zaś niemal cudem uniknął śmierci w rzekomo przypadkowym wypadku samochodowym.

WYDARZENIA BIEŻĄCE

17 grudnia został zatrzymany przez funkcjonariuszy SB, gdy wychodził ze swojego mieszkania w Warszawie przy ul. Jaracza, Leszek Moczulski — pisarz i dziennikarz. Autor znanej i cenionej książki „Wojna polska”, od lat wyrażający swe niezależne przekonania polityczne. Moczulskiego poddano trzynastogodzinnej próbie przesłuchania, która nie przyniosła żadnego rezultatu.

W Słońsku pod Gorzowem zatrzymano 8 stycznia 1977 dwudziestoczteroletniego doktoranta Instytutu Historii UW, Jerzego Targalskiego, kiedy przyjechał w odwiedziny do swego kolegi Jakowlewa. Do mieszkania Jakowlewa wtargnęli funkcjonariusze SB w towarzystwie milicjantów z nakazem rewizji, podpisanym przez prokuratora Nanycza. Po zarekwirowaniu pism KOR-u, które znaleziono w mieszkaniu, przewieziono Targalskiego do Gorzowa i poddano nieformalnemu przesłuchaniu, grożąc więzieniem i pozbawieniem pracy. Przesłuchania prowadzili pracownicy SB: Siwek, Wiśniewski, Staszewski. Ten ostatni chwalił się swoim pobytem w Radomiu podczas robotniczych demonstracji 25 czerwca. Po 48 godzinach Targalskiego zwolniono. Zabrane przedmioty nie zostały jednak zwrócone, nie wydano też na nie pokwitowania.

Alfred Ledwig — twórca telewizyjnego serialu „Bolek i Lolek”, mieszkający w Bielsku-Białej — nie może odzyskać praw autorskich, których pozbawiono go bezpodstawnie, gdy między rokiem 1971 a 1973 przebywał w więzieniu skazany z art. 271 k.k. za tzw. „rozpowszechnianie fałszywych wiadomości o PRL”. Zarówno Ledwig, jak i jego koledzy ze sprawy: Janusz Malczewski, Jerzy Wroński i Jerzy Skłodowski, nie mogli po wyjściu z więzienia otrzymać żadnej pracy, a i teraz stosuje się wobec nich zakaz przyjęcia do pracy. Nie mogą bowiem pracować zgodnie ze swoimi kwalifikacjami.

Sędziowski cynizm. Sędzia penitencjarny z Opola p. Konopnicki, odmawiając więźniom przedterminowego zwolnienia posługuje się między innymi taką argumentacją: „...skazany zachowywał się przez ostatnie 6 miesięcy poprawnie, jednakże należy przypuszczać, że było to zachowanie maskujące w celu otrzymania warunkowego zwolnienia...”. Odmawiając zwolnienia Dominikowi Buczkowi Konopnicki oświadczył: „tacy jak wy doprowadzili do śmierci gen. Sikorskiego” (sic!).

Leszek Kołakowski
Adam Michnik

Oxford, dn. 7. 4. 1977.

Do
redakcji tygodnika „Polityka”
Ul. Stanisława Dubois 9
Warszawa

W dniu 16 marca br., podczas konferencji prasowej w Kolonii, odczytaliśmy nasze oświadczenie na temat sytuacji w Polsce. Wyrziliśmy w nim podziękowanie przyjaciółom Polski w Republice Federalnej Niemiec, którzy przez długie lata walczyli o uznanie polskich granic zachodnich i normalizację stosunków polsko-niemieckich, a ostatnio wystąpili w obronie praw obywatelskich w naszym kraju. W konferencji prasowej wziął udział wypróbowany przyjaciel narodu polskiego, pisarz niemiecki i laureat nagrody Nobla Heinrich Böll, który okazał Komitetowi Obrony Robotników pomoc moralną i materialną.

W *Deutsche National-Zeitung* z dn. 25. 3. br. opublikowany został tekst podpisany naszymi nazwiskami, którego wynika, że składamy wyrazy podzię-

kowania również *Deutsche National-Zeitung* oraz „organizacjom przesiedleńców”, czyli siłom kwestionującym po dziś dzień trwałość polskiej granicy zachodniej. Tekst ten jest całkowitym fałszerstwem.

Fałszerstwo to nie jest wypadkiem odosobnionym. Pierwszy raz jednak fałszerze posunęli się do współpracy z ośrodkami, które kwestionują trwałość polskiego bytu państwowego.

Spodziewamy się, że list niniejszy zostanie ogłoszony w Polsce na łamach *Polityki*, przez co władze PRL okazałyby, że nie autoryzują tego rodzaju metod walki z opozycją demokratyczną. O opublikowanie tego listu prosiliśmy również redakcję tygodnika hamburskiego *Der Spiegel*; bowiem także niemiecka opinia publiczna nie powinna być wprowadzona w błąd.

Leszek KOŁAKOWSKI
Adam MICHNIK

Powyższy list zamieścił *Der Spiegel* w Nr. 16 z 11 kwietnia br.

Odpis telegramu wysłanego do Redakcji *Prawo i życie*, Warszawa, Bracka 20a.

9 kwietnia 1977.

Reprodukowany przez was tekst z *Deutsche National-Zeitung* rzekomo podpisany przeze mnie i Michnika jest całkowitym fałszerstwem. Podjęto akcję prawną przeciwko fałszerzom. Żądam ogłoszenia niniejszej depechy.

Leszek KOŁAKOWSKI

Taki sam telegram (z wyjątkiem słów „Reprodukowany przez was” został wysłany do Redakcji *Życia Warszawy*.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 2^e Trimestre 1977.

Imprimé en France

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 14,00	R. 26,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,00	\$ A 15,00	\$ A 28,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien 1, Schönla-ternegasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F.B. 130,00	F.B. 750,00	F.B. 1300,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czeków do adm. „Kultury”	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ 28,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 13,00	F. 70,00	F. 130,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wiellingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2339; B. Kruski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Związkowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,00	\$ Can. 15,00	\$ Can. 28,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1.	DM. 7,00	D.M. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 13,00	K.S. 75,00	K.S. 140,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, Post Office Box 883, Bellflower Cal. 90706. Tel. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,00	\$ US. 15,00	\$ US 28,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 13,00	F. 75,00	F. 140,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F.140; półroczna — F.75.
Przesyłka pojedynczego numeru — F.2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

SERIA « BEZ CENZURY »

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

MAŚC NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej prowincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.



TOM 273 — ANIELA STEINSBERGOWA

WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bezkompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje polskiej adwokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.



TOM 275 — STANISŁAW BARAŃCZAK

JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE

(Wiersze z lat 1975-1976)

Str. 64.

Cena F. 15,00.



SERIA « DOKUMENTY »

TOM 274 — MAREK TARNIEWSKI

KRÓTKIE SPIĘCIE

(Marzec 1968)

Str. 96.

Cena F. 18.



TOM 276

RUCH OPORU

Polska: Czerwiec 1976
Czechosłowacja: Karta 77

Str. 288.

Cena F. 50,00.